MOC CZYTANIA | Rosiak z Tel Awiwu: Trump i Gaza ▪ Reparacje bez złudzeń
W głowach Rosjan ▪ Pobór wróci ▪ Różaniec w modzie ▪ Twarze DiCaprio

Kraków 8 – 14 października 2025 nr 41 (3979) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

EKSTRA 24 STRONY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl



CO NAUKA WIE O MIŁOŚCI

Jak dobieramy się w pary
Jak zmieniają się uczucia
Co nam robią aplikacje

STRONY 49–53

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 7986ab7e91

Podejść bliżej, okazać solidarność

Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera zostanie wręczona po raz 25. Laureatów poznamy 27 listopada, dziś znamy już nominowanych. Łączy ich odwaga: podejście bliżej, gest solidarności i konsekwencja działania.

Katarzyna Węglarczyk



MATERIAŁ PRASOWY

„Homelands" **TIMOTHY'EGO GARTONA ASHA (tłum. Bartłomiej Pietrzyk, wyd. Znak Horyzont 2024)** – pierwsza z książek nominowanych w kategorii: pisarstwo – to spojrzenie na historię Europy po 1945 roku przez pryzmat doświadczeń autora. Perspektywa historyka i obserwatora – a zatem kogoś zdystansowanego, patrzącego z zewnątrz – łączy się w niej z osobistym zaangażowaniem w kulturę i życie opisywanych społeczeństw. Jak dziś myśleć o Europie? Właśnie tak. Żeby w ogóle móc o niej mówić, nie wystarczy nazwać słowem „Europa" określonych krajów. Potrzebny jest wysiłek zbliżenia się, poznania zarówno ich historii, jak i specyficznego „teraz".



WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

Blisko, bardzo blisko podchodzi również **HANNA KRALL** – blisko człowieka, którego widzi i ujmuje jako niepowtarzalną jednostkę, szanując jej odrębność i tajemnicę. Pisarka otrzymała nominację za całokształt swojej twórczości. „Krall zawsze przyjmuje tę samą perspektywę: kieruje naszą uwagę na bohaterkę i bohatera, na drobny nieraz, ale istotny szczegół, jakieś zdanie zapamiętane, pojedynczą scenę. Jej twórczość roi się od spotkań – w tym najgłębszym, Tischnerowskim sensie tego słowa" – czytamy w uzasadnieniu nominacji.



MATEUSZ SKWARCZEK

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Nominowane książki stawiają więc przed czytelnikiem wyzwania: nie poprzestawaj na łatwych diagnozach, drąż – ale pytaj też o to, co możesz zdziałać, jakie dobro sprowadzić lub jak się przyczynić do postawienia tamy złu. **„Koncern Autokracja" ANNE APPLEBAUM (tłum. Michał Rogalski, wyd. Agora 2024)** to przenikliwa diagnoza świata, w którym główne karty zaczynają rozdawać państwa autokratyczne lub zmierzające do autokratyzmu. Co mogą zrobić w tej sytuacji ci, którym jeszcze zależy na demokracji?

Wysiłek poznania w naturalny sposób skłania do solidarności – z tymi, ku którym się zbliżamy. Stąd też pierwszej kategorii Nagrody im. ks. Tischnera zawsze towarzyszy druga: za inicjatywy społeczne lub duszpasterskie wcielające w życie wartości bliskie jej patronowi.



MATERIAŁ PRASOWY

WSPÓLNOTA ZE ŚLEDZIEJOWIC – powstała w 1981 roku jako pierwsza w Polsce wspólnota L'Arche – to przestrzeń, w której osoby z niepełnosprawnością intelektualną i ich asystenci żyją razem: nie jako opiekunowie i podopieczni, lecz jako równoprawni członkowie jednej rodziny. Nominacja L'Arche Śledziejowice to wyraz uznania dla dzieła, które – pozostając ciche i pokorne – wywiera realny wpływ na przemianę społecznych relacji.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Również działalność drugiej nominowanej w tej kategorii zrodziła się niejako na przedłużeniu ruchu solidarnościowego. **MAŁGORZATA RYBICKA** – dawniej działaczka gdańskiej opozycji – od 1984 roku pracuje na rzecz osób w spektrum autyzmu, zwłaszcza takich, u których łączy się to z innymi ograniczeniami, w tym z niepełnosprawnością intelektualną. Współtworzyła Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym, a w 1993 roku została dyrektorką Specjalnego Ośrodka Rewalidacyjno-Wychowawczego dla Dzieci i Młodzieży z Autyzmem. W jej życiu słowo „solidarność" ma bardzo konkretną treść.

Kapituła postanowiła też w tym roku nominować **„LANGUSTĘ NA PALMIE" na czele z Adamem Szustakiem OP za ponad 10-letnią już działalność duszpasterską „online i offline"**. Nazwa inicjatywy nawiązuje do starożytnej mozaiki, która miała być pomocą dla katechumenów: symbolizowała wyniesienie tego, co niskie, „denne", ku górze, ku światłu. „Langusta" wraz ze swym liderem skutecznie dociera do bardzo szerokiego grona Polaków, niosąc im przede wszystkim nadzieję – jedną z najbardziej ewangelicznych wartości.



STACH ANTKOWIAK / REPORTER

KS. ADAM

Boniecki: *Dziesiątek jak testament*

Różaniec: modlitwa starych babć i dziadków, bezmyślne klepanie zdrowasiek, niemożność utrzymania uwagi przez wszystkie tajemnice... Ta kojarzona z październikiem, pozornie prosta modlitwa jest w gruncie rzeczy trudna. A jednocześnie, jak pisze w tym numerze Artur Sporniak, wciąż bardzo popularna. Rozważanie tajemnic przy odmawianiu zdrowasiek prowadzi albo do klepania tekstu, albo do myślenia o tajemnicy, nie o odmawianym tekście. Oczywiście, można jakoś to pogodzić. Próbowałem, czasem z powodzeniem, częściej z powodzeniem częściowym, czasem bez powodzenia. Myśl wraca do tajemnic, odpływa od nich, potem znów wraca. Zdrowaśki lecą swoją drogą... Czasem jakieś słowo zatrzyma uwagę, czasem nie... Mniejsza z tym, każdy odmawia różaniec jak umie, albo, po prostu, nie odmawia go wcale.

Mam w pamięci i będę miał w pamięci wydarzenie nie moje, lecz mojego ojca. Na początku warto zaznaczyć, że chociaż mój ojciec bardzo wiele lat spędził na wojnie, to w czasach, kiedy polskiego wojska najpierw nie było, a potem było, ale słabe i u boku innych armii. Nigdy nam, swoim dzieciom, o wojennych dziejach nie opowiadał. Poznawaliśmy je dopiero później, po jego śmierci – został rozstrzelany przez Niemców w 1944 r. Historia, o której myślę, zdarzyła się przed laty, kiedy mój ojciec walczył z Rosją sowiecką i dostał się do niewoli. Rosjanie załadowali jeńców na statek i potem, jak się okazało, wszystkich więźniów zatopili. Z wyjątkiem dwóch. Na statku znalazł się dawny towarzysz ojca. Ściśle biorąc – jego dawny ordynans, wtedy już żołnierz radziecki. Ten człowiek miał widać dobre wspomnienia z dawnej służby. I on, ten dawny ordynans, który musiał wiedzieć, jaki los czeka więźniów, potajemnie wyprowadził ojca i jeszcze jednego więźnia ze statku, ratując im życie. Wiem – historię tę poznałem po śmierci ojca – że zobowiązał się on wtedy w sumieniu, żeby codziennie odmawiać jeden dziesiątek różańca. Znając styl ojca, jestem absolutnie pewien, że zobowiązania dotrzymał do ostatniego dnia życia.



GRAŻYNA MAKARA

Zastanawiać może kogoś, dlaczego dziesiątek, a nie cały różaniec. Oczywiście nie wiem, ale sądzę, że niezwykła trzeźwość ojca kazała mu zachować umiar. Wiedział, jaki los spotyka postanowienia nad miarę. Dlatego dziesiątek, ale całe życie.

Ta historia jest dla mnie ważna. Miałem niespełna dziesięć lat, kiedy ojca w egzekucji na ulicach Warszawy Niemcy rozstrzelali. Z czasem docierało do mnie, jak mało wiem o ojcu, choć bardzo go kochałem. W końcu kocha się kogoś nie w wyniku wiedzy o jego życiu, ale w odpowiedzi na miłość, której się doznaje. Dlatego historia tamtego ocalenia i tamtego dziesiątka różańca jest dla mnie jak testament. Bez pytania, dlaczego wtedy został ocalony, a później nie... Bez pytania, bo nikt nie da odpowiedzi. Jedno jest pewne – że gdyby wtedy zginął, nas pięciorga by nie było.

Wstąpiłem do zakonu, w którym codzienna cząstka różańca jest przepisana w regule. Przyznam, że tego przepisanego różańca z dziesiątką ślubowaną przez ojca bardzo długo nie kojarzyłem. Dopiero znacznie później... Mniejsza zresztą o świadomość, tamten zapis w pamięci istniał i działał, a teraz, pod koniec życia, działa z nową siłą.

Zagadką pozostaje, co nas tworzy: skąpa opowieść z dziejów ojca wpisała się głębiej niż wiele zdarzeń z mego własnego życia, przeżytych, zapomnianych.

©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MAREK RABIJ:
Częściej obstawiamy zakłady hazardowe, niż gramy na giełdzie. Polska jest uważana za jeden z kluczowych rynku e-hazardu w Europie. A politycy śpią spokojnie.

MIKOŁAJ GRYNBERG:
Autor książki „Rok, w którym nie umarłem” opowiada o zawale, chorowaniu i zdrowieniu. A także o tym, jak te tematy zamienić w literaturę.

ANNA KRÓL-KUCZKOWSKA:
Czy wellness nam służy? Jak w pogoni za dobrostanem nie zaszkodzić swojemu dobrostanowi i relacjom – radzi psycholożka i psychoterapeutka.

Moment wydaje mi się historyczny nie tylko dlatego, że miałem przyjemność i zaszczyt pracować pod wszystkimi jego poprzednikami – Jerzym Turowiczem, ks. Adamem Bonieckim i Piotrem Mucharskim: w numerze, który prowadzę, ogłaszamy, że czwartym redaktorem naczelnym w 80-letnich dziejach „Tygodnika Powszechnego" zostaje **JACEK STAWISKI** i, zgodnie z tradycją wprowadzoną przy poprzedniej zmianie, publikujemy wywiad, który z nowym szefem redakcji przeprowadza szef odchodzący na emeryturę.

Jacek pracował wcześniej w mediach szybszych od „Tygodnika" – RMF, BBC, TVN 24 – ale, jak mówi Piotrowi, starał się tam wnosić przekonanie i treści pokazujące, że „dzisiejsze zdarzenia mają gdzieś swój początek, swoje średnie albo i długie trwanie. Tylko tak możemy je ogarnąć i zrozumieć, przy okazji wychodząc poza galopujące emocje".

Do tej definicji idealnie pasuje tekst z „Tematu Tygodnika": pisząc o awanturze wokół reparacji, **MAREK ZAJĄC** pokazuje nie tylko drugie dno bieżącego klinczu i sposoby wyjścia z niego, ale też ludzi, którzy, zabiegając przez ostatnich kilkadziesiąt lat o polsko-niemieckie pojednanie, „pojmowali więcej, myśleli głębiej i widzieli dalej", łącząc „odwagę moralną z kalkulacją" i próbując „zmienić na naszą korzyść układ płyt tektonicznych geopolityki".

Symbolem dziennikarstwa pokazującego, że dzisiejsze zdarzenia mają gdzieś swój początek, swoje średnie albo i długie trwanie, jest **DARIUSZ ROSIAK**. Z tym większą satysfakcją zapraszam do lektury jego korespondencji z Tel Awiwu otwierającej ten numer. Autor „Raportu o stanie świata" przygląda się obecnemu etapowi konfliktu izraelsko-palestyńskiego po ogłoszeniu planu pokojowego Donalda Trumpa. Chłodne oko analityka pozwala mu dostrzec, że największym wygranym ostatnich wydarzeń jest Katar, a Izrael i Hamas wciąż uprawiają grę pozorów na użytek prezydenta USA – jednak styl tego ostatniego sprawia, że tym razem nadzieje na koniec koszmaru, który przeżywają mieszkańcy Gazy, nie są pozbawione podstaw. „Jeśli ceną za to miałaby być Pokojowa Nagroda Nobla dla Trumpa, to niech ją dostanie" – pisze Rosiak; o tym, czy dla Bliskiego Wschodu moment faktycznie jest historyczny, przekonamy się niebawem. ©℗



MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.



26 Szeroki kadr
ROZMOWA Z JACKIEM STAWISKIM
Nowy redaktor naczelny „TP": Bardzo mi bliską cechą „Tygodnika" jest dystans.



30 Co się dzieje w głowach Rosjan
ROZMOWA Z KATARINĄ GORDIEJEWĄ
W Moskwie nie czuć wojny, to nadal stolica bogactwa i wygody. Putin jest sprytny, na front wysyła mieszkańców prowincji.



94 Tu jest Polska
ROZMOWA Z MICHAŁEM SIKORSKIM
W „1670" przypomnieliśmy, że Polacy potrafią śmiać się z siebie.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRAŻYNA MAKARA // OLGA PAVOLGA // JAROSŁAW SOSIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Czy Trump przyniesie pokój
DARIUSZ ROSIAK Z TEL AWIWU

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Jakie wojsko idzie drogą
MAREK RABIJ:
Czy czeka nas powrót poboru

21 Ring wolny. Drugie starcie
PAWEŁ MUSIAŁEK: *Pierwsze tygodnie prezydentury Karola Nawrockiego jawią się jak miodowy miesiąc głowy państwa z narodem*

24 Prawda ekranu
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ WROŃSKĄ:
Ogłoszony właśnie raport „Nastolatki" najbardziej alarmujący jest w odniesieniu do rodziców

■ ■ ŚWIAT

30 Co się dzieje w głowach Rosjan
ROZMOWA Z KATARINĄ GORDIEJEWĄ

34 Bitwa na mapy
MARTA ZDZIEBORSKA:
W USA toczy się bój o granice okręgów wyborczych

36 Prezydent w kryminale
SZYMON ŁUCYK:
Ta perspektywa elektryzuje Francję: Nicolas Sarkozy ma iść do więzienia

38 Fiński cud
PATRYCJA BUKALSKA:
Helsinki to najbezpieczniejsze miasto w Europie, jeśli chodzi o liczbę wypadków drogowych

■ ■ WIARA

40 Od Trumpa do Boga
ROZMOWA Z MASSIMO FAGGIOLIM:
Gdy biskupi mówią to, co chcą usłyszeć politycy i ich wyborcy, mamy do czynienia z religijnym populizmem

44 Więcej niż paciorek
ARTUR SPORNIAK:
Na różańcu modlą się znani i nieznani, wspólnotowo i osobiście, w październiku i cały rok

TEMAT TYGODNIKA



DOMINIKA ZARZYCKA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

12 Reparacje bez złudzeń
MAREK ZAJĄC

Podczas polsko-niemieckich negocjacji o odszkodowania za II wojnę warto wyciągać wnioski z tego, jak postępował Izrael. Pojednanie to nie pięknoduchostwo, ale element geopolitycznej kalkulacji.

■ STRONY SPECJALNE ■

57–80 KSIĄŻKI W TYGODNIKU

JULIA FIEDORCZUK *o Forreście Ganderze*
ROZMOWY Z ALEJANDRO ZAMBRĄ I AGNETĄ PLEJIEL
PIOTR KOFTA *o Andrei Camillerim*
MAX CEGIELSKI *o Byung Chul Hanie*
PIOTR WOŹNIAK *o Judith Schalansky*

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
39 OLGA DRENDA **81** ELIZA KĄCKA
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MAGDALENA BURDZYŃSKA
„MIŁOŚĆ", Z KSIĄŻKI „QUARKS, ELEPHANTS & PIEROGI: POLAND IN 100 WORDS" / CULTURE.PL

46 Estoński wzór
TOMASZ OTOCKI:
Beatyfikacja zamordowanego przez Sowietów arcybiskupa to szansa na wyjście z cienia katolików w tym kraju

48 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

49 Miłość jest wszędzie
ROZMOWA Z MARTĄ KOWAL:
Jak się rozwija to uczucie i czy więcej miłości to więcej bliskości fizycznej? Jaką rolę odgrywają aplikacje randkowe? Co mówią o tym badania?

■ ■ HISTORIA

54 Narodowe komediantki
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI:
O tym, co się działo za kulisami Teatru Narodowego 260 lat temu, wiemy dzięki raportom pewnego szpiega

■ ■ KULTURA

82 Leo, czyli kino
MICHAŁ WALKIEWICZ:
Pod względem gwiazdorskiego statusu i artystycznego dorobku Leonardo DiCaprio pozostaje ostatnim tyranozaurem Hollywood

86 Życie w wersji instant
ROZMOWA Z PIOTREM ONAKIEM:
Wiele elementów współczesnej popkultury i mediów funkcjonuje według zasad, które zauważył i uruchomił Andy Warhol

89 Polecamy

90 Za dużo nut
ANITA PIOTROWSKA *o „Chopin, Chopin!" Michała Kwiecińskiego*

91 Wykluczeni
LEKTOR *o o książce „Architekci i »paragraf aryjski«. Przypadek SARP-u (1934-1939)" Agnieszki Tomaszewicz i Joanny Majczyk*

■ ■ ZMYSŁY

94 Tu jest Polska
ROZMOWA Z MICHAŁEM SIKORSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 99

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

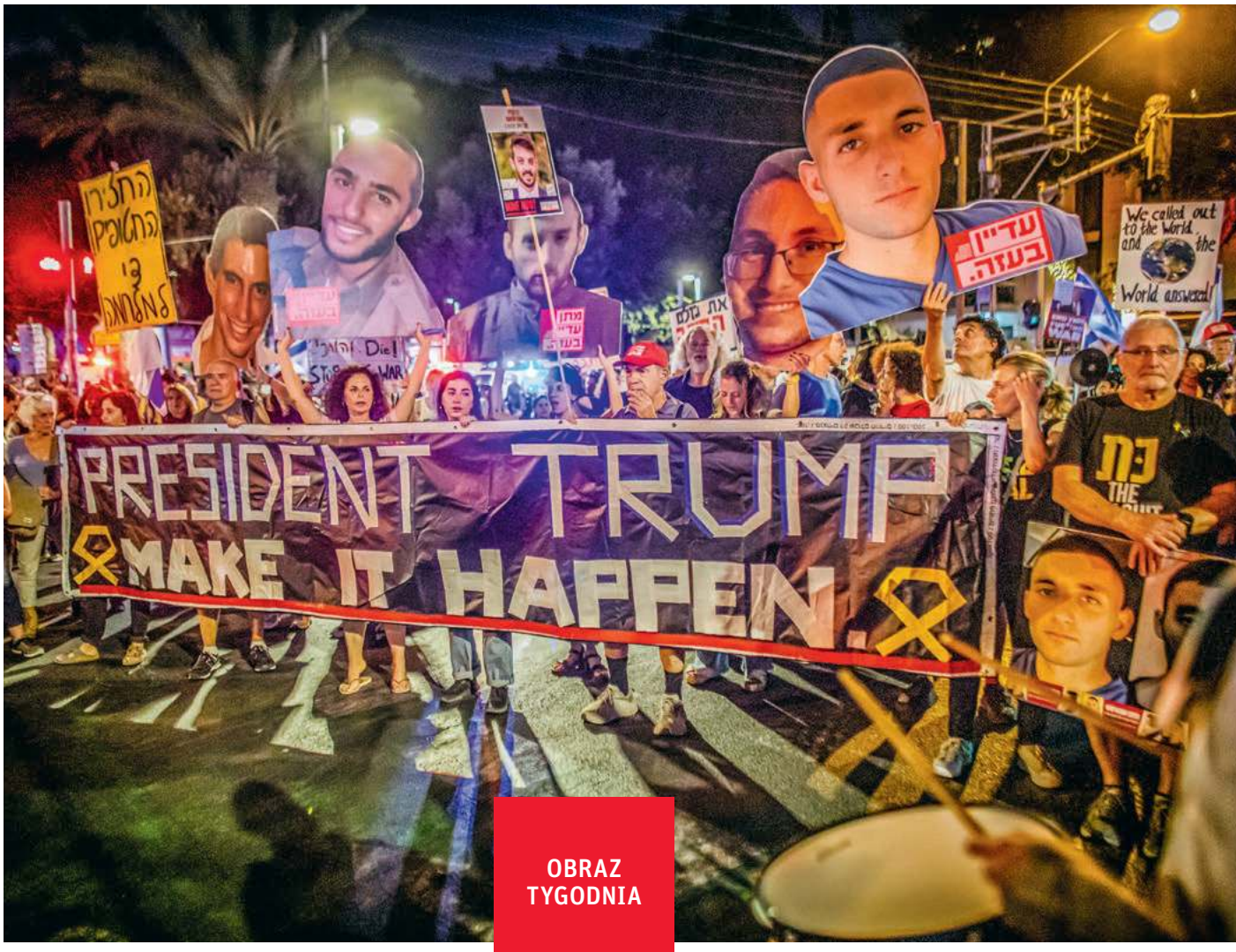

OBRAZ TYGODNIA

CZY TRUMP PRZYNIESIE POKÓJ

Prezydent USA zrewidował politykę bliskowschodnią swojego kraju i niewykluczone, że ofiarą tej rewizji padnie Netanjahu. Chyba że Hamas uratuje izraelskiego premiera i nie wypuści zakładników.

DARIUSZ ROSIAK Z TEL AWIWU

Umieram ze strachu! – krzyczała ze sceny Einav Zangauker, matka Natana porwanego przez Hamas 7 października 2023 r. – Ale dzięki wam rodziny porwanych boją się trochę mniej". To był jeden z najliczniejszych w ostatnich tygodniach protestów na placu Zakładników w centrum Tel Awiwu. Według organizatorów uczestniczyło w nim 200 tys. ludzi, podobne, mniej liczne zgromadzenia miały miejsce w Hajfie, Jerozolimie i w innych miastach Izraela.

Nadzieja mieszała się tu z niepokojem. Mówcy wskazywali, że piątkowa deklaracja Hamasu o gotowości do przyjęcia planu Trumpa to początek drogi. „Jednak pierwszy raz, od kiedy odzyskałem wolność, słyszę słowa, które dają nadzieję" – mówił Gadi Moses wypuszczony przez Hamas po styczniowym porozumieniu, które kilka tygodni później zostało zerwane.

Jest jednak poważna różnica między sytuacją z ostatnich dwóch lat i obecną. Tę różnicę robi Donald Trump – bez wątpienia najpopularniejszy obecnie polityk w Izraelu.

DEKLARACJE TRUMPA wyglądają niekiedy tak, jakby były oparte na przekonaniu, że słowami można naginać rzeczywistość

i tworzyć fakty. Co ważne: obie strony konfliktu wydają się akceptować proponowaną przez niego fikcję po to, żeby przypadkiem nie wyjść na tych, którzy sprzeciwiają się otwarcie woli prezydenta USA. To łączy Hamas i Benjamina Netanjahu: zarówno izraelska, jak i palestyńska opinia publiczna mają dosyć wojny, ale Hamas i Netanjahu wiedzą, że prawdziwy jej koniec oznacza początek rozliczeń za to, co działo się przez ostatnie dwa lata.

Tylko że ostatni tydzień pokazał również, jak bardzo sam Trump chce końca wojny, nawet jeśli to, co ma się wydarzyć po wstrzymaniu ognia, pozostaje na razie mgliste.

HAMAS OŚWIADCZYŁ w piątek wieczorem, że jest gotowy przyjąć częściowo 20-punktowy plan pokojowy Donalda Trumpa dla Gazy, ale słowo „częściowo" jest tutaj nadużyciem. Organizacja zgodziła się w zasadzie na realizację jednego z 20 punktów planu Trumpa, czyli wymianę 48 zakładników, z których najprawdopodobniej 20 pozostaje przy życiu, na setki Palestyńczyków przebywających w izraelskich więzieniach. Wśród nich ma być 250 bojowników skazanych za morderstwa, niektórzy za wielokrotne.

W oświadczeniu Hamasu nie ma mowy o rozbrojeniu organizacji, a zgoda organizacji na „przekazanie administracji Gazy palestyńskiemu gronu technokratów w oparciu o palestyński narodowy konsensus oraz wsparcie arabskie i muzułmańskie" nie oznacza, że Hamas godzi się na rezygnację z uczestnictwa w przyszłych władzach Gazy.

Już w sobotę okazało się, że wypuszczenie zakładników potrwa dłużej niż zakładane w planie 72 godziny, a realnym skutkiem deklaracji Hamasu jest ograniczenie bombardowań Gazy przez Izrael. Jednak po wydaniu przez IDF oświadczenia, że wycofuje się na pozycje defensywne, doszło do kolejnych bombardowań: w weekend w Gazie zginęło 129 Palestyńczyków.

WZNOWIENIE W KAIRZE NEGOCJACJI Izraela z Hamasem za pośrednictwem Kataru, Egiptu i USA to kolejny skutek interwencji Trumpa. Mogą one potrwać kilka dni, chociaż amerykański prezydent ponagla Hamas i grozi organizacji „kompletnym unicestwieniem", jeśli nie będzie współpracować i nie odda władzy w Gazie.

Po piątkowym oświadczeniu Hamasu prezydent Trump ogłosił „wielki dzień" i zadeklarował: „Wierzę, że są gotowi na trwały pokój". W istocie Hamas był co najwyżej gotowy do negocjacji najważniejszych punktów planu, a Trump najwyraźniej uwierzył, że wszystko potoczy się dalej po wprowadzeniu w życie jego pierwszej fazy, czyli zwolnienia zakładników, przerwania wojny i wycofania IDF o kilkaset metrów od pozycji obecnie zajmowanych.

W każdej innej sytuacji Netanjahu odrzuciłby oświadczenie Hamasu, uznając je za nic nieznaczące. Nie miał przecież żadnych skrupułów zerwać uzgodniony na początku roku przez Bidena rozejm i zablokować Gazę na dwa miesiące. Tym razem jednak tego nie zrobił – nie zrobił dlatego, że Trump wymógł na nim akceptację gry medialnej, którą prowadzi.

GRA MEDIALNA nie oznacza jednak w tym przypadku gry pozorów, z czego zdają sobie sprawę obie strony konfliktu. Trump dokonał bowiem w ostatnich latach poważnej rewizji amerykańskiej polityki bliskowschodniej i niewykluczone, że pierwszą jej ofiarą padnie Beniamin Netanjahu. Chyba że Hamas go uratuje i jednak nie wypuści zakładników.

W ostatnich dekadach świat przyzwyczaił się – nie bez powodu – traktować Izrael jako amerykański przyczółek na Bliskim Wschodzie, a od Waszyngtonu oczekiwać bezkrytycznego wsparcia dla kolejnych rządów „jedynej demokracji w regionie". Trump już w pierwszej kadencji zaczął dokonywać wyłomu w tej polityce, a obecnie wywraca ją do góry nogami. Dla amerykańskiego prezydenta partnerami co najmniej tak samo istotnymi jak Izrael w polityce bliskowschodniej są dziś Katar, Arabia Saudyjska czy Emiraty.

Dla Trumpa zniszczenie Hamasu jest ważne, ale na liście priorytetów ustępuje robieniu miliardowych interesów z państwami Zatoki. Liczy się z głosem Egiptu, a prezydenta Turcji Erdoğana nazywa „twardym gościem". „To mój przyjaciel" – mówi o zadeklarowanym wrogu Izraela.

NAJWIĘKSZYM WYGRANYM wydarzeń ostatniego tygodnia nie jest więc ani Izrael, ani, niestety, ludność Gazy, ale Katar. Trump najpierw zmusił Netanjahu do publicznego przeproszenia premiera tego kraju za niedawny atak bombowy na budynek w Dosze, w którym znajdowała się delegacja Hamasu, a następie zadeklarował publicznie, że Ameryka zareaguje militarnie, jeśli Izrael kiedykolwiek powtórzy atak na Katar. W końcu zaś udzielił Katarowi – jednemu z długoletnich sponsorów i opiekunów Hamasu – gwarancji bezpieczeństwa i ochrony wobec działań Izraela.

To wskutek presji państw arabskich Trumpowska wizja „Riwiery w Gazie" przejdzie zapewne do historii jako chwilowy kaprys ekscentrycznego polityka, to dzięki nim amerykański prezydent jasno sprzeciwił się aneksji Zachodniego Brzegu i okupacji izraelskiej w Gazie. To wskutek wpływów państw arabskich i Turcji Trump zdecydował się na ryzykowne wsparcie osadzonego w Damaszku w roli prezydenta Syrii byłego terrorysty islamskiego. Najwyraźniej dla obecnego gospodarza Białego Domu Izrael nie jest już jedynym partnerem do dyskusji na temat kształtu regionu, w tym Gazy.

Jeśli przyjrzeć się deklaracjom Trumpa z ostatnich dni, to można nawet zaryzykować tezę, że potraktował Hamas i Netanjahu niemal symetrycznie: jednym zagroził „rozpętaniem piekła", jeśli odrzucą plan, drugiemu po prostu rozkazał zaprzestać bombardowania Gazy. I obie strony polecenia wykonały: Hamas teoretycznie przyjął plan, Netanjahu teoretycznie zakończył bombardowania.

TRUMP NIE ODWOŁUJE oczywiście poparcia dla Izraela. Jeśli Hamas nie wypuści zakładników w ciągu kilku dni, Netanjahu dostanie po raz kolejny wolną rękę. Plan amerykańskiego prezydenta jest, jak na razie, zapisem projektu negocjacyjnego niewiele różniącym się od poprzednich tego typu inicjatyw. Wszystkie upadły, jednak styl jego przywództwa sprawia, że tym razem nadzieje na koniec koszmaru, który przeżywają dwa miliony ludzi w Gazie, nie są pozbawione podstaw.

Jeśli ceną za to miałaby być Pokojowa Nagroda Nobla dla Trumpa, to niech ją dostanie. ©

Tekst ukończono rano w poniedziałek, 6 października

Czytaj także:
„Zatrzymana flotylla do Gazy"
– komentuje Maciej Augustyn
na **powszech.net/flotylla**

Na sąsiedniej stronie:
Rodzice izraelskich żołnierzy przetrzymywanych w niewoli przez Hamas, domagający się natychmiastowego zakończenia wojny, Tel Awiw, 30 września 2025 r.

EYAL WARSHAVSKY / SOPA / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES



Sprawa Wołodymyra Z.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Pewne w tej historii jest jedno: że 26 września 2022 r. ktoś wysadził Nord Stream. Reszta to spekulacje. To także gorący kartofel w relacjach polsko-niemieckich, a to za sprawą Wołodymyra Z., za którym Niemcy wystawili Europejski Nakaz Aresztowania (ENA); uważają, że należał do grupy, która wysadziła gazociąg. Polskie służby właśnie zatrzymały Ukraińca i teraz sąd ma orzec, czy Polska powinna wydać go Niemcom.

Także w tej sprawie więcej jest pytań niż odpowiedzi. Np. polskie służby już rok temu chciały zatrzymać Wołodymyra Z., ale go nie zastały. Był ponoć w Ukrainie. Później podobno wrócił (na granicy z mocy ENA powinien zostać zatrzymany; nie został) i nie był niepokojony aż do chwili, gdy chciał kupić w Polsce nieruchomość. Dopiero wtedy służbom MSWiA, prowadzącym rutynową kontrolę cudzoziemca, „wyskoczył w systemach" i musiały się po niego znów fatygować.

Inny wątek: żona Wołodymyra Z. powiedziała Radiu Zet, że gdy wysadzono Nord Stream, był z nią w domu. Później z mediów mieli wiedzieć o ENA, ale gdy służby przed rokiem przeszukiwały ich miejsce zamieszkania, o aresztowaniu nie było mowy. Żona może w mediach bronić męża, jak uważa za stosowne. A przed sądem może odmówić zeznań.

Decyzję, czy wydać Wołodymyra Z., podejmie Sąd Okręgowy w Warszawie. Ten nie będzie jednak oceniać, czy wysadzenie było w interesie Polski, ani nawet czy podsądny ma z tym coś wspólnego, lecz czy spełnione są formalne warunki wydania (np. czy to, za co jest ścigany, jest przestępstwem także w Polsce). Odmowa wydania jest możliwa, ale ma miejsce rzadko, bo fundamentem ENA jest zaufanie między państwami Unii.

Tu jednak pojawia się sposób, w jaki Wołodymyra Z. broni jego adwokat. Otóż twierdzi on, że skoro Ukraina jest w stanie wojny z Rosją, a Nord Stream należy do spółki rosyjskiej, która współfinansuje wojnę, to zgodnie z prawem międzynarodowym żaden Ukrainiec nie powinien być sądzony za to wysadzenie.

Konwencje genewskie rzeczywiście chronią kombatantów, czyli walczących w imieniu państwa-strony konfliktu. Tyle że Wołodymyr Z. z wojska, gdzie był księgowym, miał ponoć odejść dawno i jest cywilem. Jeśli wykonywał zadania zlecone przez służby specjalne lub siły zbrojne, to państwo, w imieniu którego działał, powinno było zapewnić mu ochronę, np. nową tożsamość. Chyba że to tożsamością Wołodymyra Z., instruktora nurkowego, posłużył się ktoś inny.

To jednak spekulacje. Weryfikacja faktów należy do sądu. O ile do procesu w ogóle dojdzie. ©

Aresztowany Wołodymyr Z. podejrzany o wysadzenie Nord Stream. Warszawa, 1 października 2025 r.



WOJTEK RADWAŃSKI / AFP



Koniec Hołowni

MAREK KĘSKRAWIEC

Trzeba mu oddać, że wprowadził do Sejmu pozytywne emocje i osiągnął sukces większy niż Janusz Palikot, Paweł Kukiz czy Ryszard Petru, którzy wcześniej próbowali kusić wyborców szeroko rozumianego centrum, duszących się w uścisku duopolu PO-PiS. Niestety, Szymon Hołownia poniósł porażkę, choć miał wielką szansę, by stać się dla Donalda Tuska tym, kim jest Sławomir Mentzen dla Jarosława Kaczyńskiego.

Nie udało się. Przegrał Hołownia i przegrała Polska 2050, która wisiała na liderze i poza Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz (bardzo merytoryczną, ale nielubianą nawet we własnej partii) nie udało jej się wypromować innych silnych postaci, tworzących wrażenie kompetentnej ekipy. Gdy Hołownia postanowił odejść z polityki i zaproponował do roli wicepremiera budzącą irytację Tuska ministrę funduszy, partia niemal się zbuntowała. Podczas głosowania zarówno w klubie, jak i na radzie krajowej Pełczyńska ledwo wygrała z Pauliną Hennig-Kloską. Mimo iż ministra klimatu nie ma na swoim koncie sukcesów ani też osobowości liderki.

Za sobą nie pociągnie partii także kolejny kandydat do zastąpienia Hołowni, czyli Ryszard Petru. Jeśli gdzieś mógłby ją pociągnąć, to tylko na dno.

Słowem, Polska 2050 ma dobrych fachowców i organizatorów, jak Paweł Śliz, ale to za mało, by sondaże ruszyły powyżej obecnego 1 procenta – tak naprawdę to koniec ugrupowania, które prawie nie ma struktur w terenie.

Hołownia odchodzi jako polityk przegrany i nie zmienią tego obecne starania o pracę w ONZ. Skonfliktowany z Tuskiem, zostawia partię na lodzie, pisząc do niej w liście o szambie, przez które przeszedł w polityce. Okazało się, że choć wprowadził do niej sporo luzu, to jednak w nim samym było go za mało. Obraził się na naród po porażce w wyścigu prezydenckim, w którym zamiast zajmować się sobą i swoim programem (choćby świetnym pomysłem odpartyjnienia spółek, do którego nie umiał przekonać nawet koalicjanta z PSL), skupiał się na obrzydzaniu wyborcom Mentzena.

Jego 30-osobowy klub zostanie zapewne „zagospodarowany" przez KO, która musi dbać o większość. Jeśli jednak choć 10 posłów przejdzie do opozycji, rząd upadnie, a my pójdziemy na wybory. Podczas głosowania nad prezydenckim projektem w sprawie CPK 9 posłów Hołowni zagłosowało inaczej niż cała koalicja. To nie przypadek. ©℗

NA PUNKTY

KAWA
Doprowadzony przez policję na przesłuchanie przed sejmową komisją śledczą w sprawie Pegasusa Zbigniew Ziobro wkroczył z kubkiem kawy, a następnie rozluźniony dyskutował z posłami, których nie uznaje za legalnych śledczych, przyznając, że był inicjatorem zakupu systemu, choć finalna decyzja o użyciu środków Funduszu Sprawiedliwości należała do wiceministra Wosia, który „znał jego kierunkową wolę".

KEBAB
Prezydent Nawrocki tymczasem wybrał kebab: po wizycie na rozpoczęciu roku szkolnego w jednej z mazowieckich podstawówek przyjął zaproszenie miejscowych uczniów do lokalu pod malowniczą nazwą „Shawerma Kebab"; obecnie lokal oferuje już kebab prezydencki, w którym ostry sos połączono z serowym.

COŚ MOCNIEJSZEGO
„Rzeczpospolita" informuje zaś o libacji posłów PiS w hotelu poselskim po prezydenckiej inauguracji. Uczestnicy uroczystości mieli śpiewać pono „Staszek piątka, Tomek dycha, a dwudziestka dla Giertycha", projektując kary dla polityków koalicji rządowej. ©℗



Kto według papieża jest pro-life

ARTUR SPORNIAK

Liberalny amerykański hierarcha – kard. Blase Cupich z Chicago – próbował przyznać nagrodę diecezjalną senatorowi Dickowi Durbinowi, który od wielu lat działa na rzecz migrantów. Problemem okazały się poglądy katolickiego demokraty na aborcję. Ponieważ ją wspiera, aż dziesięciu biskupów publicznie skrytykowało decyzję kard. Cupicha.



Ostre spięcie w amerykańskim Kościele sprowokowało komentarz Leona XIV (na zdjęciu). Papież zaskoczył amerykańskie środowiska *pro-life*, bo nie zajął jednoznacznego stanowiska. Najpierw stwierdził: „Bardzo ważne jest, aby przyjrzeć się całokształtowi pracy, jaką wykonał senator w ciągu, jeśli się nie mylę, 40 lat służby w Senacie Stanów Zjednoczonych". W ten sposób dał do zrozumienia, by nie sprowadzać ludzkiego życia do jednego tematu. A potem zaczął się zastanawiać, kto jest *pro-life*: „Ktoś, kto mówi: »Jestem przeciwny aborcji«, ale opowiada się za karą śmierci, tak naprawdę nie jest *pro-life*. Ktoś, kto mówi: »Jestem przeciwny aborcji, ale zgadzam się z nieludzkim traktowaniem imigrantów w Stanach Zjednoczonych«, nie wiem, czy to jest *pro-life*".

Dzięki ryzykownej decyzji kard. Cupicha (która ostatecznie nie doszła do skutku, bo Durbin odmówił przyjęcia wyróżnienia) dowiedzieliśmy się, że Leon XIV zdaje sobie sprawę z trudności stosowania doktryny kościelnej w skomplikowanym życiu. Zalecił, aby „uważnie przyjrzeć się wszystkim tym kwestiom etycznym i znaleźć drogę naprzód jako Kościół".

Senator Durbin na początku kariery politycznej był przeciwnikiem aborcji. Jak sam przyznaje, z czasem rosła w nim jednak świadomość potencjalnie szkodliwych skutków takiego podejścia wobec kobiet w obliczu niebezpiecznych ciąż. „Nadal sprzeciwiam się aborcji i zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, aby przekonać każdą kobietę w mojej rodzinie do donoszenia ciąży – mówił w jednym z wywiadów. – Wierzę jednak, że ostatecznie decyzję musi podjąć kobieta, jej lekarz, jej rodzina i jej sumienie". ©℗

ANDREAS SOLARO / AFP / EAST NEWS



Babiš wraca do władzy w Czechach

MARTYNA WASIUTA Z PRAGI

Zgodnie z prognozami wybory w Czechach wygrał ruch ANO Andreja Babiša; poparła go ponad jedna trzecia wyborców. Drugie miejsce przypadło współrządzącej centroprawicowej koalicji Spolu premiera Fiali (jedna czwarta głosów). Zaskoczeniem okazało się trzecie miejsce: zamiast SPD Tomia Okamury, przypadło ruchowi Burmistrzowie i Niezależni (11 proc.). Do Izby Poselskiej dostali się też Piraci (9 proc.), wspomniana SPD (8 proc.) i ugrupowanie Kierowcy dla Siebie (7 proc.).

Zwycięstwo Babiša jest spektakularne. Nie dość, że dostał rekordowe poparcie (najwięcej głosów w historii ANO), to wygrał we wszystkich województwach prócz Pragi (stolica to bastion liberałów). W regionach karlowarskim i morawskośląskim (sąsiadującym z Polską) ANO otrzymało ponad 40 proc.; to właśnie wyższa frekwencja w województwach przygranicznych i na niektórych obszarach peryferyjnych przesądziła o takim wyniku.

Babiš zapowiada, że chce tworzyć rząd mniejszościowy, a o jego poparcie zwróci się do SPD i Kierowców; głosy tych frakcji wystarczą, aby uzyskał on wotum zaufania (z pozostałymi na razie nie zamierza rozmawiać). Jeśli do tego dojdzie, wpływ na władzę w Czechach uzyskają tacy ludzie jak Tomio Okamura, Jindřich Rajchl, Zuzana Majerová i Miroslav Ševčík – by wymienić najbardziej znanych polityków, którzy w istocie szerzą propagandę prorosyjską i antyukraińską.

Wprawdzie postulowane przez SPD referendum o wyjściu Czech z Unii i NATO jest mało realne, ale pod rządami populistów, których wspierać będą radykalni antysystemowcy o zabarwieniu ksenofobicznym, antyunijnym i antyekologicznym, w społeczeństwie może oswajać się mentalny czexit. Pod znakiem zapytania stanie też tzw. czeska inicjatywa amunicyjna. Rysująca się „koalicja trojga" jest przeciwna pomocy wojskowej dla Kijowa.

Na razie trwają spotkania prezydenta Petra Pavla z przywódcami ugrupowań. Stuprocentowej pewności, kto będzie rządził Czechami, jeszcze nie ma. Teoretycznie nie można wykluczyć także innych scenariuszy. ©

Autorka prowadzi portal Czeskapolityka.pl



KRZYSZTOF SZLĘZAK NIFC / MATERIAŁY PRASOWE

Pianista Kevin Chen podczas I etapu XIX Konkursu Chopinowskiego

Konkurs Chopinowski: nasze godziny kibicowania

MUZYKA ▪ Słynna fraza z „Dnia świra" straciła swoją ironię. Konkursu Chopinowskiego nie da się nie słuchać – a przynajmniej: nie da się o nim nie usłyszeć. Relacjonują go wszystkie dobre media, w Warszawie towarzyszy mu kilka różnych wystaw, jeździ w charakterze specjalnego tramwaju. Dotarł nawet do świadomości drogowców, którzy na czas jego trwania ostatecznie wstrzymali prace w okolicach Filharmonii Narodowej.

Konkurs Chopinowski, który zbliża się do swojego stulecia (2027), odbywa się w tym roku po raz 19. Przesłuchania trwają od 3 października. I etap gromadzi 84 pianistów z 19 krajów (w tym pod neutralną flagą), których ocenia siedemnastoosobowe jury pod przewodnictwem Garricka Ohlssona (znakomitego pianisty i takiegoż znawcy Chopina, triumfatora Konkursu z roku 1970).

Do składu sędziowskiego liczą się pianiści koncertujący i profesorowie fortepianu, zazwyczaj znani jako laureaci Konkursu (nie da się zapomnieć, że znaczna część uczestników jest też ich uczniami), a także muzykolog i krytyk muzyczny (obaj z UK). Słuchają Konkursu dziennikarze z całego świata oraz publiczność, która oblega codziennie kasę w polowaniu na wejściówki (bilety „wyszły" zaraz po rozpoczęciu sprzedaży). Znak to dojmujący, że sala Filharmonii Narodowej, odbudowanej po wojnie ze zmniejszoną widownią (na niespełna 1100 miejsc), jest już zdecydowanie za mała na globalną imprezę, jaką stał się Konkurs.

Główną widownią turnieju są więc w tej chwili odbiorcy TVP Kultura, Polskiego Radia oraz – być może przede wszystkim – Internetu (kanał YouTube Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina, ale też obecne tam transmisje radiowe i telewizyjne).

Efekt brzmieniowy jest wprawdzie pod wieloma względami odmienny od tego, co słychać na sali (zazwyczaj bardzo łaskawy dla pianistów), co bynajmniej nie oznacza, że nie należy cieszyć się Konkursem w taki sposób. Przeciwnie – zwłaszcza jeśli głównym przedmiotem jest radość słuchania muzyki Chopina (jak można sądzić po wielu komentarzach internautów) – może być ona tym większa. W każdym razie w ten sposób Konkurs trafia do milionów ludzi kibicujących młodym pianistom i poznających coraz lepiej twórczość „naczelnego u nas artysty" – jak wyrokował Norwid.

O porównaniach natomiast, na podstawie spędzonych każdego dnia 9 lub 10 godzinach w sali Filharmonii Narodowej, będą mogli Państwo przeczytać w naszych internetowych relacjach podsumowujących każdy kolejny etap turnieju. Pierwsza w najbliższą środę 8 października. © JAKUB PUCHALSKI

Eliza Kącka z podwójną Nagrodą Nike

LITERATURA ▪ Właściwie trwa to już półtora roku. Odkąd wiosną 2024 r. ukazała się jej najnowsza książka, Eliza Kącka nieustannie podróżuje po bibliotekach, domach kultury i festiwalach literackich, by opowiadać o Rudej, swojej bohaterce. Życiu w trasie towarzyszy ponad 10 tys. sprzedanych egzemplarzy – w naszych realiach rynkowych: bestseller.

Nic dziwnego. Nagrodzony właśnie podwójną Nike (jury i czytelników) tytuł opowiada o wielu rodzinach: wychowujemy w Polsce kilkaset tysięcy dzieci w spektrum. Chętnie czytamy też książki z gatunku autofikcji, a więc takie, w których odnajdujemy fabularyzowany nieledwie zapis konkretnego życia. Oba te aspekty sprawiły, że książka Kąckiej „Wczoraj byłaś zła na zielono" – wyznanie matki dziecka w spektrum – jest tak poczytna. Podczas lektury spotykamy tu kogoś, kto przeżywa podobnie. Mamy reprezentantkę i orędowniczkę wspólnej sprawy, dzięki której inni usłyszą o naszych troskach.



SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Laureatka nagrody Nike Eliza Kącka w trakcie gali Nagrody Literackiej Nike 2025. Warszawa, 5 października 2025 r.

Kącka robi jednak w swojej prozie znacznie więcej. Na poziomie konstrukcji odwołuje się do antycznej tragedii (to monolog, a czasem przejmujący krzyk matki zmagającej się z nieudolnym systemem przy wtórze chóru nieustannie komentującego i oceniającego jej poczynania). Na poziomie świata przedstawionego tworzy postaci jak z japońskiej anime, w której las i jego zwierzęta mają dusze i role do spełnienia: pomagają ludziom. To za ich sprawą codzienne perypetie Rudej i jej matki rozrastają się w fantastyczne przygody.

„Wczoraj byłaś zła na zielono" to także klucz do poprzednich książek Kąckiej. Wystarczy rzut oka na pierwsze zdanie „Elizji" (2017): „Była sobie królewna, którą przywiało skądinąd. Tak, to wymaga krótkich objaśnień". Dostaliśmy nader obszerne wyjaśnienia i wgląd w życie królestwa Rudej, lisa i Moroufków, miejsca zasypującego na moment przepaść między logiką a etyką.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Zmarła Jane Goodall, matka chrzestna szympansów

POŻEGNANIE ■ Louis Leakey miał niezrównaną wiedzę o narzędziach z kamienia i ludzkich kościach, ale obawiał się, że nie zrekonstruuje ewolucji człowieka, jeśli nie pozna lepiej naszych najbliższych żyjących krewnych – małp człowiekowatych. O nich wiedział niewiele. Podobnie jak młoda brytyjska sekretarka, która w połowie ubiegłego wieku wyznała mu, że marzy o prowadzeniu badań w dżungli.

Brak doświadczenia – i biologicznego wykształcenia – Leakeyowi nie przeszkadzał. Uważał wręcz, że to atut, bo osoba spoza świata akademickiego dostrzeże w dżungli więcej niż ktoś, komu głowę umeblowały obowiązujące teorie. Tak zaczęła się kariera Jane Goodall, najsłynniejszej badaczki szympansów na świecie i działaczki ekologicznej, która zmieniła sposób, w jaki myślimy nie tylko o naszych małpich kuzynach – ale także o nas samych.

Już po kilku miesiącach pobytu w Gombe w Tanzanii Goodall zaobserwowała, że szympansy wykonują narzędzia z roślin do rozgrzebywania kopców termitów i czerpania wody. „Musimy teraz zmienić definicję człowieka, zmienić definicję narzędzi albo uznać, że szympansy to ludzie" – odpisał jej Leakey, któremu zawdzięczamy pogląd, że wytwarzanie narzędzi uczyniło nas ludźmi.



BRUCE COLEMAN / ALAMY / B&EW

Jane Goodall podczas pracy z szympansami, ok. 1985 r.

Goodall nie uczyniła z szympansów ludzi, choć bez wątpienia patrzyła na nie jak na istoty zdolne do „ludzkich" przeżyć i motywacji, posiadające duszę. Obserwowała miłości i przyjaźnie, sojusze i zdrady, agresję i empatię, polityczne negocjacje i wojnę domową.

Dziesiątki lat obserwacji przełożyła na prace naukowe i książki dla szerokiej publiczności. Portretowane w nich małpy miały bogate osobowości – Flo była troskliwą matką, której dzieci zrobiły kariery w stadzie, Passion – bezwzględną dzieciobójczynią, a Mike'owi nie brakowało wyobraźni – jego kariera polityczna nabrała rozpędu, gdy zaczął w swoich demonstracjach wykorzystywać metalowe kanistry podkradane Goodall, terroryzując wszystkich wywoływanym hałasem.

Niektórym badaczom styl pisarski Goodall wydawał się nieuzasadnioną antropomorfizacją, ale to ona miała rację. W ostatniej dekadzie w eksperymentach laboratoryjnych udowodniono, że małpy człowiekowate posiadają tzw. teorię umysłu, czyli traktują inne osobniki jako posiadające własne przekonania, wiedzę czy intencje. Dla Goodall, która w dżungli dotknęła prawdziwego szympansiego życia, było to od dawna oczywiste.

Trudno zrozumieć, dlaczego jej książek nadal nie ma na listach szkolnych lektur. Można z nich uczyć złożoności przyrody i wrażliwości na nią, naukowego stylu myślenia i otwartości na odmienność. Dzięki Goodall z pewnością staliśmy się dużo mądrzejsi. Ale jej zależało głównie na tym, byśmy stali się lepsi. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

REPARACJE BEZ ZŁUDZEŃ

Podczas polsko-niemieckich negocjacji o odszkodowania za II wojnę światową warto wyciągać wnioski z tego, jak postępował Izrael. Pojednanie to nie pięknoduchostwo, ale element geopolitycznej kalkulacji.

MAREK ZAJĄC



Na początek zagadka: skąd pochodzi cytat? „Niemcy znów potrzebują Lebensraumu i wydalają migrantów, którzy pracować nie chcą, a zabierają niemieckie powietrze. Nasi zachodni sąsiedzi rozwiązanie problemu mają proste: niechcianych przybyszów podrzucą innym krajom, w tym Polsce, a przywódcy tych państw muszą to zaakceptować”.

Pruska buta stawia buta

Tymi słowami rozpoczęło się jedno z wydań Expressu Republiki, imitacji legendarnego magazynu wykreowanego przez TVP1 przed niemal 40 laty. Oczywiście można wzruszyć ramionami, tyle że Republika w krótkim czasie stała się najchętniej oglądaną stacją informacyjną w Polsce (wspomniany Express regularnie przekracza barierę pół miliona widzów).

W dodatku to nie był incydent. Oto kolejna próbka: „Rasa panów znów podnosi głowę. Niemcy po raz kolejny poczuli się lepsi od innych, traktując sąsiednie kraje jak terytoria zależne. Każą nam przyjmować nielegalnych migrantów, których sami wydalają, uznając za bezużytecznych. Pruska buta znów stawia buta na polskim grzbiecie, a Expressowi Republiki twierdzą będzie każdy próg. Rafał Patyra, zaczynamy! Tak nam dopomóż Bóg!” – dziarsko pokrzykuje prowadzący.

Czego tu nie ma: nazistowska ideologia, pruscy Polakożercy, bieżąca polityka, Konopnicka z „Rotą”, a na koniec sam Bóg – zmiksowane i podporządkowane celom propagandowym. Następna odsłona Expressu Republiki: „Polska w likwidacji! Tym razem rząd Donalda Tuska wydał wyrok na Pocztę Polską. Pracownicy chcą Poczty bronić. Od ich determinacji zależy, czy – jak obrońcy Poczty Polskiej w Gdańsku, we wrześniu ’39 – trafią kiedyś na znaczki”.

Porównanie pracowniczych protestów w demokratycznym kraju do bohaterskiego oporu ludzi, którzy po kilkunastu godzinach walki w większości zostali przez Niemców wymordowani – zakrawa na aberrację. Ale w tym szaleństwie jest metoda: podgrzewanie patriotycznego wzmożenia, gra na historycznych traumach i zohydzanie rządzących.

Antyniemiecki obłęd wdarł się nawet na ambonę Jasnej Góry. Emerytowany biskup włocławski Wiesław Mering latem przekonywał uczestników pielgrzymki Rodziny Radia Maryja: „Rządzą nami ludzie, którzy samych siebie określają jako Niemców. Jak świat światem – mówił w XVIII w. jeden z polskich poetów Wacław Potocki – nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Odpowiedzią były brawa, mimo sprzeczności tych słów z Ewangelią. Jak na ironię, za kilka tygodni minie 60. rocznica listu biskupów polskich do niemieckich, który w 1965 r. otworzył drogę pojednaniu między oboma narodami.

Polemika nie ma sensu, bo – jak mówi świetny historyk, prof. Tomasz Szarota – „język głupoty bywa nieprzetłumaczalny na język rozumu i refleksji”. Trzeba się jednak zastanowić, dlaczego zatrute ziarno pada na tak podatny grunt – i jakie mogą być skutki. Ale wcześniej warto przywołać trzy przykłady innego myślenia *à la polonaise*. Dla przypomnienia, po której stronie stać, nawet jeżeli na krótką metę się to nie opłaca.

Zjednoczona Europa, lato 1939

Przykład pierwszy: lato 1939 r. Ukazuje się podwójny numer „Wiadomości Literackich” – na czasie, bo poświęcony miastu Gdańsk. Czołówkowy tekst nieprzypadkowo zlecono Ksaweremu Pruszyńskiemu, który w 1932 r. – jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy – jako dwudziestokilkuletni reporter odwiedził miasto Neptuna i napisał książkę pod bezczelnie proroczym tytułem: „Sarajewo 1914, Szanghaj 1932, Gdańsk 193?”. Stawiając tezę, że nowa odsłona światowego konfliktu może rozpocząć się właśnie tam, i to jeszcze w latach 30.

Teraz wraca do Gdańska, ale już w pierwszych zdaniach zastrzega, że nie zamierza pisać o oczywistościach. Zachodzi do kościołów, podziwia zabytki, odwiedza antykwariaty. Dopiero w poincie wraca do mroków dnia bieżącego. Podkreśla, że cała Europa środkowowschodnia patrzy na Gdańsk, który jest sprawdzianem, czy krajom tym przyjdzie stać się niemieckim Lebensraumem. A potem znowu wygłasza proroctwo: „Wbrew temu, co by się wydawać mogło, czas pracuje nad komasacją Europy. Czas pracuje nad zlaniem europejskich ziem i plemion, nad zburzeniem granic, którymi Europę posiekano”.

Ta europejska wspólnota wyłoni się z wojny, która wkrótce wstrząśnie kontynentem. Pruszyński pyta: kto wtedy będzie „narzędziem historii? Pod jakimi hasłami ta jedność nastąpi? Kto przeważy? Oto pytania bez rozstrzygnięcia. Ale jeśli się je rozstrzygnie w imię wolności i kultury, w imię współpracy plemion europejskich, wtedy przyszłość odgrzebie i przypomni to wielkie dzieło, jakie tu właśnie wzniosła w wieku XV współpraca polsko-niemiecka”. Przyjdzie taki czas, że dzieci w szkołach zagłębiać się będą we wspólną historię Europy, wskazującą, że „w owych dawnych stuleciach tu – u ujścia Wisły – znaleźli się ludzie staroświeccy, mieszczanie, szlachta, kanclerze i ławnicy, Polacy i Niemcy, Niemcy i Polacy, którzy dla dzieła jedności europejskiej” byli tym, czym „bracia Montgolfier i mityczny Ikar stali się dla lotnictwa”.

Dzieci z płonącego Hamburga

Przykład drugi: jesień 1943 r., najmroczniejszy okres okupacji. Grupa konspiratorów związanych z Frontem Odrodzenia Polski – podziemną organizacją katolicką; kluczowymi postaciami są Zofia Kossak i ks. Jan Zieja – dyskutuje o stosunku do Niemców. Czy wolno nienawidzić wszystkich? Są przecież i tacy jak rodzeństwo Schollów z Monachium czy bp Klemens August von Galen z Münster, który w kazaniach potępia nazistów. ↦



DOMINIKA ZARZYCKA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Czy niemieckie inwestycje w obronność Polski to pomysł na wyjście z impasu? Na zdjęciu: żołnierze Bundeswehry, którzy chronią przestrzeń powietrzną wokół lotniska w Jasionce pod Rzeszowem. 23 stycznia 2025 r.

↦ FOP wydaje poświęconym tym problemom numer konspiracyjnego pisma „Prawda". Szczególnie porusza wiersz Leonii Jabłonkówny, Żydówki, która wkrótce się ochrzci, a teraz ukrywa się przed Niemcami:

Za ugór ojczysty rozdarty,
Za fali wiślanej płacz krwawy,
Za Tatry skalane i Bałtyk,
Za wrzesień śmiertelny Warszawy;

Za grób, co słabnącym jak ulga,
Pokusą w męczeńskich dniach świeci –
– Zbaw, Panie, kobiety i dzieci
Z płonących pożarów Hamburga.

Czy esesman z Auschwitz może być niewinny

Przykład trzeci: styczeń 1948 r. Wciąż głośne są echa krakowskiego procesu czterdziestu członków załogi KL Auschwitz, w tym drugiego komendanta, SS-Obersturmbannführera Arthura Liebehenschela. W ponad 20 przypadkach kończy się na karze śmierci, ale są też wyroki łagodne, a nawet uniewinnienie. Ludzie są oburzeni. Gdzie tu sprawiedliwość?

Pod wrażeniem tych głosów Stanisław Stomma, 40-letni prawnik i redaktor „TP", pisze artykuł „Zwycięstwo nad zemstą". Nie kryje dumy z faktu, że proces był praworządny. „Droga zemsty jest zasadniczo zamkniętą, ślepą uliczką. Najbardziej skrajne emocjonalne wyżycie się w tym kierunku może mieć jako rezultat jedynie tylko pogłębianie złych instynktów w naturze ludzkiej drzemiących" – przypomina.

Precyzuje, że zbrodnia zasługuje na surową karę, która ma oddziaływać na „psychikę narodu niemieckiego". Ta rola prewencyjna i wychowawcza ma też znaczenie w ogólnoświatowym kontekście: „Tyranom i sadystom wszystkich krajów dać trzeba przekonywającą lekcję poglądową". Ale skuteczna walka ze złem „wymaga metod skrajnie przeciwnych i przyjęcia założeń zasadniczo odmiennych od tych, które stały się podłożem psychicznym owych zbrodni. Stąd postulat humanistycznej troski o człowieka".

Ostatni akapit musiał brzmieć wstrząsająco ledwie trzy lata po zakończeniu wojny: „Jesteśmy w sytuacji kluczowej jako kraj, który w sposób szczególny przez zbrodniczą działalność hitlerowską został zdewastowany, i jako kraj, gdzie – siłą rzeczy – toczy się największa ilość procesów ekspiacyjnych. Od nas więc w dużej mierze zależeć będzie sens tej lekcji dziejowej. Nie zmarnujmy wielkich możliwości ideowych".

Bundeswehra broni Rzeszowa

Co pokazują te przykłady? Otóż w czasach, gdy nienawiść do Niemców była zrozumiała, żyli Polacy, którzy pojmowali więcej, myśleli głębiej i widzieli dalej. Dziś, gdy dialog i pojednanie wyszydza się jako pięknoduchostwo, głupotę lub zdradę – trzeba pamiętać o ludziach takich jak Pruszyński, Zieja, Kossak i Stomma, którzy w przeciwieństwie do internetowych krzykaczy za oddanie Polsce słono płacili: od ran na froncie, przez codzienne narażanie życia, po deportację do Auschwitz czy samotny sprzeciw w PRL.

Ale ważniejsza od licytacji zasług jest inna kwestia. Architekci polsko-niemieckiego pojednania łączyli odwagę moralną z kalkulacją. Ich celem było wyrwanie Polski z pułapki położenia między wrogimi Rosją i Niemcami. To było ich marzenie i zadanie: zmienić na naszą korzyść układ płyt tektonicznych geopolityki.

Wymowna pod tym względem była postawa kard. Stefana Wyszyńskiego. Przez lata prymas odmawiał podróży do Niemiec. Wychodził z założenia, że bez ostatecznego potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie byłby to sygnał dwuznaczny. Ale niespodziewanie w 1978 r. stwierdził, że pora jechać.

Mieszkając u biskupa Fuldy, pewnego wieczoru zaprosił swego kapelana, ks. Bronisława Piaseckiego, który na gorąco zanotował jego słowa: „Muszę to komuś powiedzieć. Mówię tobie. Dlaczego jesteśmy tu w Niemczech, dlaczego przyjechaliśmy. Erozja polskiego Kościoła jest znaczna. Komunizm jeszcze potrwa. Sami nie udźwigniemy tej konfrontacji. Dlatego musimy szukać oparcia w innych Kościołach. Hiszpanie są daleko. Italczycy są tacy, jacy są. Na Francuzów nie można liczyć. Pozostają Niemcy. Z nimi musimy nawiązać ściślejszą współpracę". Niech za komentarz posłuży przekonanie watykanistów, że ważką rolę w wyborze Karola Wojtyły na papieża odegrali kardynałowie niemieckojęzyczni.

Bieg historii potwierdził rację tych, którzy postawili na zbliżenie z Niemcami; zresztą z dziejowego i kulturowego punktu widzenia odwrotny kierunek – na Wschód – jest nonsensowny. Nasze dobrosąsiedzkie relacje ułatwiły wejście do NATO i UE. Wystarczy zresztą wykonać ćwiczenie wyobraźni: co by było, gdybyśmy w obliczu imperialnych zapędów Putina mieli za plecami wrogą albo chłodno neutralną Republikę Federalną? Naprawdę nie potrafimy docenić, jaki zwrot w trajektorii dziejów odzwierciedla fakt, że 80 lat po zakończeniu II wojny żołnierze Bundeswehry, obsługujący wyrzutnie Patriot, strzegą lotniska w Jasionce?

Niemcy–Izrael: historia targu

Geopolityczne kwantyfikatory powinny wskazywać strategiczny kierunek, ale nie mogą przysłaniać rzeczywistości. A rzeczywistość jest taka, że Niemcy nie są aniołami. Choć ich państwo i społeczeństwo przeszły spektakularną przemianę od turbonacjonalizmu i agresywnego militaryzmu do pokojowego i liberalnego demokratyzmu – Niemcy nie przestali twardo walczyć o własne interesy. Znakomicie ilustruje to historia ich negocjacji z Izraelem.

Drogę do nawiązania stosunków między oboma państwami i odszkodowań za zbrodnie Holokaustu otworzyło przemówienie kanclerza Adenauera, wygłoszone przed Bundestagiem we wrześniu 1951 r. Kiedy po latach otwarto izraelskie archiwa rządowe, okazało się, że – co opisał Tom Segev w książce „Siódmy milion" – Izrael i RFN w tajemnicy targowały się o pojedyncze słowa. Przykładowo Izraelczycy żądali, by Adenauer przyznał, że Niemcy są winni Zagłady. Ten przystał jedynie na sformułowanie o „niewyobrażalnych zbrodniach popełnionych w imieniu Niemców".

Ostre spory wywołał też *passus* o reparacjach i zadośćuczynieniu. Adenauer zamierzał wtrącić kilka słów o wypłatach na miarę ograniczonych możliwości Niemiec – taktownie dodając, że *wiele* jeszcze pozostaje do zrobienia. Władze Izraela nie godziły się na zmiękczające wtrącenia, a zamiast *wiele* domagały się, by mowa była o *większości*. Negocjatorzy spotkali się w połowie drogi, przyjmując niejednoznaczne... *bardzo wiele*.

Tak oto z ust kanclerza popłynęły historyczne zdania: „Te niewyobrażalne



REX FEATURES / EAST NEWS

Podczas wizyty w Berlinie prezydent Nawrocki poruszył kwestię reparacji i spotkał się z odmową. W obu krajach wrócił za to pomysł, by Niemcy wsparły rozbudowę polskiej armii, co mogłoby być też formą zadośćuczynienia. Na zdjęciu: prezydent Karol Nawrocki i kanclerz Friedrich Merz, 16 września 2025 r.

zbrodnie popełnione w imieniu Niemców wymagają moralnego i materialnego zadośćuczynienia zarówno za krzywdy wyrządzone poszczególnym Żydom, jak i za utraconą własność, nawet jeśli nie żyją ludzie, którzy mogliby się o nią upomnieć. W tej dziedzinie podjęto już pierwsze kroki. Bardzo wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Republika Federalna zajmie się uchwaleniem odpowiednich ustaw o reparacjach i dopilnuje ich sprawiedliwego wprowadzenia w życie". Nietrudno sobie wyobrazić, co się działo podczas późniejszego negocjowania kwot finansowych. Jeden z żydowskich uczestników skwitował to krótko: targ bydła.

Oczywiście można się oburzać, ale tak wygląda polityka. Zawarto porozumienie, bo leżało to w interesie obu państw, mozolnie legitymizujących i normalizujących swe istnienie, czemu sekundowali potężni sojusznicy.

O wiele trudniejsza była sytuacja Polski na początku lat 90. XX w., gdy toczyły się rozmowy o zjednoczeniu Niemiec. Wydawać się mogło, że właśnie wtedy uda się wrócić do kwestii reparacji, z których rząd PRL – pod sowieckim naciskiem – zrezygnował latem 1953 r. Dlaczego się nie udało? Bo mistrzowską partię dyplomatycznego pokera rozegrał kanclerz Helmut Kohl, przesuwając całą uwagę na uznanie granicy na Odrze i Nysie. Co gorsza, żadne z mocarstw prowadzących wówczas rozmowy z Niemcami w formacie 2+4 nie było zainteresowane wspieraniem polskich roszczeń. Byliśmy bez szans, a jednocześnie toczyliśmy grę o sprawy kluczowe – o suwerenność, trwałość powojennych granic, pozbycie się wojsk radzieckich, transformację gospodarczą, rozpoczęcie procesów akcesyjnych z NATO i UE. I te cele udało się osiągnąć.

Rzutem na taśmę próbowaliśmy wrócić do reparacji przy okazji ratyfikowania traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Jednak Kohl z zimną krwią wyłożył cztery asy: ratyfikację przez Niemcy traktatu granicznego, umorzenie części polskiego zadłużenia, ruch bezwizowy i wsparcie dla unijnych aspiracji Warszawy. Polski rząd znów nie mógł liczyć na wsparcie światowych potęg. Mając słabsze karty, wzięliśmy, co było na stole. Powtórzmy: słusznie. Niestety, między Odrą i Bugiem ponad skuteczność zwykło się stawiać tromtadrację.

Zdrada, po wielokroć zdrada

Dziś droga prawna do uzyskania niemieckich reparacji, szacowanych w oparciu o polskie straty wojenne – jest zamknięta. Eksperci twierdzą jednak, że walczyć można o odszkodowania, skierowane do określonych grup ofiar, i zadośćuczynienie w formie konkretnych projektów.

Oczywiście według sondaży niemal 60 proc. Polaków uważa, że Niemcy powinny wypłacić nam reparacje. Abstrahując od kwestii, czy ankietowani dostrzegają różnicę między reparacjami i odszkodowaniami – wynik nie może dziwić, bo opiera się na zdrowym odruchu moralnym i elementarnym poczuciu sprawiedliwości. To nie obywatele są problemem, ale politycy i ich pomagierzy, którzy oszukują ludzi wizją szklanych domów za niemieckie pieniądze.

Ich narracja wpisuje się w opowieść o narodzie nieustannie zdradzanym, oszukiwanym i osamotnionym. Weźmy tylko XX wiek: 1920 – pierwsza zdrada Zachodu w obliczu bolszewickiego najazdu; pojęcie ukute przez prof. Andrzeja Nowaka. 1939 – zdrada Francuzów i Brytyjczyków, rzucenie Polaków na pastwę Hitlera i Stalina. 1943 – zdrada Wielkiej Trójki w Teheranie. 1944 – zdrada Sowietów, którzy nie przyszli z pomocą Powstaniu Warszawskiemu. 1945 – zdrada zwycięskich mocarstw w Jałcie i Poczdamie. A dziś? Odpowiedź narzuca się sama: mimo cierpień i zasług jesteśmy lekceważeni przez oszukańczych Niemców i niewdzięcznych Ukraińców, a reszta świata pozostaje na naszą krzywdę obojętna.

Kłopot w tym, że każde z wymienionych doświadczeń – zresztą nie są sobie równe; niektóre zdrady były haniebne, inne zmitologizowaliśmy sami – powinno prowadzić do wniosku, że względy moralne odgrywają w stosunkach międzynarodowych drugorzędną rolę. Tragicznie mylił się gen. Okulicki, gdy na kilka dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego zapowiadał: „Wilno, Lwów i wszystkie zamordowane miasta nie otworzyły oczu Zachodowi, ale nasza ofiara tym razem będzie tak wielka, że nie będą już mogli zatykać sobie uszu, że nie będą mogli nie widzieć, nie rozumieć i będą w końcu zmuszeni do zmiany tej nieludzkiej polityki, która skazuje połowę Europy na nową niewolę". Tyle że w Polsce zamiast z tego błędu wyciągać lekcję – utwierdzamy się w roli ofiar.

Ale jest też inna przyczyna, czyli nasz kłopot z II wojną światową. Czy 8 maja jest dla Polaków dniem radości, czy zawodu? Czujemy się ofiarami czy zwycięzcami? A jeżeli zwycięzcami, to realnymi czy tylko moralnymi? Wszystkim, co wiąże się z II wojną, z naszym statusem ofiary – można błyskawicznie rozhuśtać polskie emocje. ↦

↦ Na to nakłada się powtarzana od lat retoryka, teraz dodatkowo napędzana fascynacją Donaldem Trumpem, że musimy wstać z kolan; że dotychczas byliśmy prowadzeni na manowce przez ludzi zbyt miękkich i naiwnych. Tyle że to znów paradoks i pułapka w jednym – niby wstajemy z kolan, ale niczego nie osiągamy; w istocie właśnie klękamy, przygnieceni mieszanką manii wielkości z kompleksem niższości.

Jak wybić się na skuteczność

Jak wyjść z tego zaklętego kręgu? Po pierwsze: mierzmy zamiary na siły. Zamiast ponad sześciu bilionów złotych za szkody wojenne, oszacowanych przez zespół posła Mularczyka – warto domagać się odszkodowań dla żyjących jeszcze ofiar. Zadośćuczynienie w formie finansowanych przez Niemców projektów kulturalnych i infrastrukturalnych też wydaje się w zasięgu ręki. Ale najciekawszym pomysłem są niemieckie inwestycje w militarne bezpieczeństwo Polski, które realizowałyby strategiczne potrzeby obu stron. Symbolicznie i wizerunkowo wszystko się tu zgadza: dawny agresor wspiera obronność kraju, który ponad 80 lat temu najechał. Niegdysiejszych wrogów łączy sojusz. *Nota bene* mechanizm ten znakomicie sprawdził się w relacjach niemiecko-izraelskich, a jego przeszczepienie na nasz grunt (zamiast walki o reparacje) proponował Wojciech Pięciak na łamach „TP" pięć lat temu.

Po drugie: dla naszych propozycji budujmy międzynarodowe wsparcie. Sami uzyskamy nic albo niewiele. Przykładowo: niemieckie inwestycje w polską obronność mogłyby zainteresować członków NATO z Europy Środkowej i Wschodniej oraz Skandynawii, Ukrainę, a także USA, domagające się od Starego Kontynentu większego zaangażowania militarnego.

Po trzecie: nawet najlepszym pakietem propozycji w zakresie odszkodowań niczego nie osiągniemy, jeśli jego wywalczenie nie będzie strategią ponadpartyjną. Zapomnijmy o złamanym euro, dopóki prezydent i premier oraz największe partie toczą bój na wyniszczenie.

> Same argumenty etyczne niczego nie przynoszą, ale umiejętnie wykorzystane – są jak katalizator. Tyle że szantaż nie działa. Działa dłoń wyciągnięta do współpracy.

Po czwarte: wprawdzie same argumenty etyczne niczego nie przyniosą, ale umiejętnie wykorzystane – działają jak katalizator. Musimy jednak zrozumieć, że w arsenale narzędzi moralnych najgorszy jest szantaż. Najskuteczniejsza jest dłoń wyciągnięta do współpracy, co potwierdza cała najnowsza historia Polski. Jak słusznie zauważył Piotr Buras: „Potężna antyniemiecka fala w Polsce jest w Berlinie tyleż powodem, co wymówką, by nie podejmować dalej idących inicjatyw wobec Polski. W sprawie zadośćuczynienia dla ofiar Trzeciej Rzeszy Niemcy gotowi byliby do zrobienia jakiegoś gestu. 200 milionów euro, które zaproponował [kanclerz Olaf] Scholz, to bardzo mało. Ale czy 500 albo 700 milionów pozwoliłoby uniknąć szyderstw, że Berlin próbuje wykpić się grosikami? Jaka suma ochroniłaby i rząd niemiecki, i polski (który ofertę by przyjął) przed atakami prawicy?".

Po piąte: cierpliwie i zręcznie trzeba pozyskiwać niemiecką opinię publiczną, przede wszystkim liderów tej opinii. Do tego potrzeba jednak ludzi cieszących się za Odrą autorytetem i zaufaniem.

Krople drążą skałę

Przykładem takiego skutecznego działania była debata o wypędzonych i storpedowanie niebezpiecznych dla pamięci pomysłów Eriki Steinbach. W tamtym czasie strona polska – dyplomaci, politycy, eksperci – działała na różnych polach. Podczas rozmów za zamkniętymi drzwiami Władysław Bartoszewski tłumaczył Angeli Merkel: „Dla nas, Polaków, wojna wybuchła 1 września 1939 r. I to jest fakt historyczny. Ale już z punktu widzenia Brytyjczyków i Francuzów wojna rozpoczęła się dopiero 3 września. Dla Rosjan wybuchła 22 czerwca 1941 roku. Dla Amerykanów – 7 grudnia tego samego roku. A dla Eriki Steinbach, która stoi na czele Związku Wypędzonych, II wojna zaczęła się w styczniu 1945 r., gdy mając półtora roku, razem z matką i siostrą uciekała przed Sowietami z okupowanej Rumi".

Z kolei w styczniu 2010 r. wspomniany już Tomasz Szarota w głośnym wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel" ukuł wymowne porównanie: „Erice Steinbach chodzi o wypędzenia z ojczystych stron. Dla nas, Polaków, to wypędzenie z życia, masowy mord. Np. mojego ojca Niemcy rozstrzelali kilka tygodni przed moim narodzeniem". Następnie tłumaczył, że w Polsce po wojnie przez długi czas postrzegaliśmy siebie wyłącznie jako ofiary, ale z czasem zrozumieliśmy, że byliśmy też świadkami Holokaustu, a niektórzy nawet współsprawcami, jak w Jedwabnem. Tymczasem u naszych sąsiadów zachodzi proces odwrotny; Niemcy coraz częściej widzą siebie w roli ofiary – wyłącznie ofiary, a nie sprawcy.

To tylko dwie krople z wielu, które wtedy skutecznie drążyły skałę. Na pewno i dziś polskim zadaniem pozostaje przypominać Niemcom, czym była II wojna światowa. Z bolesną szczerością, ale bez agresji. Z myślą o przyszłości.

© MAREK ZAJĄC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

Ogłaszamy Nagrodę BONUS!

Nowe wyróżnienie „Tygodnika Powszechnego”
dla tych, którzy tworzą przestrzeń dialogu i pokazują, że wspólne dobro jest możliwe.
Kandydatów mogą zgłaszać także nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego” – stworzona po to, by wyróżniać ludzi, którzy wnoszą do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo *bonus* po łacinie znaczy „**dobry**”. Tak rozumiemy też ideę nagrody – jako wyróżnienie dla tych, którzy w przestrzeni publicznej nie poddają się logice uproszczeń i polaryzacji.

To nagroda dla osób, które łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć, tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały.

Przyznajemy ją dziennikarzom, twórcom kultury, liderom, społecznikom i innowatorom – tym, którzy swoją pracą pokazują, że dialog, rzetelne słowo i odpowiedzialne działanie wciąż mają moc.

BONUS jest przypomnieniem, że lepsza wspólnota jest możliwa. Że w świecie zdominowanym przez sensację i algorytmy wartością jest uczciwa rozmowa, odwaga niuansowania i otwartość na drugiego człowieka.

Od 80 lat wierzymy, że słowo i działanie mogą łączyć ludzi. BONUS przyznajemy tym, którzy robią to dziś najskuteczniej.

Ważne terminy:

do 15.10 – możliwość zgłaszania nominowanych

29.10 – ogłoszenie nominowanych do nagrody

29.11 – uroczystość wręczenia nagród

Gala nagrody, podczas której wręczymy pięć kamiennych statuetek, odbędzie się 29 listopada o godzinie 19.00 w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK.

Więcej szczegółów na **tygodnikpowszechny.pl/bonus**

Kategorie Nagrody Bonus

BONUS przyznawany jest w pięciu kategoriach, bo wierzymy, że wspólne dobro rodzi się w różnych przestrzeniach życia publicznego.

Media, które opisują świat bez uproszczeń. Kultura, która uczy wrażliwości i otwartości. Działalność społeczna, która odbudowuje zaufanie. Ludzie – liderki i liderzy – którzy potrafią inspirować. I technologia, która może służyć łączeniu, a nie dzieleniu.

- **MEDIA**
  Nagradzamy ludzi mediów, którzy nie pogłębiają polaryzacji. Takich, którzy odważnie stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog – zamiast sensacji i klikbajtu.
- **KULTURA**
  Wyróżniamy twórców kultury, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów. Takich, którzy potrafią mówić wieloma językami – nie uciszając, nie unieważniając.
- **DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA**
  Honorujemy ludzi i inicjatywy, które odbudowują wspólnotę. Ich działania sprawiają, że mimo różnic wciąż mamy chęć i przestrzeń do rozmowy.
- **LIDER/LIDERKA**
  Nagradzamy przywódczynie i przywódców za wybitne dokonania w życiu publicznym. Osoby budujące wspólnotę, które inspirują i pociągają za sobą innych i którym charyzma nie przeszkadza w efektywnym działaniu. Ludzi promujących porozumienie, dialog, współpracę, a przy tym pozostających na szpicy rozwoju własnych organizacji.
- **TECHNOLOGIA**
  Wyróżniamy innowacje, które włączają zamiast wykluczać. Narzędzia ułatwiające dostęp do wiedzy, budowanie więzi i rzetelną rozmowę.

Zgłoś swoją nominację do nagrody

Nominacje do Nagrody BONUS mogą zgłaszać nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy oraz organizacje społeczne.

W formularzu należy krótko opisać osobę oraz wskazać, jakie działania zostały podjęte i jaki miały wpływ na przestrzeń publiczną. Można także dołączyć materiały uzupełniające – artykuły, filmy, referencje.

Kandydatury mogą być zgłaszane również przez członków Kapituły Nagrody.

Zgłoszenia można wysłać na adres: **bonus@tygodnikpowszechny.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

JAKIE WOJSKO IDZIE DROGĄ



Czy można zbudować silną armię wyłącznie z ochotników i zawodowców? Polscy generałowie, bezskutecznie proszący polityków o przywrócenie jakiejś formy zasadniczej służby wojskowej, znają już odpowiedź.

MAREK RABIJ

Komentarze do wyników tego badania były łatwe do przewidzenia. Aż 49,1 proc. polskich mężczyzn nie stanęłoby do obrony kraju w przypadku zagrożenia wojną – podało pod koniec września Radio Zet, przywołując sondaż zamówiony w pracowni IBRiS. Z badania wynikało, że wśród obywateli w wieku od 18 do 29 lat odsetek potencjalnych maruderów sięga 69 proc. Na szczęście Rzeczpospolita może też liczyć na swoje córy. Gotowość walki za kraj zadeklarowała co trzecia Polka.

To tylko sondaż – można by rzec i przypomnieć podobne badania w Ukrainie, które nie zapowiadały takiej mobilizacji tamtejszego społeczeństwa, jakiej zimą i wiosną 2022 roku z podziwem przyglądał się niemal cały świat. Można by też sięgnąć po statystyki i wyliczyć, że wspomniane 49,1 proc. w odniesieniu do populacji polskich mężczyzn w wieku mobilizacyjnym (18-60 lat) to wciąż przeszło pięć milionów osób. Armia – dosłownie i w przenośni – zdolna swoją liczebnością dać odpór właściwie każdemu napastnikowi.

Stawiając tak mocny akcent na młodych, badanie IBRiS-u przypadkowo odsłania jednak najsłabsze ogniwo polskiego konceptu „największej armii lądowej Europy", budowanej wyłącznie w oparciu o żołnierzy zawodowych i ochotników.

Kohorta dwudziestoletnich

Sygnałem alarmowym nie jest nawet to, że blisko siedmiu na dziesięciu polskich dwudziestolatków nie poczuwa się do obowiązku obrony kraju. Problem stanowi sama liczebność tej grupy wiekowej, która obecnie ledwie przekracza 2 mln mężczyzn. Za dziesięć lat będzie w niej ponad 50 tysięcy więcej potencjalnych poborowych, ale to łabędzi śpiew polskiej demografii. W kolejnej dekadzie populacja dwudziestolatków stopnieje już do 1,86 mln. A dalej będzie tylko gorzej.

Trzystutysięczna armia, w szeregach której niemal 190 tys. stanowić mają zawodowcy, będzie tymczasem co roku potrzebować aż 61,5 tys. nowych chętnych tylko po to, żeby jej szeregi znów nie zaczęły topnieć – to wyliczenia dr. Michała Piekarskiego, badacza polityki bezpieczeństwa z Uniwersytetu Wrocławskiego, który na zlecenie Senatu RP przygotował analizę zaplecza demograficznego dla rozbudowy Wojska Polskiego. Aby osiągnąć wspomnianą liczebność w ciągu najbliższej dekady, od ubiegłego roku nasza armia powinna zwiększać stan osobowy aż o 11 tys. osób rocznie. I już wiadomo, że będzie to niewykonalne. W roku 2023, pierwszym pełnym po wejściu w życie ustawy o obronie ojczyzny, wojsku udało się zwiększyć stan osobowy o 29036 mundurowych, z czego 16022 stanowili żołnierze zawodowi. W ubiegłym roku armii przybyło jedynie 13384 żołnierzy, w tym 10107 zawodowców. Kolejne roczniki poborowych będą jeszcze mniej liczne.

„Pan nie będzie na mnie krzyczał"

Sytuację armii pogarsza fakt, że musi dziś walczyć o rekrutów na tym samym rynku pracy, na którym działają firmy prywatne, od dekad szlifujące taktykę rekrutacji. Owszem, wynagrodzenie początkującego szeregowca jest dziś o ponad 25 proc. wyższe od krajowej pensji minimalnej, ale w pakiecie często dostaje się także niewdzięczną, nieprzewidywalną, a często po prostu niebezpieczną posadę, która na dodatek może oznaczać przeprowadzkę na odludzia. O ograniczonych możliwościach szybkiego awansu i podwyżek w wojsku najdobitniej świadczy z kolei fala odejść ze służby zawodowej tych, którzy kończą 26 lat i tracą przywilej zerowej stawki PIT.



KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Przysięga żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej. Wrocław, 28 października 2023 r.

Ze zrozumiałych powodów wojsko nie podaje tych danych do publicznej wiadomości. Nie chwali się też odsetkiem żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby, którzy odchodzą przed jej zakończeniem, zniechęceni brakami sprzętu, specyfiką organizacji opartej na hierarchii i posłuszeństwie, a czasem po prostu chamstwem przełożonych. Zawodowi podoficerowie, ukształtowani często jeszcze przez armię z poboru, z osłupieniem przyjmują reakcje podwładnych, którzy na ostrzejszą reprymendę potrafią odpowiedzieć „pan nie będzie na mnie krzyczał", po czym zrzucają mundur. Z punktu widzenia dowódców, którzy muszą nie tylko zadbać o obsadzenie wszystkich stanowisk w jednostkach (z czym aktualnie nie ma jeszcze problemu), ale też o zbudowanie kilkusettysięcznego zaplecza wyszkolonych rezerwistów (dla rozwinięcia mobilizacyjnego na wypadek wojny), oznacza to jedno. Pełzający kryzys kadrowy, któremu zapobiec może tylko powrót obowiązkowej służby wojskowej.

Jak przegrać wybory

Oficjalnie temat nie istnieje. MON o niczym nie słyszało. Sztab generalny również urzędowo pęka z dumy z powodu wykonania celów rekrutacyjnych na pierwsze półrocze. Nieoficjalnie wojskowi i cywilni decydenci przyznają jednak, że nad polską obronnością pobór wisi jak miecz Damoklesa. Pytanie nie brzmi, czy jest potrzebny, lecz czy ktoś w końcu spojrzy trzeźwo na realia demograficzne i odważy się go wprowadzić.

Ramy ustawowe do przywrócenia zawieszonej 17 lat temu tzw. „zetki" już istnieją, choć wymagałyby korekty, aby umożliwić także nadanie służbie nowocześniejszej, mniej opresyjnej formy. Ustawa o obronie ojczyzny, w której w 2022 r. zebrano 14 innych aktów prawnych regulujących polską obronność, stanowi, że zasadnicza służba wojskowa trwa dziewięć miesięcy i w uzasadnionych sytuacjach może zostać wydłużona maksymalnie o kolejne pół roku – zarazem Rada Ministrów może ją również skrócić.

W ustawie podkreślono, że służba odbywa się „w jednym nieprzerwanym okresie", ale to też da się poprawić z pomocą stosownej noweli. Jednak zarówno w przypadku przywrócenia poboru w dotychczasowym trybie, jak i przy próbach zmiany jego formy, niezbędna będzie zgoda prezydenta. W sprawach związanych z obronnością i Tusk, i Nawrocki deklarują współpracę, możliwe więc, że tym razem obeszłoby się bez weta. Tylko czy rząd odważy się wyjść z taką propozycją? Wątpliwe. Przeciwników powrotu „zetki" nie ma dziś wprawdzie tylu, ilu było jeszcze w 2022 roku, gdy nie chciało o niej słyszeć 57 proc. Polaków. Ale 55 proc. respondentów, którzy dziś uważają, że należy ją przywrócić, to wciąż za mało, by ryzykować przegranie wyborów.

Budujemy drugą Finlandię

Odwieszona zasadnicza służba wojskowa na pewno nie może przypominać tej z lat 80. czy 90.: miesięcy bezproduktywnego gnicia w koszarach, tzw. fali i innych patologii. Polscy oficerowie i decydenci nie kryją, że ich inspiracją jest model fiński, czyli niewielka, świetnie wyszkolona i wyposażona armia zawodowa, którą można błyskawicznie wzmocnić tysiącami rezerwistów, solidnie przeszkolonych podczas obowiązkowej służby zasadniczej.

Do około 30 tys. żołnierzy zawodowych, w ramach rozwinięcia mobilizacyjnego, Finlandia jest więc w stanie szybko dorzucić około 280 tys. rezerwistów z dziesięciu ostatnich poborów, którzy regularnie uczestniczą w ćwiczeniach z taktyki, strzelectwa i pierwszej pomocy. Łączne zasoby przeszkolonej rezerwy do- ↦

↦ stępnej dla fińskiej armii sięgają nawet 900 tys. A wszystko to w kraju o populacji niewiele większej od liczby mieszkańców województwa mazowieckiego!

Służba wojskowa jest w Finlandii obowiązkowa, ale nie znaczy to, że każdy pełnoletni obywatel trafia tam do wojska. Armia nie przerobiłaby tylu rekrutów. Na etapie wstępnej kwalifikacji wojsko wybiera sobie z objętego poborem rocznika najlepiej rokujących kandydatów i następnie kieruje ich na szkolenie. Służbę można odbywać etapami, łącząc z pracą lub studiami. Można też odsłużyć ją w instytucjach publicznych.

I do Polski, zmagającej się z zapaścią demograficzną, i do naszej armii, która jeszcze nie odbudowała się logistycznie po dekadach zapaści, tamtejsze rozwiązania zdają się pasować idealnie. Jest tylko jeden problem. Przymierzając fiński mundur, Wojsko Polskie nie chce także zacząć myśleć po fińsku.

„Sześć trzysta"

Polski dystans do munduru można oczywiście tłumaczyć odwiecznym genem indywidualizmu albo zwalić całą winę na złe chowanie młodzieży, która gremialnie ziewa na patriotyzm. Można jednak też zadać pytanie, czy młodzi Polacy mają dziś w Polsce kraj, z którym identyfikują się na tyle, by być gotowymi zań walczyć. I czy ten kraj umie z nimi o tym rozmawiać zrozumiałym dla nich językiem.

> Państwo polskie, które w wielu sferach wciąż nie umie wyjść poza logikę wolnorynkowej transakcji, **od lat identycznie traktuje też bezpieczeństwo.**

Każda armia jest bowiem w istocie kontraktow. W jednych – jak dziś w Rosji – przedmiotem kontraktu są pieniądze za służbę na froncie. W innych służbą można odpłacić krajowi za to, co zapewnia obywatelowi. W brytyjskich filmach zachęcających do założenia munduru można np. zobaczyć dziewczynę, która wyjaśnia, że zaciągnęła się, żeby bronić siebie i swojej żony. A szerzej – także państwa, które gwarantuje każdej mniejszości, że będzie traktowana tak samo jak większość. Czy Polacy LGBTQ+ chcieliby założyć mundur z tego samego powodu?

„Devenez vous-même", czyli „stań się sobą" – to już slogan rekrutacyjny armii francuskiej, która podkreśla nim, iż szkoląc żołnierza, zarazem kształtuje człowieka w zgodzie z jego potrzebami. „Rób to, co naprawdę się liczy" – apeluje z kolei Bundeswehra do niemieckiego zmysłu pragmatyczności. Amerykanie podbijają wątek dumy z bycia obywatelem (lub kandydatem na obywatela) najsilniejszego państwa świata. Armia to jedność, armia to każdy z nas – przekonują.

Co mówi dziś Wojsko Polskie? „Sześć tysięcy trzysta złotych miesięcznie, już od pierwszego dnia służby".

Kupmy sobie bezpieczeństwo

Trzeba przyznać, że jest w tej ofercie bezczelna szczerość. Państwo polskie, które w wielu sferach wciąż nie umie wyjść poza logikę wolnorynkowej transakcji, przez lata identycznie myślało przecież o bezpieczeństwie. Nasze zaangażowanie w Iraku i Afganistanie, politycznie i militarnie dyskusyjne, moralnie czasem wręcz nie do obrony, było rodzajem polisy ubezpieczeniowej, opłacanej u Wuja Sama walutą gorliwości. Pod uczestnictwo w misjach pokojowych i stabilizacyjnych w dwóch pierwszych dekadach tego stulecia układaliśmy całe swoje siły

Na wypadek W

PODSTAWOWYM ZASOBEM mobilizacyjnym Wojska Polskiego jest dziś tzw. aktywna rezerwa, czyli osoby, które zgłosiły się do takiej służby. Pełni się ją raz na kwartał, przez co najmniej dwa dni w czasie wolnym od pracy lub podczas dwutygodniowych szkoleń, co najmniej raz na 3 lata. Gdy aktywnym rezerwistą jest były żołnierz zawodowy lub osoba bezrobotna, czas trwania służby nie może przekroczyć 90 dni w roku. Za każdy dzień przysługuje wynagrodzenie uzależnione od stopnia wojskowego.

AKTYWNĄ REZERWĘ tworzą osoby, które nie ukończyły 55. roku życia, a w przypadku byłych zawodowych podoficerów lub oficerów – 63. roku życia. Zamiarem było stworzenie grupy, po którą armia może sięgnąć błyskawicznie w ramach rozwinięcia mobilizacyjnego, czyli zwiększenia liczebności istniejących jednostek. Aktywni rezerwiści mają stale utrzymywać wysoki poziom wyszkolenia, znać taktykę i radzić sobie z obsługą nowoczesnego uzbrojenia.

NA REZERWĘ PASYWNĄ, czyli jeszcze głębszy zasób mobilizacyjny, składają się natomiast wszystkie osoby, które odbyły służbę wojskową. Ich ćwiczenia mogą być jednodniowe, krótkotrwałe (do 30 dni), długotrwałe (do 90 dni) lub rotacyjne (łącznie do 30 dni, odbywane z przerwami w określonych dniach w ciągu danego roku kalendarzowego).

USTAWA przewiduje też powszechną mobilizację pełnoletnich mężczyzn do 60. roku życia, uznanych za zdolnych do pełnienia służby i nieposiadających innych przydziałów mobilizacyjnych (np. elektrycy, kolejarze czy personel medyczny). Przepisy nie wykluczają również mobilizowania kobiet.

POBOROWI, którzy chcieliby zniknąć armii z radarów, mogą to jednak nadal zrobić – bezkarnie. W Polsce mamy obowiązek meldunkowy, ale bez sankcji za jego niedopełnienie. Namieszali posłowie, którzy w ramach prac nad nową ustawą o ewidencji ludności w 2010 r. szykowali się do zniesienia tego obowiązku. W ostatniej chwili wydłużono funkcjonowanie przepisu do 2014 r., ale z kodeksu wykroczeń zawczasu wykreślono art. 147 par. 1, który przewidywał dla uchylających się od zameldowania karę grzywny, nagany lub ograniczenia wolności. Wiosną br. rząd zapowiedział przywrócenie sankcji. Minęły wakacje. Artykułu 147 nadal nie ma w kodeksie wykroczeń.

©℗ MR

zbrojne i na usprawiedliwienie mamy dziś jedynie to, że nie tylko my popełniliśmy ten błąd. Problem w tym, że wychodząc z tej ślepej uliczki, nadal myślimy o bezpieczeństwie czysto transakcyjnie.

W przyszłym roku na obronność chcemy wydać łącznie 201 mld zł, czyli rekordowe 4,83 proc. PKB. Kupimy za to nowy sprzęt dla wojska, próbując tym zdobyć także uznanie u aktualnego gospodarza Białego Domu, który uważa, że członkowie Sojuszu powinni łożyć na obronę 5 proc. PKB. Spróbujemy też zwabić do wojska kolejne tysiące młodych Polaków, kusząc ich dobrymi zarobkami. Nic w tym złego, a wręcz przeciwnie, podobnie jak w zakupach uzbrojenia dla głodzonej latami armii. Chodzi jednak o to, że poza tym nie ma nic. Polskie myślenie o bezpieczeństwie, kiedyś kręcące się tylko wokół NATO, obecnie znowu koncentruje się na jednym planie. Tym razem wydatkowym. Zafundujmy sobie silną armię, reszta zrobi się sama.

Istnieje niestety duże prawdopodobieństwo, że w ten sposób zbudujemy jednak państwo silne tylko na pozór. Nie chodzi wyłącznie o to, że w pewnym momencie może braknąć dostatecznej liczby rąk do prowadzenia nowoczesnych czołgów czy latania supermyśliwcami. Architektura bezpieczeństwa oparta tylko na jednym elemencie, silnej armii, będzie podręcznikowym zaprzeczeniem Talebowskiej „antykruchości", czyli zdolności do absorpcji ciosów bez większej szkody dla całości. Będzie także karykaturą modelu fińskiego, w którym armia czerpie z siły społeczeństwa i zgrania całego państwa, a nie żyje jego kosztem.

W opracowaniach dotyczących skandynawskiego modelu obronności czasem pojawia się punkt mówiący o prawach i obowiązkach szwedzkich posiadaczy samochodów terenowych. Na wypadek wojny armia może je skonfiskować, podobnie jak polska. Na co dzień wybrane i odpowiednio zabezpieczone fragmenty wojskowych poligonów stoją jednak otworem przed właścicielami terenówek, o ile tylko nie ćwiczą tam żołnierze. W Polsce za to samo grozi grzywna.

©℗ MAREK RABIJ



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM WARSZAWA

Donald Tusk, Szymon Hołownia i Karol Nawrocki podczas obchodów Święta Wojska Polskiego. Warszawa, 15 sierpnia 2025 r.

Ring wolny. Drugie starcie

PAWEŁ MUSIAŁEK

POLITYKA | Pierwsze tygodnie prezydentury Karola Nawrockiego jawią się jak miodowy miesiąc głowy państwa z narodem. Główny lokator Pałacu emanuje energią i pewnością siebie, ale naprawdę poznamy go, gdy nadejdzie pierwszy kryzys.

Wizyta w USA była bez wątpienia sukcesem Karola Nawrockiego. Prezydent uzyskał od Donalda Trumpa jednoznaczne stanowisko w sprawie obecności amerykańskich wojsk na terenie Polski, a odbyło się to w trakcie spotkania, podczas którego można było wyczuć dobrą chemię między oboma prezydentami. Kontrastowało to mocno z brakiem relacji naszego rządu z Białym Domem; zarazem Nawrocki jedną wizytą zdeprecjonował zarzuty braku międzynarodowego doświadczenia oraz podważył wizerunek duetu Donald Tusk–Radosław Sikorski jako światowców posiadających rozległe kontakty i wpływy.

Ta amerykańska karta spowodowała, że Nawrocki ma dziś silny mandat do realizowania swojej polityki zagranicznej, i to nie tylko na odcinku amerykańskim. Dobre relacje z Trumpem budują go również w regionie. Politycy życzliwi polskiemu prezydentowi uważają go za kluczowego partnera w Europie, dla przeciwników jest on zaś liderem regionalnego oddziału globalnego ruchu MAGA, z centrum w USA. Niezależnie od opinii prawdą pozostaje, że relacja z Trumpem będzie budowała Nawrockiego i w Polsce, i na kontynencie.

Lider zaufania

Potwierdzeniem dobrego początku są korzystne sondaże. W najnowszym badaniu zaufania do polityków (CBOS) prezydent jest liderem z akceptacją na poziomie 58 proc. (wzrost od wyborów wynosi 12 proc.) i niechęcią przejawianą przez 25 proc. badanych (tuż po wyborach poziom nieufności sięgał 36 proc.). Oznacza to, że jest nie tylko najlepiej ocenianym politykiem prawicy, ale też w ogóle najwyżej notowanym polskim politykiem.

Nawrocki zbiera oczywiście najwięcej pochlebnych recenzji wśród obywateli o poglądach konserwatywnych, co nie dziwi. Zaskakuje jednak tempo, ↦

↦ w jakim wyborcy prawicy zdają się zapominać o Andrzeju Dudzie. Po dekadzie jego prezydentury mogło się wydawać, że porównania nowicjusza z Gdańska do doświadczonej głowy państwa z Krakowa będą się nasuwały co rusz, tymczasem ten temat w zasadzie nie istnieje. Nawrocki jawi się jako osoba, która nie ma kompleksów wobec poprzednika, z kolei Duda nie wzbudza szczególnego zainteresowania mimo premiery autobiografii i własnego programu w Kanale Zero.

Silniejszy niż Duda

Co jednak ciekawsze, Nawrocki zaczął budzić respekt także wśród przeciwników, którzy spodziewali się, że początkowo będzie na każdym kroku pokazywał brak politycznego doświadczenia. Tymczasem prezydent z impetem zainstalował się na Krakowskim Przedmieściu, a następnie wykonał serię „ofensywnych" akcji, co zrodziło obawy po stronie obozu rządowego, że przychodzi mu rywalizować z przeciwnikiem trudniejszym, niż się wydawało.

W rządowych ławach powszechna jest opinia, że Nawrocki będzie zdolny do silniejszych ciosów w rząd niż Duda. Potwierdzają to również jego decyzje – w ciągu pierwszego miesiąca liczba wet (7) była wyższa niż w okresie 1,5 roku kohabitacji Dudy z gabinetem Tuska (6). Obecny prezydent traktuje więc weto nie jako ostateczność, ale jako narzędzie wpływające na decyzje rządu w sprawach, z którymi się nie zgadza. To zaś oznacza dużo większy problem dla obecnej koalicji rządzącej, która nie może być pewna, jakie ustawy zostaną finalnie podpisane, a jakie nie. Niemożliwe do odrzucenia weta stają się też z pewnością narzędziem wymuszającym podmiotowe traktowanie prezydenta. Sygnalizują, że należy uzgadniać z Nawrockim kolejne inicjatywy legislacyjne, zanim zostaną przegłosowane w Sejmie.

O ile więc Andrzej Duda z góry zakładał, że decyzje wobec poszczególnych aktów prawnych podejmie po tym, jak trafią na jego biurko, to w przypadku Karola Nawrockiego ewidentnie mamy do czynienia z sygnałem pewnej zachęty do negocjowania ustaw.

Gry z koalicjantami

Pierwsze tygodnie pokazują jednak nie tylko to, że Nawrocki nie waha się przed wchodzeniem w spór z premierem czy szefem MSZ. Ciekawe jest także to, że pomimo konfliktów z obozem rządowym stara się, choćby punktowo, współpracować z politykami koalicji (co osłabia jej spójność). Dobre relacje z wicepremierem i szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem to kontynuacja linii jeszcze z czasów Dudy, ale puszczanie oka do Szymona Hołowni, a nawet liderów Lewicy trzeba wyraźnie odnotować. Było to widoczne już w czasie tzw. prezydenckiego *exposé* w Sejmie, gdzie wyraźnie komunikował wolę współpracy z mniejszymi koalicjantami – niejako sygnalizując, że tym złym w koalicji jest KO i osobiście Donald Tusk, a nie cały obóz rządowy. Współpraca z marszałkiem stała się widoczna zwłaszcza w ostatnich dniach, w których to posłowie Polski 2050 pozwolili projektowi prezydenckiemu w sprawie CPK przejść do II czytania w Sejmie, Nawrocki zaś jasno zadeklarował wsparcie dla Hołowni w jego planach objęcia funkcji wysokiego komisarza ONZ ds. uchodźców.

Prezydent zdaje sobie sprawę, że taka gra nie jest skazana na porażkę, bo rząd nie stanowi monolitu, a każdy kolejny miesiąc pogłębia spory, które ekipa Nawrockiego stara się wykorzystać. Od woli prezydenta zależy przecież to, jakie ustawy wejdą w życie, a więc także od niego zależy, jaka partia koalicyjna będzie mogła pochwalić się legislacyjnym sukcesem. Poza tym Nawrocki wie, że jego pozycja polityczna w rozmowach z koalicjantami jest mocniejsza niż Dudy, ponieważ, mimo związków z PiS, nie jest on obciążony żadnymi kontrowersyjnymi decyzjami (w rodzaju ustaw sądowych), jakie podejmował Duda w epoce rządów Zjednoczonej Prawicy. Koalicjantom łatwiej więc będzie sprzedać własnym wyborcom *deal* z Nawrockim niż z jego poprzednikiem. Sam prezydent z kolei dobrze diagnozuje, gdzie są koalicyjne pęknięcia i jak je wykorzystać, zarówno do osłabienia rządu, jak i do wzmocnienia własnej pozycji. Nie tylko wobec Tuska – wobec liderów PiS i Konfederacji również.

Konkrety Pałacu

Nawrocki podkreśla, że chce realizować swoje wyborcze zobowiązania. Dlatego już w pierwszych dniach urzędowania wniósł projekt ustawy obniżającej podatki dla rodzin z dwójką dzieci, projekt w sprawie CPK, a także projekt „w obronie polskiej wsi". Choć szanse na przyjęcie jego ustaw są znikome, to jednak złożenie własnych pomysłów w Sejmie pokazuje, iż Nawrocki chce udowodnić, że poważnie traktuje własne obietnice. I robi to nieprzypadkowo. Zdaje sobie sprawę, że jednym z największych problemów rządu jest niski poziom realizacji „100 konkretów", więc stara się pokazać wyraźny kontrast z politykami koalicji. I nawet jeśli pojawiają się pytania, ile z zainicjowanych ustaw finalnie weszło w życie, to Nawrocki może odpowiedzieć, że projekt ustawy to i tak duży krok przed rządem. Koalicja często nawet do tego etapu nie dochodzi.

Na korzyść Nawrockiego gra w tym kontekście jeszcze jeden, rzadko dostrzegany argument. Kluczowe jest nie tylko to, co realnie politycy „dowożą", ale również to, na ile wyborcy wierzą, iż dany polityk może coś potencjalnie dowieźć. Liczy się więc nie tyle i nie tylko realny efekt „tu i teraz", ale też perspektywa realizacji danej obietnicy w dającej się przewidzieć przyszłości. W przypadku rządu wiarygodność jest bardzo niska, bo przez prawie dwa lata nie pokazał on sprawczości; bynajmniej nie z powodu nielicznych wet Andrzeja Dudy, ale czynników wewnątrzkoalicyjnych. Trudno w tej sytuacji uwierzyć, że kolejne dwa lata będą podniesieniem standardów i sprawczości. Widać to zresztą w badaniach CBOS – poparcie dla rządu Tuska deklaruje dziś już tylko 29 proc.

W przypadku Nawrockiego jest inaczej. Inicjowane od początku projekty pokazują determinację – niezależnie jak się ocenia jego projekty bądź weta. Co ważniejsze, nawet jeśli inicjatywy głowy państwa nie będą finalizowane z powodu oporu rządu, ma on poręczną narrację, która to wyjaśni. Otóż, skoro obecny rząd blokuje pomysły prezydenta, to na horyzoncie jest już władza, która będzie jego wolę realizować. I tak jak Tusk przekonywał swoich

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

wyborców, że wiele spraw nie idzie do przodu z powodu oporu Dudy, tak dziś Nawrocki będzie stosować tę samą technikę, tym bardziej skuteczną, im bardziej prawdopodobny będzie powrót prawicy do władzy po wyborach w 2027 r.

Wizja realizacji obietnic będzie więc budować cierpliwość zwolenników Nawrockiego. W *blame game* między rządem i prezydentem to ten drugi będzie miał silniejsze karty.

Budująca współpraca

Przy roku 2027 należy się zatrzymać. Fakt, iż najbliższe wybory odbędą się za dwa lata, oznacza, że spora część 5-letniej kadencji Karola Nawrockiego przebiegnie pod dyktando trudnej kohabitacji z rządem. Ta okoliczność rodzi u wielu obserwatorów na prawicy uczucie współczucia wobec Nawrockiego, który wchodzi do polskiej polityki od razu na najcięższe walki. W przeciwieństwie do Andrzeja Dudy, który miał mieć przez zdecydowaną większość kadencji „cieplarniane" warunki działania obok sprzyjającego rządu, Nawrocki od razu został rzucony na głęboką wodę.

Tymczasem wbrew tym opiniom należy podkreślić, że jest dokładnie odwrotnie. Po pierwsze, kohabitacja pozwala Nawrockiemu silniej zaistnieć w przestrzeni medialnej. Sytuacja, w której toczy on spór z rządem, tworzy oś polaryzacji, w której to nowy prezydent jest jednym z biegunów konfliktu. Po drugie, w tej rywalizacji Nawrocki ma „świeższy" mandat niż rząd, który zdążył się już zgrać i rozczarować wyborców. Po trzecie, Pałac to obecnie kluczowy ośrodek władzy na prawicy, więc naturalnie ogromna część środowiska „orientuje" się na Nawrockiego. Co kluczowe, ma on dziś zdecydowanie więcej do zaoferowania np. Jarosławowi Kaczyńskiemu niż *vice versa*.

To buduje inną relację niż ta, która łączyła Dudę z Kaczyńskim. Praktycznie równoległe przejęcie władzy przez oba ośrodki w 2015 r. spowodowało, że Duda nie miał sposobności zbudować podmiotowej pozycji wobec prezesa PiS, od początku wchodząc w asymetryczny układ i pozostając w cieniu rządu. Przetarcie się przez Nawrockiego w trudnej kohabitacji może go politycznie zahartować, a zdobyte doświadczenie procentować także wówczas, gdy rząd będzie tworzyć prawica (o ile w ogóle wygra w 2027 r.). Okres dwóch lat jest sprzyjający, można już okrzepnąć, a jednocześnie się nie zużyć.

> Przetarcie się w trudnej kohabitacji z gabinetem Tuska może Nawrockiego zahartować, a zdobyte doświadczenie zaprocentuje, **gdy rząd będzie tworzyć prawica.**

To tylko pierwsze wrażenie

Dobry początek prezydentury w wielu głowach zrodził pytanie, czy aby na polskiej prawicy nie zrodził się przyszły lider całego obozu prawicy, który niedługo będzie głównym rozgrywającym? Mając na uwadze, że ma dopiero 42 lata (Kaczyński jest o 34 lata starszy), wielu widzi w Nawrockim osobę, która już niedługo będzie meblować polską scenę.

Na dziś trudno jednak znaleźć przekonujące dowody dla tej tezy. Po pierwsze, dotychczasowe doświadczenia jasno wskazują, że prezydenci RP nie byli w stanie pełnić roli liderów szerszego obozu politycznego. Dość wspomnieć, jaki los spotkał BBWR stworzony przez Lecha Wałęsę, który rozpoczynał swą misję z dużo potężniejszym mandatem niż Nawrocki. Ale nawet będący u szczytu potęgi Aleksander Kwaśniewski nie był wodzem całego obozu Lewicy, i to zarówno w okresie swojej prezydentury, jak i po niej. Po drugie, choć Nawrocki dał się poznać jako osoba, która odnalazła się w Pałacu i wypełnia go polityczną substancją, to wciąż za mało, aby sądzić, że stanie się prawdziwym liderem. Przywództwo nad obozem politycznym mają nie sprawni aktorzy wiecowi, ale ci, którzy dobrze odnajdują się w partyjnych układankach – w tych „zawodach" zaś Nawrocki nigdy nie brał udziału. Po trzecie wreszcie, jest zdecydowanie zbyt wcześnie, aby cokolwiek więcej powiedzieć o prezydenturze Nawrockiego ponad to, że lepiej zaczął, niż wielu się spodziewało.

W tym kontekście trzeba dodać, że na percepcję Nawrockiego jako osoby, która zrobiła ogromne postępy, zapracował nie tylko on sam, ale i jego polityczni przeciwnicy. Ostra dyskredytacja Nawrockiego poprzez próbę zaetykietowania go jako „kibola" lub „sutenera" o gangsterskich powiązaniach finalnie się nie powiodła i zadziałała na korzyść kandydata. Zarazem to, co bolało w czasie kampanii, okazało się sprzyjać po wyborach, ponieważ obniżało poprzeczkę oczekiwań. Nawet standardowe działania Nawrockiego oceniane są jako pozytywne zaskoczenia.

Ten efekt pozwolił Nawrockiemu na dobre pierwsze wrażenie, ale długofalowo będzie utrudniać utrzymanie miodowego miesiąca. Kluczowe ryzyka są standardowe. Po pierwsze, kolejne miesiące prezydentury nie będą już tak ekscytujące, bo w polityce najszybciej zużywanym zasobem jest nowość i świeżość. Po drugie, Nawrocki nie przeżył jeszcze żadnego kryzysu, a te są w polityce jedynie kwestią czasu. O tym, czy obecny prezydent – polityk bez doświadczenia – potrafi wychodzić z nich obronną ręką, dopiero się przekonamy. Dotychczasowe potyczki były ledwie preludium problemów, przed jakimi Nawrocki stanie. Po trzecie wreszcie, testem dla niego będzie umiejętne surfowanie między PiS a Konfederacją. Ostatnie tygodnie pełne napięć między tymi obozami pokazały, że głowie państwa nie będzie łatwo odgrywać rolę, która byłaby najbardziej wygodna, czyli mediatora. Nawrocki został wybrany prezydentem głosami nie tylko PiS, ale także Konfederacji, a tych głosów było na tyle dużo, że przy ewentualnym staraniu się o reelekcję będzie musiał o nie intensywnie zabiegać. To zaś oznacza, że już dziś powinien o nie dbać.

■■■

Pogodzenie PiS i Konfederacji będzie dla Nawrockiego kluczowym politycznym wyzwaniem, nie mniej istotnym niż kohabitacja z rządem Tuska. Jeśli prezydentowi ta misja się powiedzie, będzie mieć dla środowiska prawicy duże zasługi, bo pamięta ono czasy, kiedy logika i racjonalne interesy nie były wystarczające, aby zawiązać trwałą koalicję. O ile więc wkładanie Nawrockiemu na głowę korony króla prawicy jest mocno przedwczesne, to już rola politycznego patrona przyszłej koalicji PiS–Konfederacja znajduje się w zasięgu jego możliwości.

© PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego



JAVIER ZAYAS / ADOBE STOCK

Prawda ekranu

AGNIESZKA WROŃSKA, EKSPERTKA NASK:

INTERNET | Ogłoszony właśnie raport „Nastolatki” najbardziej alarmujący jest w odniesieniu do rodziców. Ich wiedza o użytkowaniu sieci przez dzieci jest albo niepełna, albo nikła, albo żadna.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: „Nastolatki przesadzają z ekranami”: ten komunikat jest już wszędzie. Coś Panią jeszcze w tej mierze zaskakuje?

AGNIESZKA WROŃSKA: Dane pokazane przez nas w kolejnej edycji cyklicznego raportu „Nastolatki” raczej mnie nie zaskakują. Natomiast niepokoją trochę ich medialne interpretacje: często eksponowane są pewne problemy, inne zaś pomijane. Np. nie do końca podzielam pogląd, że ważne w naszym raporcie są tylko statystyki dotyczące czasu spędzanego przy ekranach. Inne dane są również niezwykle istotne, szczególnie w kontekście skali ich występowania.

Pięć godzin bez minuty w dni powszednie, pięć godzin i 14 min. w weekendy aktywnego użycia sieci przez uczniów klas 7-8 podstawówek i 1-2 szkół ponadpodstawowych. To nie robi na Pani wrażenia?

To sporo, bo ten czas stanowi więcej niż jedną piątą doby, a nawet około jedną trzecią, gdy odliczymy sen. Ale po pierwsze, ta krzywa – po wzrostach w pandemii – później nieco opadła i się na tym poziomie stabilizuje. Poza tym czas spędzony przed ekranem nie jest ani jedyną, ani najważniejszą zmienną do analizy. Czasami pół godziny szkodliwego wykorzystania ekranu może bardziej niszczyć niż pięć godzin korzystania twórczego – choćby do czytania lektury.

To co się mieści w tych pięciu godzinach?

Nastolatki używają ekranów w czterech głównych obszarach. Pierwszy to rozrywka i hobby, drugi komunikacja, trzeci zdobywanie wiedzy potrzebnej w szkole, a czwarty informacje potrzebne w życiu codziennym. Jeśli przyjmiemy, że młody człowiek – a tak bywa często – najwięcej czasu poświęca na dwie pierwsze czynności, to trudno nie dostrzec w tym problemu. Ale musimy pamiętać o drugiej stronie tego zjawiska. W ramach innych badań NASK rozmawialiśmy z młodymi twórcami internetowymi. Siedzą w sieci dużo, ale nie jest to działalność szkodliwa. Przeciwnie: rozwijają się tam kompetencyjnie, społecznie, twórczo.

Wasz raport pokazuje jednak w dużej mierze ciemną stronę internetu. Niemal co czwarty nastolatek otrzymał nagie lub półnagie zdjęcie. Co trzeci chłopiec brał udział w tzw. challenge’ach. Młodzi ludzie bardzo wcześnie stają się też odbiorcami patostreamingu i pornografii.

Co do fotografii, przyczyną są nie tylko akty złośliwości czy przemocy, ale też swoiste dowody miłości ze strony rówieśników. Problem w tym, że – zgodnie ze starym żartem – miłość ośmioklasisty trwa czasami tylko „do końca wycieczki”, a zdjęcie w sieci potrafi tkwić

latami. Zgodnie z innymi badaniami olbrzymia większość wysyłanych przez młodych ludzi nagich zdjęć później się multiplikuje – czyli jego upublicznienie nie ogranicza się do kanału, na którym zostało oryginalnie przesłane. A to stanowi nie tylko przekroczenie granicy intymności, ale może też służyć do przemocy czy szantażu.

Co do challenge'ów, ich szkodliwość może być bardzo różna: od pozornie zabawnych wyzwań do tych zagrażających zdrowiu i życiu. Wolałabym nie podawać świeżych przykładów – jeśli już, to stare, które na szczęście wyszły z mody, jak połknięcie łyżeczki cynamonu bądź, co gorsza, sprawdzanie, kto dłużej potrzyma w ustach kapsułkę do prania. Nasze badanie ma charakter ilościowy, nie mamy danych, w jakim konkretnie challenge'u uczestniczą młodzi ludzie, i czy co trzeci chłopak deklarujący udział w „wyzwaniu" oznacza partycypację w czymś ryzykownym. Ale na pewno warto na ten czynnik zwrócić uwagę – także dorosłych.

Podobnie jak na pornografię i patostreaming – zjawiska w każdej wersji są szkodliwe. Z tym pierwszym zjawiskiem polski nastolatek styka się niestety coraz wcześniej – obecnie to już jedenaście lat i trzy miesiące.

Gdzie w tym wszystkim dorośli? Pytam, bo Wasz raport zawiera reprezentatywne dane nie tylko z ponad 3 tys. ankiet wypełnianych przez młodzież, ale też niemal tysiąca oddanych przez ich rodziców i opiekunów.

Dla mnie to najbardziej odkrywcza i alarmująca część badania. Chodzi mi o rozbieżności między odpowiedziami dzieci i rodziców. Ci drudzy w zasadzie w każdej kwestii mają wiedzę albo niepełną, albo nikłą, albo wręcz żadną.

My, rodzice, nie do końca wiemy, ile czasu nasze dzieci „siedzą" w sieci. Np. tylko co piąty nastolatek potwierdza wersję własnych rodziców dotyczącą ustalania domowych zasad korzystania z internetu. Nie mamy też pojęcia, ile czasu nasze potomstwo poświęca na social media. Nastolatek deklaruje średnio posiadanie 7 kont – jego statystyczny rodzic uważa, że dziecko ma 3,5 konta. Z badań wiemy, że to już dawno nie Facebook, a znacznie częściej TikTok, Messenger,



ARCHIWUM PRYWATNE

DR AGNIESZKA WROŃSKA jest ekspertką Państwowego Instytutu Badawczego NASK, sekretarzem Rady Naukowej NASK-PIB. Specjalizuje się w problematyce cyberzagrożeń wśród dzieci i młodzieży.

Instagram, YouTube, który dla młodych ludzi jest nie tylko – jak dla nas – platformą streamingową, ale też komunikacyjną, interaktywną.

Problem kolejny: rodzice nie tylko niedoszacowują skalę cyberprzemocy, jakiej poddane są ich dzieci, ale też przeceniają siebie jako instancję pierwszej pomocy. Niemal 66 proc. z nich uważa, że w sytuacji cyberprzemocowej dziecko zwróci się do nich po wsparcie – tyle że takiego samego zdania jest tylko 15 proc. dzieci. Rodzice zaniżają także skalę zjawiska nagich lub półnagich zdjęć. Są też przekonani, że ich nastoletnie dzieci w przeciągu ostatniego roku nie brały udziału w challenge'ach.

Czy te rozbieżności to opowieść o słabych relacjach?

Na pewno w jakimś stopniu tak, ale bronię się przed prostym wnioskiem – „źli rodzice przegapiają problemy i nie interesują się dziećmi". Na pewno te wyniki mogą się stać impulsem do zmiany. Sprawdzania, co nasze dzieci robią w sieci, rozmawiania z nimi o tym, czasami próby wejścia w ich świat. I upewniania się, że jesteśmy z dziećmi na tyle blisko, że w razie problemu przyjdą do nas, nie bojąc się np. niezrozumienia.

Pamiętajmy też, że mowa o nastolatkach, będących na etapie poszukiwania autonomii, tożsamości, eksperymentu. Zapominamy często, że nawet w tym zmieniającym się szybko świecie pewne rzeczy są niezmienne. Wchodzą nowe technologie, ale przecież stojące za ryzykownymi zachowaniami potrzeby i zadania rozwojowe – jak skłonność do testowania granic, uniezależniania się od świata dorosłych – pozostają takie same. W tym sensie trudno winić rodziców, że nie zawsze wszystko wiedzą.

Z badań wiemy, że największa aktywność młodzieży w sieci ma miejsce w godzinach pozaszkolnych. Czy wobec tego odgórny zakaz używania ekranów w szkole coś by nam dał?

Internet i ekran w szkole są akceptowalne pod warunkiem, że ściśle określimy zasady ich użytkowania. Smartfon z dostępem do sieci może być w szkole użyty twórczo, ale też być nadużywany lub wykorzystywany ryzykownie. W tym drugim przypadku sam zakaz nie rozwiąże problemu.

Znane są różne modele użytkowania urządzeń w szkole, np. odkładanie na bezpieczną odległość telefonu, a sięganie po niego w sytuacji, gdy jest potrzebny np. do nauki. Wspólne ustalanie zasad i konsekwentne ich przestrzeganie tak, zakazy niekoniecznie – tak bym to podsumowała.

A jakie rady ma Pani dla rodziców?

Dość podobne. Po pierwsze, dawajmy dobry przykład, bo dorosły z nosem w ekranie nigdy nie będzie wiarygodny w roli przestrzegającego przed zgubnymi skutkami urządzeń. Po drugie, rozmawiajmy, a nie tylko kontrolujmy i zakazujmy, bo rozmowa będzie zawsze skuteczniejszą formą profilaktyki. Po trzecie, budujmy bliskość i więź, bo wtedy nawet prosta prośba: „Pokaż mi, co robisz w sieci" będzie odebrana jako zainteresowanie, a nie przejaw kontroli.

I jeszcze jedno: wszyscy potrzebujemy więcej edukacji! Np. z naszego raportu wiemy, że o ile około 70 proc. młodych ludzi używa już wytworów sztucznej inteligencji, także do celów edukacyjnych, to wiele z nich ma małą wiedzę na temat jej funkcjonowania. Np. nie wie za dużo o naturze deepfake'ów [zmanipulowane obrazy i dźwięki wygenerowane przez AI – red.].

Bez edukacji – młodych ludzi, ale też rodziców i nauczycieli – statystyki w kolejnych edycjach naszego badania pewnie się nie poprawią.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

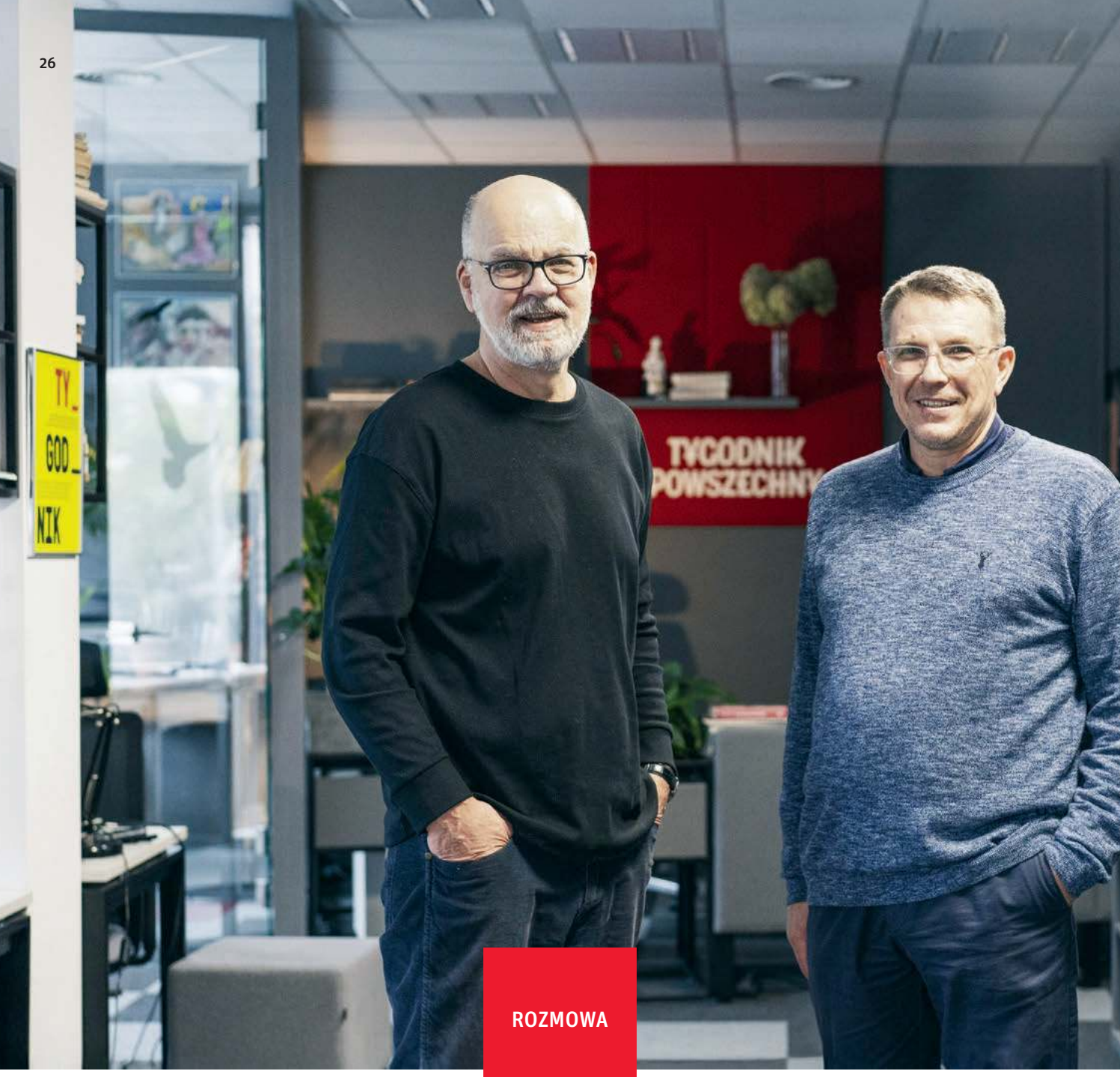

ROZMOWA

SZEROKI KADR

JACEK STAWISKI, DZIENNIKARZ, NOWY REDAKTOR NACZELNY „TP”:

Bardzo mi bliską cechą „Tygodnika” jest dystans. Oferta innego spojrzenia, zaproszenie do przemyślenia, zdezawuowania pozornych oczywistości. I autonomia wobec centralizacji informacji.



GRAŻYNA MAKARA

Piotr Mucharski i Jacek Stawiski w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Kraków, 1 października 2025 r.

PIOTR MUCHARSKI: Jacku, niedługo obejmiesz funkcję redaktora naczelnego naszego pisma. Jednak podczas rozmowy kwalifikacyjnej, którą z Tobą przeprowadzała Rada Fundacji Tygodnika Powszechnego, zapomnieliśmy zadać jednego kluczowego pytania. Musimy to teraz nadrobić: co sprawia Ci radość?

JACEK STAWISKI: Nie byłoby ono dla mnie zaskoczeniem, przecież niedawno zadawaliście je najbliższym współpracownikom przy okazji jubileuszowego numeru na 80-lecie „TP". Moja domorosła filozofia radości jest prosta: cieszę się prozą codzienności, małymi sukcesami zwyczajności, które niepostrzeżenie sumują się w tę najcenniejszą radość.

Twój najbardziej radosny dzień to...

Trudno je wszystkie porównywać, ale kilka miesięcy temu miałem nadzwyczajnie szczęśliwy dzień, kiedy obroniłem doktorat. Spełniło się marzenie, jeszcze chłopięce...

Dziennikarz newsowych mediów marzył o doktoracie z historii?!

Pamiętam moment, kiedy być może obudził się we mnie przyszły historyk. Pewnego dnia znalazłem w domu sfatygowany numer... „Płomyczka". Pochodził z 1960 r., w środku miał fotosy z filmu „Krzyżacy" Aleksandra Forda, który wtedy powstał. Nagie miecze, bitwa pod Grunwaldem... To było coś naprawdę ważnego na mojej półce z żołnierzykami. Bo w tych fotosach ożyła historia.

Marzyłem więc o doktoracie, ale marzenie mogło się ziścić dopiero, gdy świat się zatrzymał – w pandemii.

Chodzi o prestiż tytułu? Byłoby to bardzo krakowskie: „Panie doktorze! Ależ Panie mecenasie!".

Prestiż? Bez przesady. Ale ambicja? Na pewno tak. Moje pasje poznawcze zostały stłumione tempem życia w latach 90. Musiałem sprawdzić, czy stać mnie na to, by do nich wrócić, czy moje kompetencje odpowiadają parametrom akademickim. Czy potrafię myśleć innymi kategoriami niż czysto dziennikarskie. Samo w sobie było to niezwykłe doświadczenie: znaleźć się po 30 latach na tej samej uczelni, niemalże w tej samej sali, oko w oko z niemalże tymi samymi ludźmi.

Twoje zawodowe CV jest jednak kaskadą doświadczeń z najlepszymi, ale szybkimi mediami – od RMF przez BBC po TVN24. To przeciwny biegun dla długich, historycznych trwań: w mediach elektronicznych codziennie trzeba udowadniać, że świat zaczął się właśnie na nowo.

Nie masz racji, i to nie tylko dlatego, że przejście z RMF-u do BBC było dla mnie jak przesiadka z pędzącego ekspresu do powozu konnego. Zawsze starałem się wnosić do tego typu instytucji medialnych i przekonanie, i treści, które pokazują, że dzisiejsze zdarzenia mają gdzieś swój początek, swoje średnie albo i długie trwanie. Tylko tak możemy je ogarnąć i zrozumieć, przy okazji wychodząc poza galopujące emocje. Nie da się przecież żyć w stopklatce.

Krakowscy konserwatyści mówili, że fałszywa historia jest matką fałszywej polityki...

To jest jednak prawda zwrotna, ponieważ często widzimy, także w Polsce, że również fałszywa polityka jest matką fałszywej historii. Poprzestańmy więc na tym, że cenię tych, którzy potrafią zadawać przeszłości pytania. Niezależnie od tego, z jakim obozem politycznym sympatyzują.

W TVN24 prowadzisz programy. Jeden, zgodnie z tytułem „Horyzont", osadza nas w kontekście światowych wydarzeń, pokazuje jak najszerszą perspektywę. Drugi, w którym występujesz z Ewą Ewart, prezentuje wybrane przez nią filmy dokumentalne – tu świat jest pokazany z najbliższej perspektywy, bezpośrednio dotknięty. Chciałbyś w „Tygodniku" sprzęgnąć te dwie perspektywy?

Jak wiesz, wokół pracy w „Tygodniku" orbitowałem przez równe dwie dekady. I zdecydowałem się ją podjąć, bo pismo robi właśnie to, co zawarłeś w pytaniu. Nie daje się zamknąć w stopklatce. Chce być jak najbliżej życia, nie zapominając o najszerszych jego kontekstach.

Nie mam żadnej gotowej definicji dziennikarstwa, więc poprzestańmy na kwestii poniekąd technicznej. To, co było kiedyś osobnymi bytami – prasa, radio, telewizja – zrasta się dziś w jedno, integrując przekaz. Ale w „Tygodniku" to tekst jest i będzie nadrzędny. Bo jest najsubtelniejszym środkiem dla komentarza i interpretacji rzeczywistości.

To jaki wybrałbyś temat światowy na hipotetycznym kolegium redakcyjnym?

Byłoby niestosowne, gdybym miał coś planować pod nieobecność zespołu. Ale możemy spróbować bez zobowiązań zaprojektować tematy niemal niewykonalne. Marzy mi się np. reportaż ze współczesnej Korei Północnej. ↦

↦ Owszem, Ewa Ewart była tam przez jakiś czas, zrealizowała znakomity film dokumentalny dla BBC, ale północnokoreański świat pozostaje wciąż nieprzenikniony. Odseparowany skansen, bardzo biedny, ale przecież zdolny, by zbudować bomby atomowe. Ja wiem, że dziś można to zrobić taniej niż w czasach Projektu Manhattan, ale to jest jedna z tych niezwykłych zagadek współczesności, które mnie nieustannie nurtują. Coś się kryje za tym koszmarnym i groteskowym komiksem z defiladami w Pjongjangu; coś, czego nikt nie rozgryzł, nawet najlepsze redakcje wolnego świata.

Wracając więc do „Horyzontu" i „Ewa Ewart przedstawia": to są dwie równorzędne perspektywy. Nie ma jednak jednej bez drugiej.

Kilka dni temu przemawiałeś tutaj, w siedzibie redakcji, do całego zespołu. Słowem-kluczem w Twojej autoprezentacji był „dystans", a właściwie „sztuka dystansu". Co on właściwie znaczy w naszej pracy?

Nieuleganie modom, niechodzenie na łatwiznę. Mówiłem o czymś, co jest bardzo mi bliską cechą „Tygodnika" – o ofercie innego spojrzenia, o zaproszeniu do przemyślenia, zdezawuowania pozornych oczywistości. I o zachowaniu autonomii wobec centralizacji informacji.

No tak, jesteśmy w siedzibie redakcji, która znajduje się w Krakowie i pewnie nie jest to neutralny fakt.

Tak, to ma znaczenie, ale nie w jakimś staromodnym sensie. Dystans w czasach usieciowienia i szybkich łączy ma zupełnie inny sens. Możemy przecież zobaczyć i usłyszeć korespondencję z dowolnego punktu globu w dowolnym czasie. Chodzi o to, że widok zza tych okien naturalnie weryfikuje „centralny rozdzielnik informacyjny", mówiąc półżartem. Polska jest dziś tak wielostronna, tak dynamicznie się przekształca, że trzymanie się jednego centralnego punktu odniesienia zwyczajnie zniekształca obraz. Jestem pełen uznania dla dziennikarzy, którzy próbują zdać relację z tej wielkiej metamorfozy całej Polski, jej blasków i cieni. Jakoś ją odnieść do metamorfozy świata. Wyjść z wąskiego kadru, wspomnianej już medialnej stopklatki.

Fascynuje mnie w naszych rodakach ich zdolność przetrwania i adaptacji, taka codzienna – wracamy do początku naszej rozmowy – zaradność i wola życia. To także widać w metamorfozie Polski, którą obserwujemy wokół nas.

Mam silne wrażenie, że dla Ciebie formacyjny moment to rok 1989. Twój doktorat o „Trzeciej transformacji", tej symboliczno-historycznej, który wkrótce ukaże się jako książka w Znaku, też dotyczy tamtych czasów. Wracasz do nich jako do punktu odniesienia dla współczesności.

To prawda. Formacyjny również dlatego, że ten rok kojarzy mi się silnie z „Tygodnikiem". Zdawałem maturę, zaczynałem studia i czytałem odcinki „Alfabetu demokracji" Marcina Króla, słuchając The Clash, którego płytę przywiózł wcześniej z RFN-u kolega. Taki był początek mojego świata, jego niezwykłej metamorfozy, która trwa przecież do dzisiaj.

Ale zasadnicza odpowiedź na twoje pytanie o moją skłonność do przywoływania roku 1989 jest taka: przecież mogło pójść inaczej, wcale nie tak dobrze. W Berlinie widziałem niedawno wystawę „Roads not Taken", pokazującą niezrealizowane, alternatywne scenariusze historii najnowszej Niemiec. Wystawa uprzytomniła mi ponownie, że w 1989 r. i potem mogło pójść gorzej, mogło się nie udać przejść do wolnej Polski. Uważam, że choć nie żyjemy ani w najlepszym ze światów, ani w najlepszej Polsce z możliwych, to często imponująca jest nasza zdolność do naprawiania państwa oraz nasze talenty innowacyjne i adaptacyjne.

Gdzie w tym był „Tygodnik"?

Tam, gdzie teraz – w samym środku.

Ale to pismo jest mi bliskie z jeszcze jednego powodu. Już na studiach zafascynowała mnie historia i kultura Żydów polskich. Rozmawiamy niedaleko miejsca, gdzie przed wojną mieszkała jedna trzecia krakowian. Ci ludzie, nasi współobywatele, zostali wymordowani w czasie Holokaustu. Przecież to było całkiem niedawno, jeszcze żyją ludzie, którzy to pamiętają. A „Tygodnik" nigdy o nich nie zapomniał, głośno upominał się o namysł nad losem polskich Żydów.

Świadomość ich nieobecności jest dla mnie potężną motywacją. W Żydowskim Muzeum Galicja, gdzie spędziłem ostatnie dwa lata, pracujemy nad wystawą, na której pokażemy wybrane synagogi unicestwione przez III Rzeszę, od Szczecina po Lwów. Żadna nie została odbudowana: ani w Łodzi, ani we Wrocławiu, ani w dawnym Wolnym Mieście Gdańsku, ani we Lwowie, ani w Warszawie na Tłomackiem. To są przecież dziesiątki wspaniałych budowli.

Przepraszam za wielkie słowa, ale cieszy mnie, że możemy żyć w poczuciu jakiegoś bezpieczeństwa, bez wojny. Życie w pokoju i wolności to coś najlepszego, co może się zdarzyć. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Może dlatego niektórym łobuzom historyczno-politycznym już się nudzi. Wspominam o nich w tym miejscu, żeby nie wyjść na człowieka, który widzi tylko jasne strony współczesnej Polski.

Z czym Polacy muszą sobie dziś radzić szczególnie?

Z tym samym, co inni mieszkańcy naszego globu. Automatyczna inteligencja (świadomie nie mówię o niej: „sztuczna") zmienia rynek pracy, miejscami go wręcz unicestwia. I okazuje się, że największym zagrożeniem nie jest dla ludzi z niskim wykształceniem, tylko dla informatyków, onkologów...

Dla dziennikarzy też? Jak sobie wyobrażasz koegzystencję mediów z – podoba mi się ta nazwa – automatyczną inteligencją?

Tu akurat mam radykalne podejście: nie wyobrażam sobie. Wszystko, co się zintegrowało w cyfrowej ekspozyturze medialnej, czyli obraz, dźwięk i tekst, jest tworzone przez człowieka. Automatyczna inteligencja może być tylko i wyłącznie narzędziem pracy, jak maszyna do pisania. Inaczej...

No właśnie: co, jeśli będzie inaczej?

Wspomniałeś, że pracowałem od 1994 r. przez pięć lat w Sekcji Polskiej BBC. Nasze media były wtedy rozedrgane, galaretowate wręcz, a ja znalazłem się w kraju, gdzie rozwijały się od dobrych dwustu lat i prezentowały całe spektrum standardów, bo przecież na BBC świat się nie kończył. Rupert Murdoch budował swoje imperium w najlepsze...

Z tych czasów zachowałem wiele przyjaźni, komunikujemy się na Messengerze czy WhatsAppie. I niedawno dyskutowaliśmy tam o oświadczeniu BBC,

która dostarcza teksty po polsku, tłumaczone przez automatyczną inteligencję, choć z zagwarantowanym tej produkcji „*human supervisor*", czyli nadzorującym je ludzkim czynnikiem. Nie akceptuję tego. Pomoc automatycznej inteligencji powinna być ograniczona wyłącznie do celów encyklopedycznych.

Czyli granicą jest wyrażanie opinii? Nie wyobrażasz sobie tekstu, który jest autorski i podpisany przez AI?

Uważam, że to nie będzie tekst dziennikarski. A więc – na przykład na tych łamach – niedopuszczalny. Po prostu. Niech nam owa AI rysuje mapę Przesmyku Suwalskiego albo wykres potencjalnych skutków polityki cenowej Donalda Trumpa dla Unii Europejskiej. Wystarczy.

Dla mnie to fundament dziennikarskiego dekalogu.

Padło słowo „dekalog", które otwiera kolejny temat rzekę. W latach formacyjnych czytałeś katolickie pismo społeczno-kulturalne. Czym był dla Ciebie wtedy katolicyzm?

Tym samym, czym jest teraz. Ukształtował mnie i kształtuje. Znów odwołam się do doświadczeń z „Tygodnikiem": pamiętam wystąpienie Krzysztofa Kozłowskiego, w którym odsyłał do esencji chrześcijaństwa, zawartej w Kazaniu na Górze i ośmiu błogosławieństwach.

Uważał, że jedno z nich wyznacza cały sens działalności politycznej, a pewnie i dziennikarskiej...

Które?

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój..."

No właśnie. Dla mnie „katolicki" znaczy ściśle to, co znaczy, czyli „powszechny". Łączenie go z nacjonalizmem jest jakąś religijną perwersją. I pokoleniowe doświadczenie pontyfikatu Jana Pawła II było dla mnie naprawdę gigantyczne.

O! To ja chyba po raz pierwszy rozmawiam z kimś, kto otwarcie przyznaje, że należy do „pokolenia JP2".

Nie, nie, ja tego nie mówię w sensie przynależności pokoleniowej, tylko doświadczenia, któremu nie sposób zaprzeczyć.

Wychowałem się pod Krakowem i byłem lektorem w moim kościele parafialnym. A nieżyjący już proboszcz na lekcjach religii w parafialnej salce katechetycznej wykonywał naprawdę fantastyczną rzecz, opowiadając w III i IV klasie szkoły podstawowej o Biblii. Myśmy to w dodatku, w ramach zajęć domowych, rysowali, więc do dziś mam przed oczami historię Józefa, sny faraona, proroka Daniela i lwy, które go nie tknęły. Stary Testament przez cały rok, dwie godziny w tygodniu. Potem cały rok Nowy Testament. Słuchaj, to naprawdę nie było banalne! Zapamiętałem te opowieści do dzisiaj.

Słychać.

To dawało też cywilizacyjne osadzenie w świecie śródziemnomorskim, w kulturze chrześcijaństwa. A w Liceum Nowodworskiego w Krakowie klasa z językiem łacińskim i greckim, naprawdę solidna dawka kultury antycznej. Pytałeś, co z tego zostało do teraz? Wszystko.

Mam więc swoją osobistą drogę. „Tygodnik" też ma swoje drogi, fantastyczne. Dumny jestem, że mogę być w piśmie, które nosi podtytuł „katolicki", zachowując prawo do jego interpretacji. Tego się nie da odebrać ani zanegować, a resztę... resztę będziemy robić już razem z tym fantastycznym zespołem dziennikarzy i redaktorów. Dla czytelników, dla odbiorców.

©℗ Rozmawiał PIOTR MUCHARSKI



GRAŻYNA MAKARA

JACEK STAWISKI (ur. 1970) jest dziennikarzem telewizyjnym, radiowym i prasowym specjalizującym się w tematyce międzynarodowej, podkasterem. Pracował w RMF, BBC World Service i TVN24 jako wydawca, komentator, autor wywiadów i filmów dokumentalnych oraz dyrektor ds. informacji i menedżer. Współtworzył kanał TVN24 BiS, gdzie od roku 2019 był redaktorem naczelnym. Na łamach „TP" publikuje od 2005 r. Współtwórca filmu dokumentalnego „My, Naród" o przemówieniu Lecha Wałęsy w Kongresie USA w 1989 r. oraz „Pułkownik House" o roli USA w odbudowie Polski po I wojnie światowej. Doktor historii, swoją pracę, obronioną na UJ, poświęcił transformacji symbolicznej i historycznej w Polsce 1989-1995; wkrótce nakładem Znaku ukaże się jego książka „III RP. Historia odzyskana". W latach 2016-2020 członek Rady przy Międzynarodowym Centrum Edukacji o Auschwitz i Holokauście, 2021-2023 – specjalista ds. komunikacji w Muzeum Miejscu Pamięci KL Plaszow w Krakowie, 2023-2025 – dyrektor Żydowskiego Muzeum Galicja. Mówi biegle po angielsku i niemiecku, włada francuskim i rosyjskim, posługuje się hiszpańskim, hebrajskim i jidysz. Mieszka w Krakowie. Redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego" będzie od listopada 2025 r.



ŚWIAT

CO SIĘ DZIEJE W GŁOWACH ROSJAN

KATERINA GORDIEJEWA, DZIENNIKARKA:

W Moskwie nie czuć wojny, to nadal stolica bogactwa i wygody.
Putin jest sprytny, nie wysyła moskwian na front.
Giną mieszkańcy wiosek, prowincji.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Poznaliśmy się jeszcze w innym świecie – w 2012 r. Byłaś już rozpoznawalną rosyjską dziennikarką i dokumentalistką...

KATERINA GORDIEJEWA: ...i właśnie odchodziłam z pracy w państwowej telewizji. Miałam dwoje dzieci, roczne i dwuletnie, była to więc ryzykowna decyzja. Ale nigdy jej nie żałowałam, jasne już dla mnie było, co się dzieje w Rosji. Choć i tak sobie wtedy nie wyobrażałam, do czego dojdzie.

Dwa lata później wyjechałaś z Rosji i zamieszkałaś na Łotwie. To był impuls czy proces?

Urodziłam się w Rostowie nad Donem, to jest sto kilkadziesiąt kilometrów na południe od Doniecka. Donieck był dla nas bliżej niż Moskwa, a my byliśmy bliżej Doniecka niż Kijów. Tamtejsze zielone pola to kraina mojego dzieciństwa. Latem 2014 r. odwiedzałam rodziców i zobaczyłam transport czołgów. Na drodze, którą dotąd jeździły pojazdy rolnicze. Zmierzał w stronę Doniecka. W jednej chwili wszystko zrozumiałam.

Koleżanka z klasy napisała do mnie wówczas w esemesie, że musi podzielić siebie samą poziomo lub pionowo. Ona urodziła się w Czertkowie, miasteczku przy granicy między Rosją a Ukrainą. Jej ojciec był Ukraińcem, a matka Rosjanką, to częste w tym regionie. Pojęłam, że Putin zniszczy świat mojego dzieciństwa. Wtedy nie wyobrażałam sobie, że zdoła zniszczyć tak wiele istnień. Ale rozumiałam już, że sprowadzi na nas chaos i katastrofę wojny.

KATERINA GORDIEJEWA (ur. 1977) jest rosyjską dziennikarką. Relacjonowała wojny w Czeczenii, Afganistanie i Iraku, realizowała filmy dokumentalne i reportaże społeczne. W 2012 r. zrezygnowała z pracy w państwowej telewizji NTV, w 2014 r. opuściła Rosję. Twórczyni kanału „Skaży Gordiejewej" na YouTube (youtube.com/skazhigordeevoy). Laureatka nagrody im. Anny Politkowskiej. Jej reporterska książka o ofiarach wojny w Ukrainie ukazała się po angielsku nakładem Penguin Books, a po polsku jako „Zabierz moje cierpienie" w wydawnictwie Sonia Draga (przekład Agnieszka Lubomira Piotrowska).

Po powrocie do Sankt Petersburga, gdzie wtedy mieszkałam, czekałam, jak zareagują Rosjanie. Ale zapadła cisza. Niektórzy, jak Borys Niemcow, próbowali organizować demonstracje, ale to była tylko kropla w morzu. To był okres bogacenia się, tempo rozwoju szybkie, cała rosyjska socjeta kulturalna i intelektualna próbowała żyć tak, jakby nic się nie stało.

Ja nie mogłam. Zabierano mi krainę dzieciństwa, więc postanowiłam, że nie pozwolę im zabrać moich dzieci. Nie pozwolę dzieciom uznać, że to normalne, i poprosiłam męża, żebyśmy wyjechali. Ściślej, powiedziałam mu, że mamy dwie opcje. Albo żyjemy razem i wyjeżdżamy, albo się rozwodzimy i zabieram dzieci. Byłam wtedy w ciąży. Zdecydowaliśmy się natychmiast...

Uciec?

Wyjechać. Ucieka się spod bomb, jak ukraińscy uchodźcy. Albo od prześladowań, jak rosyjscy przeciwnicy wojny w 2022 r. Dla nas to było łagodne. Przenieśliśmy się do Rygi, bo na Łotwie, gdzie kupiłam wcześniej kawałek ziemi, miałam pozwolenie na pobyt.

Ale dalej pracowałaś jako rosyjska dziennikarka. Stworzyłaś na YouTubie kanał „Skaży Gordiejewej" (Powiedz Gordiejewej).

Nie chciałam zdradzić ojczyzny w sensie zawodowym. Mam prawo i obowiązek zbierać świadectwa o tym, co dzieje się w Rosji. Dlatego jeżdżę tam robić wywiady i nie mogą mi tego zabronić. A może mogą... Zostałam ogłoszona zagraniczną agentką. Nie wiadomo, co to naprawdę oznacza.

Możesz to wyjaśnić? Dlaczego przy każdym swoim materiale umieszczasz ostrzeżenie, że jesteś zagraniczną agentką?

Bo nie chcę pójść do więzienia tylko za to, że go nie umieściłam. Wiesz, kilka lat temu odkryłam akt oskarżenia mojego dziadka, który został zabity podczas represji stalinowskich w 1937 r. W pierwszym punkcie oskarżenia zarzucono mu, że był zagranicznym agentem. Więc to taka rodzinna tradycja...

Status zagranicznego agenta nadaje ministerstwo sprawiedliwości. Oznacza, że Rosja uznała cię za wroga państwa. Nie sądzę, by władze same w to wierzyły, ale twierdzą, że zagranica płaci ci za twoje poglądy. To szaleństwo, w którego efekcie nie możesz sprzedać swojej nieruchomości, zarabiać, występować publicznie, brać udziału w wydarzeniach państwowych, a teraz, od 1 września, nie wolno ci też prowadzić działalności edukacyjnej.

Jesteś banitką w swoim kraju?

Tak, ale nie za sprawą mojego kraju, tylko władz mojego kraju. Co nie znaczy, że ludzie nie boją się mieć ze mną do czynienia. Niektórzy boją się bardzo. Inni przeciwnie. Jak stewardessa, która nagle mnie przytuliła, gdy leciałam do Rosji. Zdarza się, że ktoś chce zrobić sobie ze mną zdjęcie. Ale zdarza się też, że starzy przyjaciele przechodzą na drugą stronę ulicy, gdy mnie widzą.

W swoim kanale gościłaś opozycjonistów, jak laureat pokojowego Nobla Dimitrij Muratow. Ostatnio przebiłaś sufit oglądalności wywiadem z 76-letnią piosenkarką Ałłą Pugaczową, która powiedziała w nim, zwracając się do Putina, że czas kończyć. Skąd pomysł, by rozmawiać z Pugaczową?

Jest najważniejszą osobą dla wielu pokoleń Rosjan – i mojej babci, i moich dzieci. Ludzie tak ją kochają, że chcą coś od niej usłyszeć. Czekaliśmy, aż coś powie. W moim wywiadzie udało się jej znaleźć właściwe słowa – ona tak dobrze zna swoją publiczność, że umie trafić do wszystkich warstw społecznych. Młodzi ludzie pisali do mnie potem, że oglądali ten wywiad z babciami i z rodzicami, z którymi nie rozmawiali przez ostatnie lata. Było to coś, co zjednoczyło ludzi.

Ona mówiła rzeczy bardzo proste: że wojna jest zła, że nie można zdradzać przyjaciół. Że sumienie jest ważniejsze niż sława i pieniądze. Nie powiedziała nic nowego ani skomplikowanego. Dlatego została usłyszana. I jeszcze coś: nie była agresywna. To ważne, bo ludzie są zmęczeni wszechobecną agresją.

Putinowska propaganda się po tym wywiadzie wściekła?

Nie sprawdzałam.

Nie chciałaś?

Nie interesuje mnie to. My robimy, co możemy. To moje zadanie. Nie mam siły ↦

OLGA PAVOLGA

↦ ani czasu, żeby śledzić to, co mówi propaganda.

Pytam, bo Muratow nazwał Cię „jednoosobową alternatywą dla rządowej machiny propagandowej". Twój wywiad z Pugaczową ma już 24 mln wyświetleń. Ale tamta cisza, o której wspomniałaś, dalej panuje w Rosji?

Niektórzy z tych, którzy milczeli w 2014 r., zabrali głos dopiero w 2022 r., po pełnoskalowej inwazji, która sprawiła, że coś się w nich przelało. Czy nam się to podoba, czy nie, ludzie są różni i mają różne granice. Teraz Rosjanie też się od siebie różnią, od Moskwy po Władywostok.

W Moskwie nie czuć wojny, to nadal stolica bogactwa i wygody. Putin jest sprytny, nie wysyła moskwian na wojnę. Giną mieszkańcy wiosek z dala od stolicy, którym za pójście na front oferuje się nawet 6 mln rubli [ok. 260 tys. zł – red.]. W tych wioskach jest już wielu młodych mężczyzn, którzy wrócili bez rąk i nóg, a co gorsza, wrócili z doświadczeniem w zabijaniu i byciu zabijanym. To niebezpieczne. Jest ich już o wiele więcej niż weteranów, którzy kiedyś wrócili z Afganistanu. Myślę, że to jeden z powodów, dla których Putin nie chce kończyć wojny w Ukrainie.

Rosjanie milczą, bo wyrażanie opinii jest zbyt niebezpieczne. Ty jesteś z Polski, ja jestem z Rosji, wiemy, jak to wyglądało za Hitlera i Stalina. Dziś też nie da się powiedzieć, czy ktoś jest milcząco przeciwny Putinowi, czy też popiera jego i jego wojnę. Prawdopodobnie boi się Putina, dlatego udaje poparcie. Ludzie się boją.

Ukrainka Tania, jedna z bohaterek Twojej książki – zbioru reportaży o ludziach, których doświadczyła ta wojna – pyta Cię: jak to wygląda w Rosji, czy Rosjanie naprawdę cieszą się, że ludzie w Ukrainie cierpią? Pyta też: „Jak Rosjanie sobie tłumaczą swoje cierpienie? My wiemy, o co walczymy, a wy?". Przyznam, że mam opór przed przyjęciem tej myśli do wiadomości: że Rosjanie cierpią.

Matka męża mojej przyjaciółki mieszka od lat w Moskwie, ale pochodzi z Zaporoża. Jej mama, staruszka, nadal tam żyje. Dzwonią do siebie w nocy, bo w ciągu dnia się boją. Czy ta kobieta z Moskwy popiera wojnę? Czy może popierać bomby, które mogą zabić jej mamę? Oczywiście, że nie. Ale jest nauczycielką w rosyjskiej szkole i uważa, że nie może się głośno wypowiadać. Cierpi. Nie popiera wojny, ale nikt o tym nie wie, z wyjątkiem jej matki i męża.

Zostałam w Rosji ogłoszona zagraniczną agentką.

Zdarza się, że starzy przyjaciele przechodzą na drugą stronę ulicy, gdy mnie widzą.

To bardzo powszechna postawa w Rosji – ciche cierpienie. Ludzie się za to obwiniają, ale nie umieją powstać przeciw Putinowi, tak jak Niemcy nie buntowali się przeciw Hitlerowi. Ilu ich było w ruchu oporu przeciw III Rzeszy? Ilu było członków Białej Róży?

Represje umożliwiły tę wojnę. Władimir Kara-Murza [krytyk Putina, więziony, przekazany na Zachód w ramach wymiany więźniów w 2024 r. – red.] powtarza, że gdy przez dekady Putin dławił wszelkie wolne słowo w Rosji, nikt na Zachodzie się mu nie przeciwstawiał. Aż zdecydował, że może iść na tę wojnę, bo nikt mu nic nie powie. Jak oboje wiemy, kraje Zachodu nadal kupują od Rosji gaz i ropę.

Jeśli kraje i organizacje międzynarodowe były wobec Putina bezradne, co mogą dziennikarze? Tania z Twojej książki pyta Cię, czy opowiadanie jej historii ma sens, bo to przecież nic nie naprawi. Nie naprawi?

Próbuję to robić. Próbuję rejestrować rzeczywistość taką, jaka jest, dzień po dniu, głos po głosie. My, dziennikarze, zwłaszcza rosyjscy, musimy też głośno mówić o naszych więźniach politycznych. W Rosji jest ich ponad trzy tysiące. To ci, którzy próbowali sprzeciwić się wojnie. Potrzebny jest tu głos społeczności europejskiej. Wierzę, że presja państw i ich liderów może pomóc w wydostaniu ich z więzień. Bo rosyjskie więzienia to miejsca, w których nie da się przetrwać.

Moja serdeczna przyjaciółka Żenia Berkowicz, reżyserka, poetka i dramaturżka, która ma dwoje adoptowanych dzieci, w tym jedno z niepełnosprawnością umysłową, została skazana na sześć lat. Rok temu, gdy Żenia była już za kratami, zmarła jej babcia, nie wiedząc, co czeka jej wnuczkę. Druga babcia Żeni ma 95 lat i traci słuch, a wolno im z Żenią rozmawiać przez telefon tyko dwa razy w miesiącu po pięć minut. Babcia może jej tylko powiedzieć „Żenia, nie słyszę cię" i się rozpłakać. To okrucieństwo.

Potrzebna jest dziś wymiana więźniów. W rosyjskich więzieniach jest przecież także wielu ukraińskich cywilów. Może nie powstrzymamy wojny, ale możemy ratować ludzi, których da się uratować. Oni muszą stać się głównym punktem negocjacji między Rosją a Unią Europejską czy USA.

Tymczasem w Polsce w miejsce solidarności z Ukraińcami pojawiła się podsycana przez populistów agresja. W moim Krakowie co niedzielę grupka Ukraińców i wspierających ich Polaków demonstruje za solidarnością z ich krajem, a naprzeciw nich staje facet z głośnikiem, przez który ich lży, i nie ma na niego mocnych. My w mediach wiemy, bo widzimy to w statystykach, że nasi odbiorcy są zmęczeni wojną i złymi wiadomościami.

Oczywiście, ludzie są zmęczeni. Dla polskiego społeczeństwa ta wojna toczy się tuż za miedzą. Ale dla Francuzów, Włochów, Hiszpanów? Jacyś Słowianie gdzieś tam próbują się pozabijać. Przez pierwszych kilka miesięcy było naprawdę groźnie, zapanował strach przed wojną. Ale później ludzie wrócili do swoich codziennych lęków. I nie można ich winić za to, że boją się konkurencji Ukraińców na rynku pracy i nie chcą, by ich podatki szły na pomoc dla tamtych.

Tak samo jest na południu Rosji, gdzie trafia wielu uchodźców z Ukrainy. Nieraz słyszałam, zbierając materiały, że Ukraińcy dostali pieniądze jako uchodźcy i zabierają miejsca pracy. Ale wiecie, oni nie wyjechali z własnej woli.



YOUTUBE.COM / SKAZHIGORDEEVOY

Wywiad Kateriny Gordiejewej z piosenkarką Ałłą Pugaczową

Twój kanał jest na YouTubie, czyli na tej samej platformie, na której działa wielu proputinowskich influencerów, czy to pożytecznych idiotów, czy świadomych propagandzistów. Platforma internetowa, media społecznościowe są tu neutralne? Niewinne?

Nie wiem, naprawdę. Ale spójrz na to z innej perspektywy: YouTube jest w Rosji całkowicie zablokowany. Zobacz, ile osób podjęło wysiłek i ryzyko, by przełamać tę blokadę i obejrzeć wywiad z Ałłą Pugaczową. Kilka tygodni temu zadzwoniła do mnie mama i powiedziała, że nie może oglądać moich filmów, bo wszystko jest zablokowane, ale ludzie znaleźli sposób – korzystają z VPN [technologia maskująca użytkownika internetu – red.]. W ciągu pierwszych kilku dni od opublikowania wywiadu z Pugaczową w Rosji wzrósł popyt na VPN i na informacje, jak pobrać VPN.

Na razie YouTube to dla nas jedyna możliwość dotarcia do naszych widzów, a i tak obawiam się, że za parę miesięcy go stracimy. Rosja ma własne media społecznościowe i komunikatory, Putin buduje cyfrowy mur między Rosją a światem, blokując Instagrama, Facebooka, YouTube i platformę X. Jeśli złapią cię na korzystaniu z Instagrama, oskarżą cię o przestępstwo.

Platformy społecznościowe powinny blokować rosyjskich propagandystów? Bo wiesz, jeśli przyjaźń Trumpa i Putina się pogłębi albo big techom wyjdzie tak z rachunku ekonomicznego, to nie tamci będą blokowani, tylko Ty.

Nie popieram żadnych zakazów i blokad. Jestem mamą czwórki dzieci, w tym dwojga nastolatków i wiem, że jeśli czegoś zakazujesz, natychmiast staje się to popularną ideą. Oczywiście nie znaczy to, że można dowolnie propagować antysemityzm, rasizm czy nazizm. Ale póki platforma jest otwarta dla wszystkich, każdy ma szansę.

W swojej książce jesteś jako reporterka w unikatowej sytuacji: konfrontujesz się ze swoimi bohaterkami i bohaterami z Ukrainy jako Rosjanka. Zadedykowałaś książkę swoim dwóm babciom: Rozie, która urodziła się w Mikołajowie i zmarła w Rostowie nad Donem, i Katii urodzonej w Moskwie i zmarłej w Kijowie. Piszesz: „Mój kraj wypowiedział wojnę ludziom, których kocham". Z drugiej strony jest Putin, który przekonuje, że Ukraińcy nie są odrębnym narodem. Jak to wszystko się łączy, dzieli, działa?

Jak już mówiłam, Putin postanowił zniszczyć moją krainę dzieciństwa. Ona była w mojej głowie niczym wielka słoneczna kula, trochę jak w tym filmie animowanym „W głowie się nie mieści". Pielęgnowałam w sobie lata spędzane między Rosją a Ukrainą, bez zastanawiania się, gdzie przebiega granica.

Nawet kiedy w 1991 r. ona się pojawiła, nie miało to w naszym życiu znaczenia. Działało to jak w Schengen, mogliśmy się przemieszczać tam i z powrotem. Oczywiście wiedzieliśmy, kto jest Ukraińcem, a kto Rosjaninem. Ale nie był to problem, w dzieciństwie nie wyczuwałam żadnej nienawiści między Rosjanami a Ukraińcami. A mieszkałam dokładnie na granicy, jeździliśmy w odwiedziny do rodziny w Kijowie, rozumiem oba języki, choć po ukraińsku nie mówię zbyt dobrze.

To Putin stworzył między nami konflikt, używając języka, kultury i nienawiści. To on zasiał nienawiść.

Praca nad książką i filmem dokumentalnym, na którego kanwie ona powstała, oznaczała dla mnie zbieranie świadectw dla naszych dzieci i dla ich dzieci, żeby cały ten ból stał się źródłem wiedzy o tym, do czego doszło i jak to było możliwe. Bardzo cenię sobie to, że ludzie ze mną, Rosjanką, rozmawiali. Nie bez problemów, ale że mi uwierzyli. Każda z tych opowieści została autoryzowana przez jej bohaterów.

Jedna z kobiet, Rhea, opowiada Ci, jak została znaleziona przez żołnierzy. Pytasz: „Jakich żołnierzy?". „Waszych żołnierzy". Jak udźwignąć taką odpowiedź?

Nie sądziłam, że będzie to aż tak trudne. W rok po ukończeniu tej książki zapadłam na głęboką depresję, miałam problemy psychiczne. A nie spodziewałam się tego po sobie, bo to przecież zawsze była moja praca: byłam już korespondentką wojenną, robiłam reportaże o dzieciach cierpiących na raka. Ale tym razem pisałam o czymś, co dotyczyło również mnie i moich najbliższych. To pewnie dlatego.

Tania w książce odpowiada Ci pytaniem na pytanie: Katia, czy Ty masz dom?

Mam czworo dzieci, męża, mamę i tatę. To mój dom. Ale swojego miejsca już nie mam.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Bitwa na mapy

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Trump ma plan: tak zmienić granice okręgów wyborczych, by Republikanie wygrali głosowanie do Kongresu w 2026 r. Politycy obu partii od dawna wykańczają w ten sposób demokrację.

To opowieść o współczesnej Ameryce. Ale żeby ją lepiej zrozumieć, musimy cofnąć się do przeszłości – i to o ponad dwa wieki.

26 marca 1812 r. dziennik „The Boston Gazette" publikuje karykaturę: przedstawia jeden z okręgów w wyborach do stanowego Senatu. Kształtem przypomina salamandrę – jej autor, Elkanah Tisdale, dorysował okręgowi głowę, skrzydła i szpony, opatrując całość tytułem „The Gerry-Mander, nowy gatunek potwora".

Właśnie od tego rysunku wziął się w Stanach termin „gerrymandering", oznaczający manipulowanie granicami okręgów wyborczych. To zlepek dwóch słów: *mander* (fragment słowa *salamander*) i nazwiska Elbridge'a Gerry'ego, gubernatora stanu Massachussetts, który właśnie w 1812 r. zatwierdził mapę faworyzującą jego partię. Choć podobno zrobił to niechętnie, to jednak stworzył precedens – i pozwolił, by powstał autentyczny potwór, antydemokratyczny i pożerający Amerykę.

TEKSAS URUCHAMIA LAWINĘ | Ponad 200 lat później czegoś podobnego dokonał gubernator Teksasu Greg Abbott. Pod naciskiem Trumpa uruchomił procedurę, w wyniku której w sierpniu przyjęto nową mapę okręgów wyborczych w tym stanie.

Dzięki niej Republikanie mogą zyskać pięć dodatkowych mandatów do Izby Reprezentantów w wyborach do Kongresu w 2026 r. Celem tego posunięcia jest uchronienie partii Trumpa przed możliwą utratą większości w Izbie. Jest to bowiem częsty scenariusz w wyborach do Kongresu, które odbywają się w połowie kadencji urzędującego prezydenta, a w których wielu wyborców daje wyraz rozczarowaniu jego rządami.

Tak było w 2018 r., gdy po dwóch burzliwych latach rządów Trumpa konserwatywne mieszkanki przedmieść pokazały Republikanom czerwoną kartkę i pomogły Demokratom przejąć kontrolę nad Izbą Reprezentantów. Tym samym Trump stracił wówczas „maszynkę" do zatwierdzania swoich reform.

WIELKA UCIECZKA | Przymiarki do nowej mapy wyborczej rozpętały w Teksasie polityczny chaos. W sierpniu całe Stany mówiły o grupie ponad 50 teksańskich Demokratów: aby utrudnić zatwierdzenie projektu przez stanowy parlament, gdzie Republikanie mają większość, zerwali oni kworum – wyjechali na dwa tygodnie poza granice Teksasu. Rozpierzchli się po liberalnych stanach, opowiadając mediom, jak to teksańscy konserwatyści dali się złamać Trumpowi.

Za tę „ucieczkę" dostali grzywnę: po niemal 10 tys. dolarów. To więcej niż wynosi ich roczna płaca bazowa (bycie stanowym parlamentarzystą nie jest zajęciem na cały etat). Aby jeszcze bardziej w nich uderzyć, zarządzono, że bieżącą pensję mogą odebrać tylko osobiście.

Gdy Demokraci wrócili do rodzimego stanu, zadbano, by znów nie zerwali potrzebnego do głosowania kworum. Dostali do podpisania dokument, według którego mogli opuszczać gmach parlamentu wyłącznie w asyście policji i to pod warunkiem, że następnego dnia wrócą na kolejną sesję. Ci, którzy odmówili podpisania „lojalki", koczowali nocą w sali obrad.

Ostatecznie głosowanie w sprawie nowej mapy przebiegło bez niespodzianek, według podziałów partyjnych. Gubernator nagrał wideo, na którym podpisuje ustawę i ogłasza, że reprezentacja Teksasu w Kongresie USA będzie jeszcze bardziej czerwona – innymi słowy: bardziej republikańska.

INNI TEŻ BY CHCIELI | Teksański precedens miał konsekwencje. W odpowiedzi liberalna Kalifornia uznała, że też chce zapewnić „swoim", tj. Demokratom, pięć dodatkowych mandatów w Waszyngtonie. Tu na zatwierdzenie nowej mapy wyborczej muszą się jednak zgodzić mieszkańcy stanu – referendum zaplanowano na listopad.

Do podobnych manipulacji przymierzają się politycy także w innych stanach: od stanu Nowy Jork po Florydę, Kansas i Indianę. W niektórych stanach idzie to błyskawicznie: w Missouri mapę faworyzującą Republikanów już pod koniec września zatwierdził gubernator stanu Mike Kehoe.

Ta obecna walka na mapy przebiega w USA wbrew przyjętym regułom gry. Tradycyjnie wytyczanie granic okręgów ma bowiem miejsce równo co 10 lat, po tym, jak publikowany jest spis powszechny z bieżącymi statystykami ludności. Następny spis realizowany będzie tymczasem dopiero w 2030 r.

To właśnie na podstawie spisu wiadomo, którym stanom należą się dodatkowe mandaty w Izbie Reprezentantów ze względu na napływ mieszkańców. I tak, po ostatnim nowe miejsca zyskały Teksas, Kolorado, Floryda, Oregon, Karolina Północna i Montana. Po jednym straciło zaś siedem stanów, m.in. wyludniające się Pensylwania, Michigan i Wirginia Zachodnia.

Rachunek zawsze musi się zgadzać: do podziału między 50 stanami jest dokładnie 435 mandatów. Przepisy stanowią też, że przy rozrysowywaniu nowych okręgów poszkodowane nie mogą być mniejszości językowe i etniczne. Tak jak inni, muszą mieć prawo do wyboru swoich przedstawicieli.

„CRACKING" I „PACKING" | To wszystko wygląda ładnie na papierze, w praktyce jednak tworzenie nowych map to zazwyczaj upolityczniony proces, który kończy się majstrowaniem przy granicach okręgów – tak aby faworyzowały konkretną partię.

Towarzyszą temu praktyki dwojakiego rodzaju. „Cracking": dzielenie grupy wyborców, np. Latynosów, między kilka okręgów tak, aby ich głos nie miał realnej siły. Oraz „packing": wciśnięcie danej grupy do jednego okręgu, aby tylko tam mogła wybrać swego reprezentanta.



TNS / ABACA / FORUM

Republikanie zmienili granice okręgów wyborczych także w stanie Missouri. Na zdjęciu: protest na korytarzu stanowego parlamentu w Jefferson City, 10 września 2025 r.

Praktyki te dobrze pokazuje uchwalona właśnie mapa w Teksasie. Na przykład w rejonach Austin dwa okręgi będące bastionem Demokratów zredukowano faktycznie do jednego. W efekcie w przyszłorocznych wyborach rywalizować ze sobą musiałaby dwójka kongresmenów reprezentujących obecnie dwa odrębne okręgi. Jeden, 79-letni Lloyd Doggett, zapowiedział już, że nie będzie ubiegać się o reelekcję, jeśli nowa mapa obroni się w sądach (została zaskarżona przez kilka organizacji).

Na całym tym manewrze skorzystają Republikanie, którzy jeden z „odebranych" Demokratom okręgów rozrysowali tak, żeby faworyzował ich partię.

JAK ZYSKAĆ NA LATYNOSACH | Na manipulacje z ostatnich tygodni wścieka się Katie Gillespie z Austin – mieszkanka okręgu, w którym o reelekcję prawdopodobnie nie będzie ubiegać się wspomniany Doggett.

– To duża strata, bo on godnie reprezentował nas w Kongresie. Od lat walczył o opiekę zdrowotną dla Amerykanów, prawa reprodukcyjne kobiet i zniesienie ulg podatkowych dla korporacji. W ostatnich miesiącach krytykował politykę celną Trumpa – wylicza Katie w rozmowie z „Tygodnikiem".

Katie denerwuje się, że Republikanie upchnęli do jednego okręgu klasę pracującą z Austin. – Na tych zmianach jak zwykle dobrze wyjdą bogacze z zachodniego Austin, którzy głosują na Partię Republikańską, bo zależy im na obniżce podatków – uważa Katie, która pracuje na stoisku z pieczywem w popularnej w Teksasie sieci supermarketów H-E-B. Razem z mężem od lat nie stać jej na wzięcie kredytu hipotecznego i kupienie własnego domu.

Katie przypomina, że Republikanie majstrują przy okręgach zaledwie cztery lata po uchwaleniu wcześniejszej mapy, sporządzonej na podstawie aktualnego spisu, opublikowanego w kwietniu 2021 r. Ona też została zaskarżona, jako dyskryminująca mniejszości etniczne i językowe. Sprawa jest wciąż w toku.

Obserwatorzy są zgodni, że tym razem Republikanie chcą wykorzystać poparcie ze strony konserwatywnych Latynosów, którzy w 2024 r. tłumnie głosowali na Trumpa. Cztery z pięciu mandatów, jakie chcą zyskać dzięki nowej mapie, obejmują rejony zamieszkane w większości przez tę społeczność. W tym dolina Rio Grande przy granicy z Meksykiem, kiedyś bastion Demokratów. Jej mieszkańcy uwierzyli Trumpowi, że rozprawi się z inflacją i imigracją.

KALKULACJA REPUBLIKANÓW | Teraz, gdy w Stanach rozkręca się „wojna na mapy", jako winnego tej sytuacji wskazuje się nie tylko Trumpa, ale także Sąd Najwyższy USA. W 2019 r. orzekł on, stosunkiem głosów 5:4, że sądy federalne nie mogą rozpatrywać skarg dotyczących „gerrymanderingu". To zachęciło polityków do bardziej agresywnych ruchów – takich jak te z ostatnich tygodni.

Choć „gerrymandering" jest stary niemal tak jak Stany Zjednoczone, wyjątkowo metodycznie podeszli do tego po-

nad 15 lat temu Republikanie. Liżąc rany po klęsce z 2008 r. – gdy Barack Obama został prezydentem, a jego Partia Demokratyczna wzmocniła swoją pozycję w Kongresie – prawica postanowiła coś z tym zrobić.

Nawet się z tym nie kryła. Znany republikański konsultant polityczny Karl Rove wyłuszczył swój plan w marcu 2010 r. na łamach dziennika „Wall Street Journal". Przekonywał, że kluczem do odbicia Kongresu jest najpierw uzyskanie przez Republikanów większości w legislaturach stanowych. Wszystko po to, aby mieć decydujące słowo przy rozrysowaniu nowych map okręgów wyborczych na podstawie nowego spisu (ten został zrealizowany w 2010 r., przed wyborami stanowymi).

NOSIŁ WILK RAZY KILKA? | Ten plan Republikanów zakończył się sukcesem. Odbili Demokratom dwadzieścia izb w parlamentach stanowych, po czym wzięli się za kreślenie map z użyciem technologicznych narzędzi umożliwiających manipulację z chirurgiczną precyzją.

To też przyniosło efekty. W 2012 r. Republikanie, dzięki faworyzującym ich partię okręgom, utrzymali pewną przewagę w Izbie Reprezentantów w Waszyngtonie – choć republikańscy kandydaci uzyskali w skali całego kraju mniej głosów niż ich rywale z Partii Demokratycznej.

Dziewięć lat później, po publikacji kolejnego spisu, znów rzucili się do kreślenia nowych map. Dziś Donald Trump chce również wykorzystać system – tyle że grubo przed czasem.

Jest tu również druga różnica. To on jest teraz u władzy i to jemu, a nie prezydentowi z Partii Demokratycznej, Amerykanie patrzą na ręce. Koniec końców majstrowanie przy mapach może nie ochronić więc Trumpa i Republikanów przed frustracją wyborców. ©

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „TP".



HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Nicolas Sarkozy, były prezydent Francji, i jego żona Carla Bruni przybywają do sądu, by wysłuchać werdyktu w tzw. aferze libijskiej. Paryż, 25 września 2025 r.

Prezydent w kryminale

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Ta perspektywa elektryzuje kraj: Nicolas Sarkozy ma iść do więzienia. Sąd uznał, że libijski dyktator Kaddafi dawał pieniądze na jego kampanię w 2007 r., a ówczesny kandydat na prezydenta to akceptował.

Słowa, które padły w kuluarach paryskiego sądu, przejdą zapewne do historii. „Jeśli oni (tj. sędziowie) naprawdę chcą, żebym spał w więzieniu, to będę tam spał, ale z podniesioną głową. Jestem niewinny. Ta niesprawiedliwość jest czymś skandalicznym" – mówił Nicolas Sarkozy w obecności dziesiątków kamer i mikrofonów zaraz po tym, jak usłyszał werdykt skazujący go na bezwzględne więzienie.

Nie obyło się bez teatralnego gestu: towarzysząca ekspremierowi jego żona, piosenkarka Carla Bruni, podeszła do jednego z dziennikarzy, zerwała osłonkę mikrofonu i rzuciła go na ziemię. Obiektem tego ataku złości stał się, chyba nieprzypadkowo, sprzęt należący do Mediapartu – portalu śledczego, który przed laty ujawnił tzw. aferę libijską.

PRECEDENS | Od chwili, gdy opuścił Pałac Elizejski, Sarkozy – prezydent z lat 2007-12 – często bywa w sądzie. Ciągną się za nim liczne oskarżenia. W grudniu 2024 r. został skazany na 3 lata więzienia (w tym dwa w zawieszeniu) za korupcję i płatną protekcję w tzw. aferze podsłuchowej. Wtedy sąd zgodził się zamienić odsiadkę na elektroniczną bransoletkę. W następstwie tego wyroku spotkało go dodatkowe upokorzenie: odebrano mu order Legii Honorowej.

Tym razem Sarkozy nie uniknie więzienia. Za „udział w grupie przestępczej" sąd skazał go na 5 lat bezwzględnej odsiadki, a do wyroku dołączył klauzulę o jego „tymczasowym wykonaniu". Oznacza to, że musi iść do więzienia, choć złożył wniosek o apelację. Klauzulę tę, dodajmy, stosuje się dziś powszechnie wobec osób skazanych na 5 lub więcej lat więzienia. Dotyka wszystkich, nie tylko polityków.

Datę osadzenia byłego szefa państwa poznamy 13 października. Według radia RTL zarezerwowano już dla niego pojedynczą celę w paryskim więzieniu La Santé. Jest jednak mało prawdopodobne, by siedział tam aż do procesu apelacyjnego. Prawnicy pytani przez dziennik „Le Monde" twierdzą, że może wyjść nawet po kilku dniach. Już jako więzień będzie mieć bowiem prawo do wniesienia o warunkowe zwolnienie do czasu nowego procesu i wiele wskazuje, że taką zgodę otrzyma.

Sarkozy jest pierwszym prezydentem powojennej Francji skazanym na „twarde" więzienie. Wcześniej tylko Jacques Chirac usłyszał w 2011 r. prawomocny wyrok dwóch lat w aferze korupcyjnej, ale była to kara w zawieszeniu.

AFERA | Sama tzw. afera libijska, w której sądzono Sarkozy'ego i jego współpracowników, jest skomplikowana. Dochodzenie i proces trwały aż 13 lat (uzasadnienie wyroku liczy 400 stron), a nadal są w tej sprawie zagadki.

Sarkozy'emu i jego współpracownikom postawiono cztery główne zarzuty. Ostatecznie sąd uznał go winnym tylko w jednej sprawie: „udziału w grupie przestępczej", której celem miało być, począwszy od 2005 r., pozyskanie od ówczesnego libijskiego przywódcy Muammara Kaddafiego pieniędzy na kampanię w wyborach prezydenckich dwa lata później.

Prócz Sarkozy'ego do tej grupy mieli należeć jego najbliżsi współpracownicy: Claude Guéant (szara eminencja w otoczeniu Sarkozy'ego) i Brice Hortefeux (późniejszy szef MSW). Zarzuca się im potajemne spotkania w Libii z dygnitarzami Kaddafiego, w tym z Abdallahem Senoussim, uznanym za zleceniodawcę zamachu terrorystycznego w 1989 r. na samolot linii lotniczej UTA Brazzaville-Paryż (zginęło 170 osób). Guéant i Hortefeux zostali skazani na więzienie, odpowiednio na 6 lat i 2 lata.

NOTATNIK | Sąd wykazał bezsprzecznie przepływ pieniędzy między otoczeniem Kaddafiego a ludźmi Sarkozy'ego. Nie do-

wiódł natomiast w sposób udokumentowany, że te pieniądze rzeczywiście zasiliły konto kampanii Sarkozy'ego. Zabrakło tu niezbitego dowodu, tego, co Anglicy nazywają *smoking gun* (dymiący rewolwer) – mówi „Tygodnikowi" Vincent Hugeux, autor biografii Kaddafiego (wydawnictwo Perrin, 2017 r.) i wieloletni reporter tygodnika „L'Express" w krajach afrykańskich.

Hugeux dodaje, że nie ma w tym nic dziwnego: – Ci, którzy dopuszczają się nielegalnego finansowania, nie chcą zostawiać śladów: nie ma kwitów, potwierdzeń przelewów, płaci się gotówką i przez pośredników.

W aferze libijskiej przewijają się więc walizki z pieniędzmi, tajne spotkania i korespondencja o niepewnej autentyczności. Oraz nagłe zgony.

Jednym z kluczowych dowodów w sprawie przeciw Sarkozy'emu był notatnik Shukriego Ghanima, w latach 2003-06 libijskiego premiera, potem premiera ds. ropy i jednej z kluczowych postaci w otoczeniu dyktatora. W 2007 r. Ghanim zapisywał w nim daty spotkań i kwoty – łącznie co najmniej kilka milionów euro – przesyłane Sarkozy'emu przez ludzi Kaddafiego.

Gdy w 2011 r. wybuchło powstanie przeciw reżimowi, Ghanim uciekł z Libii. W 2012 r. jego zwłoki wyłowiono w Wiedniu z Dunaju. Według austriackiej policji doszło do wypadku: Libijczyk dostał ataku serca, wpadł do wody i się utopił. Ale okoliczności nie są do końca jasne.

ZNAJOMOŚĆ | Przed sądem Sarkozy bronił się, że nic nie wiedział o kontaktach swoich ludzi z otoczeniem Kaddafiego, które rozpoczęły się już w 2005 r. w Trypolisie – dwa lata przed kampanią prezydencką, w której wziął udział. Sąd nie dał wiary tym wyjaśnieniom.

– Jeśli znamy nieco sposób działania Sarkozy'ego i jego bliskie więzi z Guéantem i Hortefeuxem, to nie sposób sobie wyobrazić, że nie wiedział on o ich rozmowach w Trypolisie. Nawet jeśli śledztwo nie potwierdziło, że był bezpośrednim zleceniodawcą tych spotkań swoich przyjaciół z dygnitarzami Kaddafiego ani beneficjentem libijskich pieniędzy – uważa Vincent Hugeux.

Należy jednak zapytać: dlaczego otoczenie Sarkozy'ego szukało u libijskiego dyktatora pieniędzy na jego kampanię w 2007 r.? Czy nie mogło ich znaleźć w prostszy sposób we Francji?

– Ten argument podawał Sarkozy w trakcie procesu, ale nie jest on przekonujący – mówi Hugeux „Tygodnikowi". – W 2005 r., gdy zaczął on myśleć o prezydenturze, nie mógł jeszcze liczyć na mandat własnej partii w walce o najwyższy urząd, bo miał w niej silnych konkurentów i nie posiadał też żadnych rezerw finansowych na kampanię. Musiał sam się postarać o te środki.

To właśnie w 2005 r. Sarkozy, wówczas szef MSW za rządów prezydenta Jacquesa Chiraca, nawiązał osobiste kontakty z libijskim przywódcą.

POWODY | Z drugiej strony, dodaje Hugeux, Kaddafi potrzebował wtedy wsparcia Francji: – Bardzo długo Kaddafi był pariasem na scenie międzynarodowej, bo wspierał rozliczne ruchy terrorystyczne na całym świecie. Ale na początku XXI w. dokonał wolty: ogłosił, że kończy z popieraniem terroryzmu i z programem rozwoju broni masowego zniszczenia. Miał dla Zachodu silny argument ekonomiczny: wszyscy wiedzieli, że siedział na górze petrodolarów.

Hugeux uważa, że Kaddafim kierowały dwa główne powody, by finansować kampanię Sarkozy'ego: – Po pierwsze, poparcie Francji miało mu pomóc w normalizowaniu stosunków z Zachodem. Po drugie, miał ambicje, by zostać prorokiem panafrykanizmu i chciał, żeby Paryż, zachowujący wciąż duże wpływy w Afryce frankofońskiej, nie hamował w tej sferze jego działań.

„Przyjaźń" obu przywódców zakończyła interwencja koalicji międzynarodowej w 2011 r., która wsparła antyreżimowych powstańców; jesienią tego roku reżim upadł, a Kaddafi zginął.

– Niektórzy uważają, że Sarkozy, stając wtedy wspólnie z Brytyjczykami na czele krucjaty przeciw Kaddafiemu, chciał zatrzeć ślady swojej wcześniejszej zażyłości z dyktatorem. Ale interwencja w Libii miała też wymazać wrażenie po katastrofalnym przyjęciu przez Paryż wcześniejszych rewolt arabskiej wiosny – uważa Hugeux.

ODSIECZ | Wyrok w sprawie libijskiej wywołuje nad Sekwaną lawinę komentarzy. Jedni chwalą bezpardonowe podejście sędziów do polityków. Inni, zwłaszcza na prawicy i skrajnej prawicy, uznają ten werdykt za polityczną zemstę na Sarkozym. Były szef państwa, skądinąd prawnik i adwokat z wykształcenia, miał wielokrotnie na pieńku ze środowiskiem prawniczym.

Na odsiecz byłemu prezydentowi pospieszyła liderka nacjonalistycznej prawicy Marine Le Pen, wcześniej z nim zwaśniona. Porównała „niektórych sędziów" (jak to ujęła) do myśliwych polujących na polityków. Według niej „skazanie prezydenta Republiki na pobyt w więzieniu, zanim jeszcze zapadł definitywny wyrok, jest skrajnie groźne z perspektywy państwa prawa".

Obrona Sarkozy'ego w wykonaniu szefowej Zjednoczenia Narodowego nie wygląda na bezinteresowną. Łączy ich wspólny przeciwnik – jest nim właśnie wymiar sprawiedliwości. Niedawno paryski sąd skazał w pierwszej instancji Marine Le Pen za defraudację środków publicznych na 5-letni zakaz startu w wyborach. To może pogrzebać jej szansę na prezydenturę w 2027 r. i Le Pen z obawą czeka na proces apelacyjny w przyszłym roku.

Surowy werdykt w sprawie Sarkozy'ego pokazuje, że francuskie sądy nie patyczkują się z politykami. Można go traktować jako prognostyk, jaki będzie finalny werdykt w sprawie Le Pen.

GROŹBY | Wyrok więzienia dla byłego prezydenta ma wymiar symbolu, nawet jeśli – jak można przypuszczać – spędzi on za kratami tylko kilka czy kilkanaście dni. Proces ten ma również kontekst polityczny: stał się kolejną okazją do ataków polityków różnych opcji – bo nie tylko Le Pen – na instytucje sądowe. Pojawia się pytanie o stan francuskiej demokracji, której filarem są przecież wolne sądy.

Po wyroku w aferze libijskiej przewodnicząca składu sędziowskiego otrzymała groźby śmierci. W reakcji na to prezydent Macron zmuszony był potępić wszelkie ataki na sędziów jako „niedopuszczalne". Według badania ośrodka Cevipof z lutego tego roku, tylko 44 proc. Francuzów ufa wymiarowi sprawiedliwości – w ciągu ostatnich lat to zaufanie znacznie spadło.

Niechęcią wobec sądów i państwa prawa karmią się populiści w wielu krajach, od Waszyngtonu po Warszawę. Paryż, z obozem Marine Le Pen dążącym do władzy, nie zostaje tutaj w tyle. ©



LILYANA VINOGRADOVA / ALAMY / BE&W

Przy ulicy Simonkatu w centrum Helsinek, w tle dworzec kolejowy

Fiński cud

PATRYCJA BUKALSKA

KOMUNIKACJA | Helsinki to najbezpieczniejsze miasto w Europie, jeśli chodzi o wypadki drogowe. Przez 12 miesięcy nie zginął tu żaden pieszy, rowerzysta czy kierowca.

Do tego ambitnego celu dążą wszystkie europejskie miasta, przynajmniej deklaratywnie. Wyznaczona przez Komisję Europejską „Wizja Zero" (*Vision Zero*) zakłada zmniejszenie o połowę liczby ofiar śmiertelnych wypadków drogowych do 2030 r., a do roku 2050 całkowitą ich eliminację.

Jednej stolicy właśnie się to udało: w Helsinkach w okresie 12 miesięcy – od lipca 2024 r. do lipca 2025 r. – nie było żadnych ofiar śmiertelnych wypadków drogowych. Potem ta chlubna statystyka została zaburzona: w sierpniu zderzyło się dwóch rowerzystów i jeden z nich zmarł, z kolei w wypadku samochodowym zginęło dwóch młodych ludzi. Co pokazuje, jak trudno osiągnąć i utrzymać tę „wizję zero".

Warto jednak przyjrzeć się fińskim doświadczeniom.

BEZPIECZNIEJ | O ten „cud w Helsinkach", rok bez ofiar śmiertelnych na drogach, pytam Roni Utriainena, inżyniera ruchu z Wydziału Środowiska Miejskiego urzędu miasta w Helsinkach.

– Udało się to dzięki wielu czynnikom i długofalowej pracy prowadzonej przez dziesięciolecia – podkreśla Utriainen. – Bezpieczne środowisko ruchu drogowego odgrywa kluczową rolę, ale ważne są również bezpieczniejsze pojazdy, bezpieczniejsze zachowania, przepisy prawne oraz egzekwowanie przepisów ruchu drogowego.

W Helsinkach na ponad połowie ulic obowiązuje już ograniczenie prędkości do 30 km/h, w tym wokół wszystkich szkół. Zaprojektowano też lepszą infrastrukturę dla pieszych i rowerzystów, zwężono ulice i zaostrzono zakręty – tak, by kierowcy musieli zwolnić i jechali bardziej uważnie. Pomogło też wprowadzenie licznych automatycznych fotoradarów.

PROCES | To wszystko nie stało się z dnia na dzień – znaczące ograniczenia prędkości wprowadzono w mieście już w 2019 r. Warto zaznaczyć, że nie wzbudziły jakiejś donośniejszej publicznej debaty. Po prostu uznano, że skoro ma to zwiększyć bezpieczeństwo na drodze, trzeba tak zrobić. Akceptacja mogła wynikać także stąd, że prędkość ograniczano stopniowo od dłuższego czasu – począwszy od lat 70. XX w., gdy w fińskich miastach obowiązywał jeszcze limit 50 km/h (czyli tak, jak w Polsce).

Roni Utriainen podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem", jak istotna dla helsińskiego sukcesu jest rola użytkowników dróg – stosowanie się do przepisów i szacunek wobec innych uczestników ruchu.

To też był dłuższy proces. Jeszcze w 2013 r. serwis informacyjny Yle alarmował o rowerzystach, którzy w Helsinkach „zamieniają codzienny dojazd do pracy w wyścig sportowy, w którym najważniejsza jest prędkość". Ubolewano też, że piesi nieuważnie wchodzą na ścieżki rowerowe, a kierowcy aut nie są skłonni do ustępstw.

MODEL | Helsinki zamieszkuje niespełna 700 tys. ludzi – trudno porównywać je np. z dziewięciomilionowym Londynem, gdzie także na ponad połowie ulic jest limit prędkości (20 mil/h, tj. 32 km/h), a jednak w 2024 r. zginęło tam ponad sto osób.

Fińska stolica może być więc dobrym modelem dla średniej wielkości europejskiego miasta. Także pod względem dynamiki ruchu drogowego: jeśli wziąć pod uwagę przedmieścia i okoliczne miasta, jak Vantaa i Espoo, których mieszkańcy dojeżdżają do pracy w stolicy, ludność całej tej aglomeracji sięga 1,3 mln.

Ludzie ci korzystają z własnych aut, ale też z metra, pociągów, autobusów i tramwajów. Bez względu na aurę popularne są rowery: w mieście jest 1200 km ścieżek rowerowych (zimą są odśnieżane tak jak drogi) i 460 stacji rowerów miejskich.

Wielość opcji transportu publicznego i dogodne połączenia to kolejny czynnik, na który wskazuje Utriainen: – System transportu publicznego w Helsinkach jest dobry, co zmniejsza potrzebę podróżowania autem, a to z kolei przyczynia się do spadku liczby wypadków.

Jeden środek transportu pozostaje za to problematyczny – elektryczne hulajnogi. Mimo niedawnego zaostrzenia przepisów (np. nie mogą korzystać z nich osoby poniżej 15. roku życia) liczba wypadków na hulajnogach nie maleje. W tym roku było ich już 200, w tym tylko w lipcu ponad 70 (trzy razy więcej niż w lipcu 2024 r.). Powodem często był alkohol.

SZEŚCIUSET | W całej Unii w 2024 r. na drogach zginęło niemal 20 tys. ludzi; to o 3 proc. mniej niż w 2023 r.

To unijna średnia, natomiast gdyby przyjrzeć się poszczególnym krajom, obraz staje się zróżnicowany. Np. rumuńskie drogi nadal są najmniej bezpieczne, ale udało się tam w ostatnich latach zmniejszyć liczbę śmiertelnych wypadków o ponad jedną piątą. Wzrosła ona za to w Estonii, zaś we Francji i Włoszech niewiele się zmieniła. Najbezpieczniej jest w krajach nordyckich: Norwegii, Szwecji i Danii (Finlandia, patrząc w skali całego kraju, a nie tylko stolicy, jest tu na dalszym miejscu).

To wszystko statystyki. Można jednak powiedzieć i tak: te 3 proc., o które zmniejszyła się w Unii liczba zgonów na drodze, to około sześciuset ludzi, którzy nie stracili życia. ©℗

OLGA

Drenda:
Lepiej umieć niż nie umieć



„Specjalizacja jest dla insektów”, głosił legendarny pisarz SF Robert A. Heinlein, czyniąc to ustami swego bohatera Lazarusa Longa. Long wymienia przy okazji listę umiejętności, które powinna posiadać samodzielna istota ludzka, od zmiany pieluszki po sterowanie statkiem, z gotowością na zmianę kursu i konfrontację z dysonansem poznawczym na czele („dawać rozkazy, przyjmować rozkazy, działać w grupie, działać samemu”).

Heinlein, libertarianin i wyznawca indywidualnej niezależności, wierzył w samodzielność myśli i czynu i propagował model współczesnego człowieka renesansu, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się nam przydać jakaś umiejętność czy wiedza. Jest to postawa bliska i mnie. Cenię ludzi posiadających wiedzę czasem dyskredytowaną jako nadającą się jedynie do krzyżówek czy pub quizu (jakby to było mało!). Podobnie myślę o rozproszonych umiejętnościach, w których nie trzeba być fachowcem i które nie przydają się na co dzień. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie nam usunąć plamę z jagód lub usterkę z komputera, odchować kociątko, znaleźć drogę na odludziu bez zasięgu, odzyskać klucz do domu zamknięty w wypożyczonym samochodzie, do którego kluczyki z kolei wrzuciliśmy do skrzynki pocztowej (przygoda prawdziwa). Albo w ogóle nie muszą się kiedykolwiek przydać, bo korzystamy już na samym ich posiadaniu, choćby korzyścią miała być własna satysfakcja. Nie ma czegoś takiego jak zbędna wiedza lub umiejętności. Lepiej umieć niż nie umieć, lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć.



Nigdy nie wiadomo, czy nie przyjdzie nam odchowywać kociątka

OLGA DRENDA

Takimi ludźmi renesansu przez jakiś czas okoliczności czyniły przeciętnych Nowaków i Kowalskich. Była to w pewnym stopniu zasługa lekcji ZPT, popularności praktycznych hobby i misji Adama Słodowego, ale przede wszystkim efekt powszechnej niezamożności społeczeństwa; jeśli można w ogóle mówić o jakichkolwiek „zaletach” takiego stanu rzeczy, to niech będzie to uznanie zaradności i samodzielności za sprawę oczywistą.

Pamiętam zaskoczenie moich licznych znajomych, którzy po 2004 r. wyjeżdżali do pracy za granicę. Miejscowi niemieli z podziwu: każdy jeden to u was McGyver! Ci sami ludzie błyszczeli także w teleturniejach i hurtowo rozwiązywali łamigłówki. Potem, gdy sami się nieco odkuliśmy finansowo, postanowiliśmy iść w ślady sąsiadów unijnych i podzlecać usługi. Ale nie tylko: na miejscu zaczęliśmy się profilować pod kątem rynku.

Jak by tu się stać najbardziej zoptymalizowanym i użytecznym? Jak zrobić z człowieka doskonały zasób ludzki? Najpierw mówiono: w przyszłości nie będzie pracy rąk, tylko studia! Zastąpi cię maszyna! Ale od pewnego czasu kierunek się odwraca i mówi się: studia są zbędne, po co murarzowi taka wiedza? Tu powinna pojawić się sensowna, Heinleinowska podejrzliwość. Bo dlaczego mielibyśmy umieć jedną rzecz, jeśli można umieć dziesięć? Nasze mózgi są pojemne. Słysząc: „a po co ci to?”, warto nastawić radar podejrzliwości na poziom maksymalny.

Oczywiście, kwestionowanie informacji to narzędzie, którym też można sobie zaszkodzić. Skutkiem przeholowania z nonkonformizmem bywa odpłynięcie w krainę teorii spiskowych (osobiście uważam, że zazwyczaj oferują one narkotyczne złudzenie, iż da się uzyskać odpowiedź na wszystkie pytania albo nie musieć już zadawać żadnych pytań). Ale odrobina podejrzliwości to przecież samo zdrowie. A w tym przypadku dotyczy interesu tego, kto nam odradza zdobywanie wiedzy i umiejętności. Czy aby na pewno jest to życzliwa, praktyczna rada? A może raczej posługiwanie się perfidną, sabotażową odmianą „języka korzyści”, w której chodzi o sprofilowanie mniej samodzielnego konsumenta? Może człowiek, który lubi i filozofować, i kłaść gładzie, jest konsumentem mniej potulnym i wiernym?

Dlatego nigdy nie rozumiałam złośliwych podśmiechujek z tego, że absolwenci, dajmy na to, teatrologii robią frytki, tak jakby były na świecie zajęcia lepsze i gorsze. Przecież taki człowiek jest zwycięzcą, zwłaszcza w czasach, gdy rzadko kiedy los nasz wykuwa się na dobre w kamieniu z chwilą uzyskania pełnoletności. Może pracować i na uczelni, i w teatrze, i w knajpie. W razie potrzeby ma do wyboru więcej opcji, a do tego książeczkę sanepidowską. Idzie ścieżką Jacka Londona, który do dziś imponuje jako zarazem pisarz, poszukiwacz złota, marynarz, awanturnik oraz obrońca słabszych. Ktoś taki zwyczajnie więcej wie, więcej umie i więcej może. A czym właściwie może się pochwalić złośliwiec, oprócz taniego sarkazmu? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

WIARA

OD TRUMPA DO BOGA

MASSIMO FAGGIOLI, TEOLOG:

Gdy biskupi mówią to, co chcą usłyszeć politycy i ich wyborcy, mamy do czynienia z religijnym populizmem.

EDWARD AUGUSTYN: Dlaczego uznany profesor amerykańskiej uczelni postanawia, po 17 latach życia w USA, sprzedać dom i wrócić z rodziną do Europy? Ucieczka przed Trumpem?

MASSIMO FAGGIOLI, TEOLOG: Już od kilku lat, od czasu pandemii, rozmawialiśmy z żoną o zapewnieniu naszym dzieciom europejskiej edukacji. Decyzję przyspieszyła sytuacja w USA po ostatnich wyborach. Zwłaszcza wszystkie te środki podjęte przez Trumpa, ograniczające wolność słowa, także na amerykańskich uniwersytetach.

Więc gdy Trinity College w Dublinie zaproponowała mi objęcie katedry eklezjologii, skorzystałem z okazji. Dwa miesiące temu przeprowadziliśmy się do Irlandii.

Jest Pan autorem książki „Od Boga do Trumpa" i wielu artykułów krytycznie oceniających sytuację w Ameryce. Miał Pan z tego powodu jakieś problemy?

Poza groźbą procesu sądowego ze strony jednego konserwatywnego biskupa, bardzo popularnego w prawicowych mediach – nie. Jednak władze mojej poprzedniej uczelni, Uniwersytetu Villanova w Pensylwanii, zasugerowały mi, bym zachował szczególną ostrożność podczas podróży za granicę z wykładami albo nie wyjeżdżał wcale, bo przy powrocie mogę zostać zatrzymany i nie wpuszczony do USA. Takie sytuacje się zdarzały. Wielu moich kolegów zdecydowało się na tego typu środki ostrożności.

Opuścił Pan Amerykę, ale nadal z uwagą śledzi tamtejsze wydarzenia. Ostatnio choćby pogrzeb Charliego Kirka. Co on nam mówi o dzisiejszej Ameryce i amerykańskiej religijności?

Myślę, że te półtorej godziny, bo mniej więcej tyle trwała uroczystość, wystarczyłoby za cały kurs studiów na temat relacji między konserwatyzmem politycznym a religijnym w Stanach Zjednoczonych. Zobaczyliśmy na przykład, jak nowy konserwatyzm, reprezentowany przez nowe, młode pokolenie, staje się integralną częścią trumpizmu, ruchu nacjonalistycznego i rasistowskiego.

To konserwatyzm religijny?

Ma w sobie spory religijny komponent, którego największą, najbardziej widoczną i ustrukturyzowaną częścią jest chrześcijaństwo. To najbardziej niepokoi. Bo chrześcijaństwo, które zawsze było „religią obywatelską", staje się polityczną, czyli wykluczającą. Nowe chrześcijaństwo, promowane przez nowych konserwatystów, ma być białe i narodowe. I ma „uczynić Amerykę znów wielką".

Śmierć Kirka stała się dla polityków okazją do realizacji własnych celów. Ale wykorzystują ją także amerykańscy duchowni, w tym katoliccy biskupi.



Tak. Kirk urósł do rangi nie tylko męczennika politycznego, ale też męczennika za wiarę. Tak mówili o nim niektórzy biskupi.

Kard. Timothy Dolan z Nowego Jorku porównał go do św. Pawła, apostoła, który niósł Ewangelię poganom i który wprowadził chrześcijaństwo na nową drogę.

Przy czym zupełnie nie zauważano rasistowskich czy antysemickich wypowiedzi tego młodego człowieka, wyraźnie sprzecznych z Magisterium Kościoła. Gdy mówi się to, co chcą usłyszeć ludzie, w tym przypadku wyborcy Trumpa, do których



PATRICK T. FALLON / AFP / EAST NEWS

Pogrzeb Charliego Kirka na stadionie State Farm w Glendale, Arizona, 21 września 2025 r.

Kirk adresował swoje wypowiedzi, a nie to, co mówi doktryna Kościoła, mamy do czynienia z religijnym populizmem.

Jeden z biskupów zapewniał, że Kirk zamierzał dokonać konwersji na katolicyzm. Czy można powiedzieć, że nowi amerykańscy konserwatyści skłaniają się ku temu wyznaniu?

Katolicyzm w Stanach Zjednoczonych bardziej niż inne wyznania oparł się nowym prądom. Jest w nim stałość, której nie znajdziemy w innych Kościołach: tradycja niezmiennego nauczania, katechizm, papież, Ojcowie Kościoła, św. Tomasz, św. Augustyn. Jest się na czym oprzeć.

Ale moda na katolicyzm nie pojawiła się nagle i z niczego. Od dawna widać było narastające nim zainteresowanie. W latach 80. istniał intelektualny ruch konwertytów z protestantyzmu na katolicyzm. Tworzyli go bibliści, prawnicy, filozofowie, działacze partyjni, ale też popularni dziennikarze, których programy telewizyjne gromadziły sporą publiczność. Wiceprezydent J.D. Vance, który został katolikiem w 2019 r., jest ostatnim, najdoskonalszym produktem tego trendu.

Konserwatywni konwertyci byli faworyzowani w Kościele za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI – papieży o największym wpływie na amerykański katolicyzm.

A później stali się twardą opozycją wobec Franciszka.

W Stanach Zjednoczonych Franciszek często uważany był za papieża, który jest antyamerykański, lewicowy, wręcz komunistyczny, i który zasadniczo nie jest katolikiem. Istotne jest jednak, że zarówno za Jana Pawła II, jak i za Benedykta XVI, nie mówiąc już o Franciszku, dystans pomiędzy katolicyzmem a nacjonalizmem był bardzo wyraźny. A dziś zanika.

Spora część amerykańskich katolików, w tym niektórzy biskupi i kardynałowie, jest zauroczonych trumpizmem. Nie jest dla mnie jasne, czy nie zdają sobie sprawy z ryzyka, jakie on niesie, czy po prostu dokonali kalkulacji, że to im się opłaca. Na pewno jest w amerykańskim Kościele katolickim skrzydło, które całkowicie zbratało się z trumpizmem, jest skrzydło, ↦

↦ które się mu sprzeciwia, i jest pomiędzy nimi rozległa szara strefa – biskupów, duchownych, zakonników i świeckich – którzy nie wiedzą, co robić i co mówić. Także dlatego, że boją się władzy, która pokazała, że będzie karać swoich wrogów z całą siłą, jaką dysponuje państwo.

Wydaje się, że ten populistyczny konserwatyzm, nasączony treściami religijnymi, jest też importowany do Europy.

W Europie już to przerabialiśmy, w latach 20. i 30. XX wieku we Włoszech, Niemczech, potem w Hiszpanii, w czasach faszyzmu i autorytaryzmu. To raczej w Stanach te prądy są teraz reprodukowane, nie mówię, że w identyczny sposób, ale w podobny.

Różnica pomiędzy Ameryką i Europą polega na tym, że społeczeństwa, a także Kościoły europejskie, w czasach faszyzmu czy później komunizmu przekonały się na własnej skórze, ile kosztuje sprzedanie się władzy politycznej. Kościoły amerykańskie tego doświadczenia nie mają. Dlatego nie zdają sobie sprawy, że można potępić zabójstwo Charliego Kirka bez sprzedawania się trumpizmowi.

Ale jednak widzimy, że amerykański konserwatywny katolicyzm staje się nowym wzorcem także w Europie.

Dla niektórych z pewnością. Latem tego roku biskup Robert Barron [amerykański biskup konserwatywny, bardzo popularny w prawicowych mediach – przyp. red.] otrzymał nagrodę fundacji im. Josefa Piepera w Münster. To z pewnością wyraz uznania dla modelu i nowego języka mówienia o Kościele, o chrześcijaństwie. Ale myślę, że to wciąż dość marginalne, i że europejski katolicyzm jeszcze nie jest taki jak amerykański.

Ja z kolei słyszę coraz więcej głosów aprobaty dla tego modelu.

Myślę, że są to głosy w desperacji. Europejscy biskupi i kardynałowie widzą, że w ciągu ostatnich 30-40 lat ich lokalne Kościoły niemal całkowicie zniknęły. Dla nich każde rozwiązanie, które może zaradzić temu problemowi, jest warte wypróbowania. Ale nie wiem, na ile są świadomi, co to oznacza w dłuższej perspektywie.

Mamy w Europie wojnę w Ukrainie, mamy od dekady kryzys imigracyjny, na nieznaną wcześniej skalę, mamy powrót antysemityzmu. Jak to wszystko wpływa na współczesny katolicyzm i teologię?

Na pewno to, co widzieliśmy w ostatnich latach, zmienia sposób myślenia, mówienia i pisania w Europie i w Kościele. Wojna w Ukrainie, a także wojna w Strefie Gazy ujawniły, że są w Kościele różne rodzaje „teologii pokoju", czego nie było od czasu II wojny światowej. Jest klasyczny pacyfizm, z hasłem „nigdy więcej wojny", który żyje nadzieją, że prowadzący wojnę sami się opamiętają. Jest teologia, która mówi może już nie o wojnie sprawiedliwej, ale o sprawiedliwej obronie. I jest teologia, która próbuje zredefiniować fundamenty dialogu żydowsko-chrześcijańskiego położone przez Sobór Watykański II. Wpływ na to ma oczywiście krytyka rządu Izraela, co widzimy choćby w Kościele w Irlandii. Na pewno Kościół europejski jest dziś znacznie bardziej zróżnicowany niż pół wieku temu.

Odchodzimy od Soboru Watykańskiego II?

Czas idzie naprzód, zwiększa się dystans chronologiczny, ale nie tylko. Wydawało się, że zdobycze Soboru pozostaną w Kościele na zawsze, a dziś widzimy, że tak nie jest. Dlatego pilne staje się na przykład ponowne, stanowcze odrzucenie antysemityzmu. Ono było jednym z najważniejszych osiągnięć Soboru Watykańskiego II. Tyle że w tamtym czasie nie było takiego problemu z państwem izraelskim, jaki mamy dzisiaj.

Albo inne, kluczowe pytanie: jak czytać i interpretować Biblię? Na Soborze Watykańskim II zaakceptowano nowoczesną metodę historyczno-krytyczną. Ale wystarczy dziś pojechać do Ameryki, by zobaczyć, że to wcale nie jest takie oczywiste, a nawet że nie jest to „metoda katolicka".

A jak kryzys migracyjny wpływa na Kościół?

Mogłoby się wydawać, że katolicka nauka społeczna jest w tej kwestii znana i od dawna niezmienna. Problem polega na tym, że gdy Pius XII mówił, w konstytucji „Exsul familia", o migracjach po II wojnie światowej, miał na myśli przede wszystkim tych, którzy uciekali przed komunizmem. Był to w znacznym stopniu problem wewnętrzny świata europejskiego i zachodniego. A potem wszystko zaczęło się komplikować. Dziś problem nie polega na tym, że w jednej

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

TRÓJMIASTO, środa, 8 października godz. 18.00, spotkanie z dyrektorem ECS Basilem Kerskim i historyczką prof. dr hab. Beatą Możejko, „Gdańskie cnoty obywatelskie – zgoda i sława". Prowadzenie: Weronika Uziak, Oliwski Ratusz Kultury (ul. Opata Rybińskiego 25). Projekt współfinansowany przez Miasto Gdańsk

XIV ZJAZD KLUBÓW, weekend 10 i 11 października, wydarzenie zamknięte w ramach zjazdu, „Po co pamięć? O sensie historii we współczesnym świecie". Muzeum II Wojny Światowej (plac Władysława Bartoszewskiego 1, Gdańsk)

WARSZAWA, czwartek, 17 października godz 17.30, spotkanie autorskie z Urszulą Zajączkowską wokół książki „Patyki, badyle". Prowadzenie Anna Łapińska. Cykl „Między stronami. Czytelnia Klubu TP Warszawa", Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (ul. Anielewicza 3/5)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

części świata jest reżim czy wojna, przed którymi trzeba uciekać. Mamy do czynienia ze zjawiskiem ogólnoświatowym, które ma różne przyczyny.

Zresztą, patrząc globalnie, Kościół tworzą miliony katolików, dla których jedynym ratunkiem przed wojnami, gangami lub zmianami klimatycznymi jest ucieczka do innego kraju. W Stanach Zjednoczonych katolicy to w dużej części właśnie imigranci, dlatego nawet biskupi, którzy popierają Trumpa, podjęli decyzję, że będą ich bronić i wspierać, przynajmniej do pewnego momentu.

Z drugiej jednak strony Kościół od czasu rewolucji francuskiej bardzo boi się rewolucji społecznych, do których nieunormowana migracja może doprowadzić.

Czy katolicyzm nie staje się po prostu coraz bardziej prawicowy? Traktując naukę społeczną jako nieprzystającą do życia teorię i zachowując ją już tylko dla niepoznaki?

Na pewno zobaczył, że nie działa przywiązywanie wagi tylko do doktryny społecznej, przy jednoczesnym zaniedbywaniu nauczania młodych ludzi Ewangelii. Przekonanie, że społeczne zaangażowanie Kościoła uratuje katolicyzm, okazało się iluzją.

Z drugiej jednak strony ludzie o wrażliwości lewicowej całkowicie odcinają się od języka religijnego czy wręcz postanowili zrobić z katolicyzmu kozła ofiarnego, obciążając go winą za wszystko, co złe: seksizm, rasizm itd. Trudno w takiej sytuacji się dziwić, że biskupi wybierają prawicę.

Widać to choćby we Włoszech. Śmieszy mnie, gdy widzę, jak lewica oskarża Giorgię Meloni, że wykorzystuje religię do celów politycznych, co jest prawdą, tyle że ci, którzy ją za to krytykują, nie mają absolutnie żadnego pojęcia, co oznacza Kościół, religia, chrześcijaństwo. Nie mają na ten temat podstawowej wiedzy.

Widać to także w Ameryce. Wystarczy przypomnieć zeszłoroczną kampanię wyborczą Kamali Harris.

Widać też w Polsce.

Za taki snobizm w stosunku do kwestii religijnych i wyborców religijnych drogo się płaci, przegrywając wybory, to oczywiste. Prawica bez wątpienia instrumentalizuje religię, podobnie jak katolicką naukę społeczną, ale jako jedyna wykazuje jakiekolwiek nimi zainteresowanie. Podczas gdy lewica wybrała koncepcję społeczeństwa czy szkoły całkowicie oderwaną od tych kwestii lub nawet wrogo do nich nastawioną.



GRAŻYNA MAKARA

MASSIMO FAGGIOLI (ur. 1970) jest włoskim historykiem Kościoła i teologiem, profesorem teologii, kierownikiem katedry eklezjologii w Trinity College na Uniwersytecie w Dublinie. Autor książek o Soborze Watykańskim II, dialogu ekumenicznym i współczesnym katolicyzmie.

Problem Kościoła polega dziś na tym, jak odebrać prawicy katolicyzm, Ewangelię i doktrynę społeczną.

Jak to zrobić? Jak przeciwstawić się promowanej przez konserwatywną prawicę etyce wojowników? Przekonaniu, że przymus jest najlepszym sposobem na stworzenie lepszego świata?

To bardzo trudne pytanie. Gdy dzisiejsza Ameryka inwestuje w świat, nie jest to już tylko inwestycja finansowa, ale także moralna, duchowa, językowa. Słowo „wojna" jest jednym z najczęściej używanych przez rząd Trumpa. I nie chodzi tu o doktrynę obronną, ale o wiarę w prawdziwą wojnę, której nie da się uniknąć.

Europa jest kontynentem, który odebrał z wojny lekcję najtragiczniejszą. Dlatego powinna przeciwstawić się takiemu myśleniu, proponując na przykład taki model struktur wojskowych czy polityki zagranicznej, który zakłada raczej aktywną niż pasywną obronę. To kwestia przyszłości kontynentu.

To rozwiązanie polityczne. A religijne?

Nie wiem. Nie mam odpowiedzi. Poza stwierdzeniem, że jesteśmy w całkowicie nowej sytuacji i że teologia pokoju i wojny musi zostać w dużej mierze napisana na nowo. Na pewno Kościoły muszą odejść od automatycznego powtarzania haseł, które od trzech lat, po inwazji na Ukrainę, są dowodem na ich hipokryzję, a nie realne mierzenie się z problemem. Znowu podam przykład Włoch, gdzie dominuje katolicki pacyfizm, który jednak okazał się niewystarczający, by zrozumieć nową sytuację stworzoną przez Rosję. Przy czym paradoksalnie ci sami ludzie, którzy ignorują konieczność wsparcia Ukrainy, wyrażają silne poparcie dla sprawy palestyńskiej.

Wojna ponownie stała się w Europie jedną z realnych możliwości. Dla wielu zresztą już jest rzeczywistością, z którą się mierzą albo zmierzą w najbliższej przyszłości.

Myśli Pan, że papież Leon ma odpowiedzi na te pytania?

Nie wiem. Może ma, tyle że my ich jeszcze nie poznaliśmy. Pontyfikat Leona rozwija się bardzo powoli. Wydaje się jednak, że jego głównym zmartwieniem jest jedność Kościoła, co oznacza ostrożność zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Śledzę uważnie jego relacje ze Stanami Zjednoczonymi, ponieważ to jest jego kraj, w którym się urodził, w którym ma nadal wiele kontaktów z biskupami, ze swoim zakonem. Mamy pierwszego amerykańskiego papieża, ale też po raz pierwszy mamy do czynienia z takim kryzysem w USA, politycznym i religijnym.

Z opublikowanego niedawno wywiadu z papieżem wynika, że kontakty z Trumpem woli zostawić amerykańskim biskupom.

Problem nie polega na tym, że papież chce pewne kwestie zostawić biskupom, ale na tym, że amerykańscy biskupi są podzieleni i w wielu kwestiach milczą. Więc na razie niewiele z tego pomysłu wynika. Nie wiem też, na ile ta polityka, że papież nie wypowiada się na temat Trumpa, Stanów Zjednoczonych i innych przywódców, jest możliwa do utrzymania. Moment, w którym wszyscy będą oczekiwali publicznego zajęcia stanowiska przez papieża, na pewno nadejdzie.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Więcej niż paciorek

ARTUR SPORNIAK

DUCHOWOŚĆ | Modlą się znani i nieznani, wspólnotowo i osobiście, w październiku i cały rok. Prostota, głębia, rytm, zaangażowanie ciała przemawiają do naszych czasów.

Miałem niewiele lat. Moja mama poszła do szpitala. Sprawa była chyba poważna, bo babcia powiedziała, żeby się modlić – najlepiej na różańcu. Zapytałem, jak się modli na różańcu. – Trzeba odmówić pięćdziesiąt „Zdrowaś Maryjo" i pięć „Ojcze nasz" – odpowiedziała babcia. Leżąc już w łóżku, zacząłem odmawiać po kolei pięćdziesiąt „Zdrowaś Maryjo". Liczenie na palcach opornie mi szło. Zasnąłem. Mama wróciła ze szpitala. To był mój pierwszy kontakt z modlitwą różańcową.

Jej żywotność i popularność pozostaje niezmienna. Katoliccy youtuberzy, którzy proponują w internecie wspólne odmawianie różańca, mają wielotysięczne zasięgi. Październikowe nabożeństwa różańcowe niezmiennie cieszą się frekwencją. Wielu opiera na tej modlitwie swoją duchowość. W czym tkwi tajemnica różańca, bo to wcale nie jest łatwa modlitwa (nawet jak się ma w zastępstwie palców odpowiedni zestaw paciorków).

Wieniec z róż

Jej źródła tkwią w duchowości mniszej. U zarania zakonów, jeszcze w pierwszym tysiącleciu, upowszechnił się zwyczaj odmawiania psalmów. Tak powstał brewiarz. Ale ci, którzy nie umieli czytać, zastępowali psalmy modlitwą „Ojcze nasz". W XII w. niepiśmienni bracia cystersi mieli obowiązek odmawiania codziennie 50 pacierzy. Pomagał w tym sznur z paciorkami zwany *rosarium*, czyli wieńcem róż (odmawianie modlitwy przyrównywano do ofiarowywania Bogu duchowych kwiatów).

W następnym stuleciu, w ramach pobożności maryjnej, upowszechnił się analogiczny zwyczaj odmawiania wielokrotnie modlitwy „Zdrowaś Maryjo". W XV w. kartuzi podzielili modlitwy na dziesiątki i połączyli z tajemnicami życia Jezusa i Maryi. Z kolei dominikanie ustalili ostatecznie liczbę 15 tajemnic podzielonych na trzy części: radosną – związaną z narodzinami Jezusa, bolesną – rozważającą Jego śmierć, i chwalebną – dotyczącą tego, co się działo po Zmartwychwstaniu.

W 2002 r. Jan Paweł II zaskoczył wszystkich, wprowadzając czwartą część różańca. Było to działanie ryzykowne – papież w ten sposób przełamał tradycyjną troistość różańca i jego perspektywę maryjną. Tajemnice światła nowej części – chrzest Jezusa w Jordanie, cud w Kanie Galilejskiej, głoszenie Królestwa Bożego, przemienienie na Górze Tabor i ustanowienie Eucharystii – ukazują wydarzenia ewangeliczne z perspektywy Jezusa, nie Maryi. Ale taka rozszerzona modlitwa przyjęła się w Kościele.

Różaniec rozpoczyna modlitwa wstępna. Każdą „dziesiątkę" poprzedza „Ojcze nasz", a kończy „Chwała Ojcu" oraz dodatkowe wezwania („O mój Jezu" albo „Wieczny odpoczynek"). Ale modlitwa ta występuje w różnych wersjach, uzupełnianych różnymi dodatkami.

Bombardowanie treścią

Wiele poziomów modlitwy, mnóstwo treści do pamiętania i rozważania – pomaga to czy przeszkadza się modlić?

– Mamy bogato zastawiony stół szwedzki i co weźmiemy, będzie nas syciło – śmieje się dominikanin o. Cyprian Klahs, były duszpasterz akademicki, obecnie odpowiedzialny za formację kleryków przygotowujących się do kapłaństwa. – Ostatecznie różaniec można traktować jako modlitwę ustną, czyli po prostu odmawiać bez rozważania treści. Czasami na tyle tylko człowieka stać i wtedy ma to także swoją wartość – przekonuje.

O. Klahs jest autorem książki „Różaniec. Modlitwa prostoty i głębi". – Prostota polega na powtarzalności formuł. Różaniec ma w sobie pewną mechaniczność, która – oczywiście – może prowadzić do „odklepywania", ale z drugiej strony jest czymś bardzo ludzkim, bo wprowadza pewien rytm. Pozwala oderwać się od naszych codziennych zmartwień, myśli, wyobrażeń. Mechaniczność daje taką szansę, oczywiście niczego nie gwarantując sama z siebie. Gdy człowiek się wprawia w rytmie odmawiania różańca, modlitwa go wciąga. I w ten sposób staje się prosta.

Dominikanin zwraca uwagę jeszcze na dwie cechy różańca: angażuje on ciało – powtarzalność modlitw wyrównuje oddech, a nasze palce także „modlą się", przesuwając paciorki. No i sprawdza się także jako modlitwa wspólnotowa. W tym drugim przypadku wymaga dostosowywania się do wspólnego rytmu. O. Klahs przypomina o słowach Jezusa: „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich" (Mt 18, 20).

Ale różaniec przemawia przy tym do bardzo różnych ludzi. Do codziennego odmawiania tej modlitwy przyznawał się pięściarz Tomasz Adamek i nieżyjący już kompozytor Wojciech Kilar, który mówił na tych łamach, że dla niego „różaniec jest brykiem z historii zbawienia".

Zadania do omodlenia

Wspólne odmawianie różańca to nie tylko październikowe nabożeństwa. Magdalena Pawłowicz jest dominikańską tercjarką (czyli osobą świecką, należącą, obok braci i mniszek, do Zakonu Kaznodziejskiego). W 2021 r., kiedy wybuchła sprawa Pawła M. (dominikanina wykorzystującego seksualnie kobiety należące do prowadzonego przez niego duszpasterstwa), prowincjał poprosił Rodzinę Dominikańską o tydzień modlitwy ekspiacyjnej.

– Wtedy codziennie modliliśmy się na różańcu, łącząc się online. Ale od tego czasu wytworzyła się tradycja odmawiania wspólnego różańca online w poniedziałki o 20.00 w intencji zakonu. To dla nas, świeckich dominikanów, cenny czas. Fizycznie spotykamy się tylko raz w miesiącu, więc taka cotygodniowa modlitwa jest wspólnototwórcza – mówi Pawłowicz.

I druga, intymna strona różańca. – Kiedyś usłyszałam o inicjatywie „Różaniec rodziców za dzieci" i od tego czasu codziennie odmawiam dziesiątkę za moje



LIUBOMIR / ADOBE STOCK

dzieci – opowiada tercjarka. – Modlę się też za naszych braci kapłanów. Różaniec jest moją modlitwą „w drodze”. Zwykle odmawiam ją, gdy idę albo jadę rowerem. W tym roku miałam pomysł, żeby nauczyć się „Zdrowaś Maryjo” po aramejsku. Więc czasem odmawiam różaniec w tym języku, żeby być bliżej Maryi, bo myślę, że anioł mówił do niej podczas Zwiastowania po aramejsku. A teraz planuję nauczyć się jeszcze po arabsku, żeby móc łączyć się duchowo z Palestyńczykami.

– Co mi daje? Pewnie jak każda modlitwa powtarzalna, jest w pewien sposób uspokajająca. Gdy czymś się denerwuję, albo boję się czegoś, różaniec pomaga wyrównać oddech. Ale przede wszystkim maryjność jest mi bliska. Myślę o Maryi, że jest przyjaciółką – jest kimś bliskim i bardzo normalnym, kto doświadczył i bólu, i cierpienia, i radości, i nawet jakiegoś odrzucenia przez Syna. Cieszę się, że mogę się do niej zwracać.

O uspokajającej mocy różańca opowiadała mi też żona. Gdy u jej dziadka zaczynały pojawiać się pierwsze symptomy choroby Alzheimera w postaci napadów niepokoju, babcia sadzała go na łóżku, obejmowała, wsadzała mu do ręki różaniec i przesuwała razem z nim paciorki. Dziadek zaczynał odruchowo się modlić. Niepokój mijał.

Duchowe lotto

Ks. Teodor Sawielewicz jest znanym youtuberem, twórcą kanału Teobańkologia, który ma obecnie 634 tys. subskrybentów. Jego stałym punktem jest różaniec odmawiany codziennie o 20.30. W filmie typu pytanie-odpowiedź, opublikowanym 30 września (w przeddzień miesiąca różańcowego), duchowny wyjaśnia sens tej modlitwy jeszcze inaczej. Pozwala ona uświadomić sobie, iż są dwa najważniejsze momenty w życiu: „teraz” i „w godzinę śmierci naszej”. „Teraz Pan Bóg daje mi chleb powszedni i to, co jest mi najpotrzebniejsze, po to, żebym w godzinie śmierci zawołał »Módl się za mną grzesznym« i liczył na Boże miłosierdzie”.

Ks. Sawielewicz przyrównuje różaniec do totolotka. Podczas modlitwy jak do bębna maszyny losującej wrzucamy do głowy rozważania o tajemnicach różańcowych i nasze problemy czy sytuacje życiowe. „Niech to się pomiesza, postuka ze sobą i coś tam później wyskakuje dzięki pomocy łaski. Zazwyczaj wnioski przychodzą proste: zaufaj Bogu, zawierz Mu, spróbuj być spokojniejszy, łagodniejszy, spróbuj nie krzyczeć, spróbuj wytłumaczyć, niepotrzebnie się kłócisz, można inaczej”.

„Nie wyobrażam sobie dnia bez różańca”. „Ta modlitwa jest dla mnie życiem, oddechem” – takie świadectwa można odnaleźć w komentarzach na Teobańkologii. Czy od różańca można się uzależnić?

– Słowo „uzależnienie” ma konotację negatywną. W przypadku różańca mówiłbym raczej o nawyku, który daje pewną sprawność przynoszącą pozytywne owoce – odpowiada o. Klahs. – Można by wręcz mówić o cnocie, czyli działaniu podejmowanym szybko, łatwo i przyjemnie.

Zacznij się modlić

Różaniec jest fascynującą i niełatwą modlitwą. Jak sobie z jego skomplikowaniem radzić? – Po prostu mów, nie zastanawiaj się, modlitwa zacznie płynąć sama – przekonuje Pawłowicz. – Różaniec to jest wierna modlitwa, przez nią człowiek stara się być wiernym. ©℗

Różaniec w religiach

- **LUTERANIE** przejęli formę różańca, ponieważ jednak nie uznają modlitw do Maryi, zastępują „Zdrowaś Maryjo” modlitwą Jezusową („Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem”), a maryjne tajemnice – tajemnicami odnoszącymi się do Jezusa.
- **PRAWOSŁAWIE** modli się na komboskionie – to zwykle wełniany sznur modlitewny używany w Kościołach Wschodnich do odliczania 100, 30 lub 33 formuł Modlitwy Jezusowej.
- **BUDDYZM I HINDIZM** używa *mala* (co znaczy „wieniec”) – to modlitewny sznur, na który nawleczone jest 108 korali, służący do odliczania mantr lub mistycznych formuł.
- **W ISLAMIE** obecny jest *subka* (lub *tasbih*) składający się z 33 paciorków lub trzy razy po 33 paciorki pomagający w wymawianiu wszystkich 99 atrybutów (imion) Allaha.

©℗ ASK

Estoński wzór

TOMASZ OTOCKI

ŚWIĘCI | Niewielka katolicka wspólnota w Estonii przeżywa szczególny czas. Beatyfikacja zamordowanego przez Sowietów arcybiskupa Tallinna to dla nich szansa na wyjście z cienia.

Katolicy są tu mniejszością mikroskopijną. Według spisu ludności z 2021 r. jest ich w Estonii zaledwie 6,5 tys. – czyli 0,8 proc. społeczeństwa. Ale to i tak dużo więcej niż przed laty: w ciągu ostatniej dekady ich liczba wzrosła niemal dwukrotnie.

Siła wyższa

Estończycy nie są przywiązani do Kościoła instytucjonalnego – mówił mi jeszcze w 2018 r. luterański pastor z Rakvere Tauno Toompuu. – Mamy ludzi wierzących w czarownice, w horoskopy, w tarota. Są ludzie, którzy skłaniają się do New Age. Generalnie ponad połowa Estończyków uważa, że istnieje jakaś „siła wyższa", choć nie przekłada się to na wiarę w Chrystusa czy Trójcę Świętą.

Potwierdzają to najnowsze dane estońskiego urzędu statystycznego (Statistikaamet): do jakiejkolwiek religii przyznaje się zaledwie 29 proc. mieszkańców. Z praktykowaniem jest jeszcze gorzej.

Od XVI w. w kraju dominowały wspólnoty luterańskie, dziś najwięcej jest chrześcijan prawosławnych. Katolicy nigdy nie odgrywali tu ważnej roli, co odróżnia Estonię od sąsiedniej Litwy i Łotwy. W Tallinnie msza święta w katolickiej katedrze odprawiana jest co niedzielę w trzech różnych językach: po polsku, estońsku i rosyjsku, ale frekwencja nie jest zbyt wysoka. Podobnie jest w innych parafiach (w całym kraju jest ich zaledwie kilka).



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI W ESTONII

Arcybiskup Eduard Profittlich

Pierwsza beatyfikacja

Na początku września estońscy katolicy przeżyli jednak ważny moment. Pierwszy raz w historii tego kraju doszło do beatyfikacji: nowym błogosławionym został Eduard Profittlich, arcybiskup zamęczony w 1942 r. przez Sowietów (patrz ramka).

Małgorzata Dębska-Zajcew mieszka w Estonii od zeszłego roku, znalazła tutaj męża. W parafii katedralnej świętych Piotra i Pawła w Tallinnie obecna jest co niedzielę. Podczas mszy beatyfikacyjnej arcybiskupa Profittlicha odczytała jedno z wezwań modlitwy powszechnej.

– Uczestnicząc w próbie generalnej przed uroczystością, zdałam sobie sprawę z tego, jak wiele pracy włożyliśmy w przygotowanie tego wydarzenia – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu".

Pomysł, by beatyfikować estońskiego biskupa, zrodził się już w 2003 r. Dwadzieścia lat później, 18 grudnia 2024 r., papież Franciszek promulgował dekret o męczeństwie Eduarda Profittlicha otwierający drogę do jego beatyfikacji. Jej termin wyznaczono na 17 maja 2025 roku, ale plany pokrzyżowała śmierć papieża. Uroczystości przełożono na 6 września.

Odbyły się na tallińskim placu Wolności (Vabaduse väljak), drogim sercu każdego Estończyka, co nadało wydarzeniu rangi symbolu.

Estończyk z wyboru

– Wszyscy wiemy, że bł. Eduard Profittlich nie był Estończykiem z urodzenia – mówi „Tygodnikowi" Philippe Jourdan, biskup Tallinna, sam z pochodzenia Francuz. – W społeczeństwach bałtyckich kwestia obywatelstwa i narodowości jest gorącym tematem. W przemówieniu wygłoszonym w Muzeum Kościoła Św. Mikołaja w Tallinnie Niguliste Muuseum podkreśliłem, że posiadanie obywatelstwa to nie tylko kwestia biologiczna, związana z otrzymaniem krwi lub określonego DNA od rodziny. To przede wszystkim kwestia identyfikacji z narodem, kulturą, społeczeństwem i gotowość oddania za te wartości życia – dodaje biskup.

W czasach, gdy stołeczną diecezją rządził jego błogosławiony poprzednik, niemieckie pochodzenie nie było zbyt popularne – wojna o niepodległość Estonii, w latach 1918-1920, prowadzona była głównie przeciwko bałtyckim Niemcom.

Biskup Jourdan podkreśla jednak, że Profittlich, z pochodzenia Niemiec, nie tylko przyjął w 1935 r. obywatelstwo estońskie i nauczył się języka, ale przede wszystkim zdecydował się pozostać w Estonii, aby dzielić tragiczny los dziesiątek tysięcy obywateli podczas sowieckich represji.

Odkryć Kościół

Małgorzata Dębska-Zajcew wcale nie uważa, na przekór statystykom, by Estończycy byli mało religijni, albo by brakowało im wiary.

– Trzeba wziąć pod uwagę wiele społecznych i historycznych czynników, a także odmienną od polskiej mentalność mieszkańców tego kraju – tłumaczy. – Wiem, że wielu Estończyków odkrywa wiarę katolicką dopiero w wieku dorosłym czy nastoletnim lub poprzez swojego współmałżonka katolika.

Polka podkreśla, że podczas mszy do komunii przystępują niemalże wszyscy obecni w kościele. Dużo jest też osób młodych. Choć przyznaje, że nabożeństwa wyglądają nieco inaczej niż w Polsce.

– Brak tu tak popularnych w Polsce nabożeństw majowych czy czerwcowych. Widoczne jest natomiast zamiłowanie do łaciny i śpiewu chóralnego. Estońscy katolicy nie zapraszają także duchownych do swoich domów na kolędę.

Beatyfikacja arcybiskupa Profittlicha jest okazją, by Estończycy dowiedzieli się więcej o katolikach. Trwają prace nad opublikowaniem pierwszej historii Kościoła katolickiego w Estonii.

– Nie jest to łatwe – przyznaje bp Jourdan. – Kościół katolicki był w Estonii zakazany do początku XIX wieku. Później były dwie wojny światowe, 50 lat okupacji sowieckiej, więc prawie wszystkie archiwa zginęły, dokumentów zachowało się niewiele. Staramy się jednak odkryć tę historię.

Nad publikacją pracuje wielu estońskich historyków, niezależnie od wyznania.

Wykorzystać czas

Marge-Marie Paas była postulatorką procesu beatyfikacyjnego arcybiskupa Profittlicha. Na co dzień pracuje w tallińskiej Akademii Muzycznej i Teatralnej. W 2018 r. bp Jourdan poprosił ją, by zajęła się przygotowaniem dla Watykanu dokumentów procesowych. Teraz, po doprowadzeniu sprawy do końca, nie zamierza spocząć na laurach.

– W przyszłym miesiącu jedziemy na pielgrzymkę do Rzymu i spotkamy się z papieżem Leonem XIV – mówi „Tygodnikowi". – W planach mamy też powołanie Fundacji Błogosławionego Eduarda Profittlicha i zorganizowanie pierwszego dnia pamięci o nowym błogosławionym.

Paas nie ukrywa, że jej marzeniem jest, by jak najszybciej doprowadzić do kanonizacji Profittlicha – pierwszego świętego w historii Estonii. ©

Polsko-niemiecko-estoński biskup

EDUARD PROFITTLICH urodził się w 1890 r. w Birresdorfie w Nadrenii-Palatynacie. Był ósmym z dziesięciorga dzieci rolników Doroty z domu Seiwert i Markusa Profittlicha. Świadectwo dojrzałości otrzymał w szkole w Linzu nad Renem. W 1913 r. wstąpił do zakonu jezuitów. W latach wielkiej wojny pracował w szpitalu jako pielęgniarz i asystent chirurgiczny. Święcenia kapłańskie przyjął w 1922 r. Studiował w Krakowie, gdzie w czerwcu 1923 r. obronił doktorat z filozofii, a rok później z teologii.

W LATACH 1925-1928 pracował w Oppeln (Opolu), później rozpoczął posługę w Hamburgu, gdzie został duszpasterzem Polaków. W 1930 r. został mianowany proboszczem parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Tallinnie. Argumentem przemawiającym za wysłaniem go do pracy w Estonii była doskonała znajomość języka polskiego – większość katolików w tym kraju stanowili w tamtym czasie Polacy i Litwini.

W 1931 R. został mianowany administratorem apostolskim w Estonii. Jego kazania cieszyły się popularnością także wśród mieszkających w Tallinnie luteran i prawosławnych. Jako kościelny administrator Profittlich opracował plan rozwoju Kościoła katolickiego w Estonii. Z jego inicjatywy zaczęto wydawać pismo katolickie w języku estońskim „Kiriku Elu" (pol. „Życie Kościoła"). Dużą wagę przykładał do religijnego wychowania młodzieży, Kościół katolicki zaczął też przyciągać estońską inteligencję. Nie tracąc swego „polskiego charakteru" stawał się coraz bardziej estoński, ale też wielonarodowy.

Z INICJATYWY Profittlicha Estonia zawarła w 1935 r. konkordat ze Stolicą Apostolską. Rok później powstało w tym kraju pierwsze arcybiskupstwo. Konsekracja biskupia Profittlicha miała miejsce 27 grudnia 1936 r. w kościele świętych Piotra i Pawła w Tallinnie.

GDY W 1940 R. Estonia została anektowana przez Związek Sowiecki, Profittlich odmówił przyjęcia obywatelstwa niemieckiego, które mogło zagwarantować mu bezpieczeństwo. Po ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki został aresztowany przez NKWD pod zarzutem „szpiegostwa na rzecz Niemiec", z czasem zarzuty rozszerzono o „antysowiecką agitację". Jesienią 1941 r. został skazany na 5 lat pozbawienia wolności i zsyłkę do łagru w Kirowie, gdzie zmarł zimą 1942 r. ©TO

O. WACŁAW

Oszajca:
Wykadrowany Bóg



Trzeba było użyć podstępu, znaleźć fałszywych oskarżycieli, sfałszować proces, aby zabić Jezusa, skoro nie chciał spełnić powszechnych oczekiwań co do mesjasza, na jakiego czekano i o jakiego się modlono. Jezus jawił się jako wywrotowiec, chcący zastany świat odwrócić podszewką do góry, postawić na głowie, zburzyć. Miano Go za podstępnego wroga, któremu zdarza się być dobrym, dokonywać rzeczy niemożliwych, ale w istocie rzeczy przewrotnego. Słowem, mieli Go za wilka w owczej skórze.

„»Nie chcemy Cię kamienować za dobre czyny – mówili do Jezusa jego przeciwnicy – lecz za bluźnierstwo; za to, że Ty, będąc człowiekiem, czynisz siebie Bogiem«. Jezus im odrzekł: »Czy w waszym Prawie nie ma zapisu: Ja mówię: Jesteście bogami. Jeśli ono nazywa bogami tych, do których zostało skierowane słowo Boże – a przecież Pisma nie można unieważnić – to dlaczego do Tego, którego Ojciec uświęcił i posłał na świat, mówicie: Bluźnisz, bo stwierdziłem: Jestem Synem Bożym? Jeśli nie wypełniam dzieł Ojca, to Mi nie wierzcie. Skoro jednak je wypełniam, to nawet jeśli Mi nie wierzycie, uwierzcie moim czynom, abyście poznali i wiedzieli, że Ojciec jest we Mnie, a Ja w Ojcu«. I po raz kolejny usiłowano Go uwięzić, lecz On uszedł z ich rąk". Jak widać Jezus swoją argumentacją nic nie zyskał, przeciwnie, tylko swoich przeciwników utwierdził w przekonaniu, że powinni widzieć w Nim wroga.

Coś podobnego, choć w łagodniejszej formie, mamy w ewangelicznym opowiadaniu o uzdrowieniu dziesięciu trędowatych na „pograniczu Samarii i Galilei", a więc na terenach narodowościowo i religijnie mocno rozchwianych. Jak też w opowiadaniu o wodzu syryjskim Naamanie. Za uzdrowienie podziękować Jezusowi wrócił jedynie Samarytanin, po którym najmniej można się było tego spodziewać. Najwidoczniej zrozumiał, że jego dotychczasowa wiara wymaga zmiany. Podobnie syryjski dowódca dziękuje prorokowi za uzdrowienie, jak umie. Ale też idzie dalej, zadziwiony postępowaniem proroka dochodzi do wniosku, że powinien zmienić swój światopogląd. Warto więc poprzyglądać się temu, czego nie lubimy czy wprost nienawidzimy, czy przypadkiem gdzieś w głębi nas nie zalegają jakieś resztki starej wiary, które uniemożliwiają nam panoramiczne, niewykadrowane widzenie Boga. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Dwie lekcje Barucha



„Panu, Bogu naszemu, należna jest sprawiedliwość, nam zaś rumieniec wstydu na twarzy (...), każdemu człowiekowi na ziemi judzkiej i mieszkańcom Jeruzalem, królom, zwierzchnikom, kapłanom, prorokom i przodkom naszym, ponieważ zgrzeszyliśmy przed Panem, nie wierzyliśmy Jemu, nie byliśmy posłuszni głosowi Pana, Boga naszego, by pójść za przykazaniami, które nam dał. Od czasu, kiedy Pan wyprowadził przodków naszych z ziemi egipskiej, aż do dnia dzisiejszego byliśmy niewierni wobec Pana, Boga naszego" (Ba 1, 15-19). To pierwsze słowa księgi przesłanej przez babilońskich wygnańców do publicznego odczytywania „w dni zebrań" (w. 14). My wysłuchaliśmy ich podczas liturgii w ubiegły piątek. Baruch dzieli się dwiema refleksjami, które z natchnienia Bożego zrodziły się w nim w ciągu pięciu lat od uprowadzenia do Babilonu.

Pierwsza dotyczy przyczyn niewoli. Uderzające, że prorok nie obciąża odpowiedzialnością za dramat Żydów babilońskiego agresora – nie mówi: zostaliśmy niegodziwie napadnięci! Przeciwnie, Baruch i Żydzi zgromadzeni wokół niego wysyłają do Jerozolimy zebrane „srebro", aby w Świętym Mieście złożono ofiarę całopalną i modlono się „o zdrowie Nabuchodonozora, króla babilońskiego, i o zdrowie Baltazara, syna jego, aby były ich dni jak dni nieba na ziemi" (w. 1, 11). Przyczyn niewoli prorok szuka wyłącznie po stronie Izraela. Stwierdza wyraźnie: to nasz grzech przez wszystkich popełniony: odrzucenie Słowa Boga i Jego przykazań. Jednocześnie – i tu kryje się drugie Baruchowe pouczenie – prorok mówi o grzechach wszystkich pokoleń, jakie tworzyły Izrael od czasu jego wyjścia z Egiptu. Gotów jest przyjąć „wstyd na twarzy" za tych, którzy przez całe dzieje Narodu Wybranego dopuszczali się zła.

Obie lekcje Barucha są trudne do przyjęcia, a nierzadko nawet kontestowane w imię pseudoteologicznych racji. Ciągle znacznie łatwiej jest przerzucać odpowiedzialność za dramaty Kościoła na zewnętrznych wrogów i takież przyczyny, odmawiając *de facto* własnego nawrócenia! I ciągle równie łatwo jest uciekać od trudnej prawdy o własnej historii w monofizycką (!) wykładnię wiary w to, że Kościół jest „święty", oraz w pseudopastoralny lęk, iż ujawniona prawda „zgorszy" wiernych. Tymczasem gorszące jedynie jest jej ukrywanie. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



ROOSTLER / ADOBE STOCK

MIŁOŚĆ JEST WSZĘDZIE

MARTA KOWAL, PSYCHOLOŻKA:

Związek i miłość to praca. Gdyby Romeo i Julia przeżyli, również musieliby pracować nad swoim związkiem. Inaczej skończyliby skłóceni i zniechęceni do siebie.

KASPER KALINOWSKI: Nieżyjący już angielski historyk Lawrence Stone pisał: „Jeśli romantyczna miłość kiedykolwiek istniała poza Europą, występowała wyłącznie wśród elit niezachodnich państw narodowych, które miały czas, aby kultywować estetyczne uznanie dla subiektywnych doświadczeń". Badała Pani społeczności łowców-zbieraczy – co by mu Pani odpowiedziała?

MARTA KOWAL: Że to bardzo zachodnio-centryczne i przy współczesnym stanie wiedzy trudne do obrony stwierdzenie. Uczucia, które psychologowie określają mianem miłości romantycznej, pojawiają się w różnych kulturach i okresach historycznych. Gdy tylko ludzie nauczyli się pisać, pisali o miłości. Nie zmieniło się to od tysięcy lat. Każdego roku powstają niezliczone ilości prac poświęconych ↦

↦ tematyce miłości. Ludzie piszą o miłości, śpiewają o miłości, tworzą filmy, przedstawienia, sztuki o miłości. Miłość wydaje się obecna wszędzie, nie tylko na Zachodzie.

Natomiast do XX w. wielu badaczy z zachodniego kręgu kulturowego wierzyło, że „prawdziwa" miłość romantyczna została wynaleziona na Zachodzie, a ludy tradycyjne lub, jak by powiedział polski antropolog z XX w. Bronisław Malinowski, „ludy dzikie" doświadczają jedynie popędu seksualnego. Dziś mamy znacznie więcej danych, np. analizy literackie, historyczne, etnograficzne i psychologiczne, które pokazują, że doświadczenia przypominające miłość romantyczną występują szeroko, niezależnie od płci, wieku, poziomu wykształcenia czy koloru skóry.

W naszych badaniach, zarówno tych online, prowadzonych w ponad stu krajach, jak i terenowych, prowadzonych w społecznościach wiodących bardziej tradycyjny tryb życia, takich jak Fulani i Igbo z Nigerii, Hadza i Meru z Tanzanii, Kimeru z Kenii czy Tsimane' z Boliwii, obserwujemy relatywnie intensywne uczucia miłości. To nie znaczy, że miłość zawsze wygląda dokładnie tak samo w każdej kulturze. Formy wyrazu, normy dotyczące małżeństwa czy znaczenie uczuć dla organizacji społecznej się różnią. Niemniej jednak trudno utrzymać tezę, że romantyczna miłość jest wyłącznie zachodnim wynalazkiem.

Czym jest więc miłość z perspektywy psycholożki i badaczki tematu?

Miłość to złożone, wielowymiarowe zjawisko, które trudno zamknąć w jednej definicji. Lubię myśleć o niej jak o spektrum odcieni czerwieni. Załóżmy w tej metaforze, że wiemy, że miłość to czerwony fenomen, ale u każdego przybiera nieco inny odcień. Dla niektórych oznacza głównie namiętność i intensywne pobudzenie, dla innych głębokie przywiązanie i partnerstwo. U części osób te elementy współistnieją, u innych dominują pojedyncze aspekty. Kontynuując metaforę, dla jednych miłość będzie bardziej czerwona, dla innych mniej. A znajdą się i tacy, którzy w ogóle nie będą odróżniać tej czerwieni od innych barw emocji.

Na gruncie naukowym rozróżniamy różne typy miłości: miłość rodzicielską, przyjacielską, religijną, miłość do zwierząt czy miłość romantyczną. W obrębie tej ostatniej często wyróżnia się fazę początkowego zakochania oraz fazę długoterminowej miłości.

Wczesny etap miłości romantycznej cechuje się zazwyczaj najwyższym poziomem namiętności, seksualnego pobudzenia, obsesyjnego myślenia o ukochanym, „motyli w brzuchu". Będąc w stanie zakochania, potrafimy kochać całym sobą, do szaleństwa. Wszystko inne przestaje się liczyć. Nie możemy spać, nie możemy jeść, nie możemy funkcjonować. Całe nasze ciało wyrywa się do ukochanego. Zazwyczaj te intensywne uczucia pasji z czasem słabną, ustępując miejsca miłości opierającej się bardziej na przywiązaniu, intymności oraz zaangażowaniu. W swoich badaniach skupiam się na całym spektrum miłości romantycznej, od tego początkowego zakochania aż po długoletnią miłość.

W 2025 r. warto jeszcze badać miłość? Czego dowiedzieliśmy się w ostatnich latach?

Zdecydowanie warto. Intensywne, systematyczne badania naukowe nad miłością ruszyły stosunkowo niedawno. Przez dużą część XX w. panowały sceptyczne lub uprzedzone nastawienia. Twierdzono, że miłość to temat zbyt nieuchwytny, subiektywny albo po prostu niegodny publicznego finansowania. Były też i ważne, choć raczej ignorowane głosy orędowników badań nad miłością. Już w połowie XX w. Harry Harlow, prezydent Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów, przekonywał, że miłość jest czymś centralnym w życiu ludzi i powinniśmy dowiedzieć się na jej temat więcej.

Ale przełom nastąpił dopiero pod koniec ubiegłego wieku, m.in. dzięki pracom etnograficznym i międzykulturowym. Np. analiza Williama Jankowiaka i Edwarda Fischera z 1992 r. dostarczyła mocnych dowodów na szerokie rozprzestrzenienie doświadczeń przypominających to, co nazywamy miłością romantyczną. Dalsze rozwinięcie stanowiły teoretyczne modele biologiczne, np. propozycja Helen Fisher, wedle której można wyróżnić trzy powiązane systemy ewolucyjne: popęd płciowy, przyciąganie do konkretnej osoby i przywiązanie do partnera. To użyteczne ramy, które skłoniły badaczy do testowania konkretnych hipotez empirycznych. Co ciekawe, mimo swojej ogromnej popularności, te pierwsze modele miłości były niepoparte empirycznymi badaniami.

Na szczęście, w XXI w. zaczęto prowadzić coraz więcej badań. Klasyczne badania Andreasa Bartelsa i Semira Zekiego wykazały aktywację struktur związanych z mózgowym układem nagrody u osób zakochanych, co dało mocny argument, że doświadczenie zakochania ma podłoże biologiczne. Późniejsze badania porównywały aktywność mózgową miłości romantycznej i miłości rodzicielskiej, wskazując zarówno podobieństwa, jak i różnice.

Badania hormonalne i neurochemiczne także poszerzyły naszą wiedzę. Coraz liczniejsze badania, w tym i nasze, wskazują na rolę układów dopaminergicznych, oksytocyny i wazopresyny w przywiązaniu, a także wpływ hormonów płciowych i układów serotonergicznych na zachowania i uczucia związane z bliskością. Wszystko to potwierdza, że miłość ma wymiar fizjologiczny i psychobiologiczny, a nie jest jedynie literacką metaforą.

Mimo postępów pozostaje jednak wiele luk badawczych. Wciąż brakuje, przykładowo, dużej liczby badań długoterminowych, które pozwoliłyby w pełni uchwycić dynamikę miłości w życiu konkretnej osoby oraz mechanizmy, które predysponują do utrzymania intensywnej, satysfakcjonującej miłości przez lata. To ważny kierunek na XXI wiek.

Mitem, który obaliła Pani w swoich badaniach, jest negatywny wpływ antydepresantów na zakochanie się. SSRI nie przeszkadzają w miłości.

Poszukiwania eliksiru czy czarów miłości i obawy przed ich odwrotnością towarzyszyły ludziom od dawna. Na bardziej naukowej, a mniej magicznej płaszczyźnie jednym z takich lęków jest przekonanie, że leki zwiększające stężenie serotoniny w mózgu, czyli SSRI (powszechnie nazywane antydepresantami), mogą tłumić zdolność do zakochiwania się albo osłabiać samo uczucie miłości.

Do niedawna brakowało bezpośrednich badań, które zweryfikowałyby to przekonanie, ale właśnie pojawiły się pierwsze dane empiryczne. W naszym artykule przeanalizowaliśmy dane od

810 młodych dorosłych będących w stanie zakochania i nie znaleźliśmy dowodów na związek między przyjmowaniem leków SSRI a intensywnością zakochania (namiętnością, obsesyjnym myśleniem o ukochanym czy zaangażowaniem) ani częstotliwością współżycia.

To pierwsze wiarygodne empiryczne wsparcie dla tezy, że przyjmowanie SSRI nie musi osłabiać miłości jako takiej. Badanie to może mieć duże znaczenie dla wielu osób, które rozważają razem ze swoimi lekarzami skorzystanie z tych leków w celu osiągnięcia korzyści psychicznych, np. w terapii depresji, ale które obawiają się o swoją relację z ukochanym.

Takich mitów i uproszczeń jest więcej?

Ze względu na pewien paradoks, w którym się znajdujemy – z jednej strony miłość jest powszechnym, ważnym doświadczeniem obecnym od tysięcy lat, a z drugiej strony naukowe badania nad miłością nabrały rozpędu dopiero stosunkowo niedawno – krąży wiele mitów i uproszczeń opartych głównie na anegdotach i jednostkowych doświadczeniach.

Poza mitami, o których już rozmawialiśmy (np. miłość to zachodni wynalazek), powszechny jest pogląd, że im silniejsza miłość namiętna, tym więcej seksu. Z perspektywy ewolucyjnej łatwo zrozumieć, dlaczego namiętność sprzyja zachowaniom reprodukcyjnym. I rzeczywiście, wiele badań wskazuje na związek między byciem zakochanym a aktywnością seksualną. Jednak nowsze analizy sugerują, że większa intensywność uczuć nie przekłada się automatycznie na większą częstotliwość współżycia. Innymi słowy, więcej miłości nie zawsze znaczy więcej seksu.

Inne popularne przekonanie głosi, że to mężczyźni zakochują się pierwsi i jako pierwsi to wyznają. Okazuje się, że... jest w tym dużo prawdy. W wielu badaniach, także w dużych międzynarodowych próbach, to mężczyźni częściej deklarują uczucia jako pierwsi i średnio szybciej zgłaszają moment zakochania (w jednym z najnowszych przekrojowych badań różnica wyniosła około miesiąca w porównaniu do kobiet).

Kolejnym rozpowszechnionym przekonaniem jest to, że związki „z miłości" są z definicji lepsze niż związki aranżowane, że w kulturach, gdzie dominuje małżeństwo aranżowane, miłość nie występuje lub jest zastępowana obowiązkiem. Badania międzykulturowe dostarczają dowodów na to, że poziom intensywności uczuć zarówno w małżeństwach „z miłości", jak i aranżowanych po kilku latach jest zbliżony!



PAWEŁ PIOTROWSKI / UNIWERSYTET WROCŁAWSKI

DR MARTA KOWAL pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Wrocławskiego. W kręgu jej zainteresowań znajduje się miłość romantyczna, szczególnie widziana z perspektywy międzykulturowej. Prowadziła badania terenowe wśród różnych społeczności na całym świecie, m.in. Majów w Gwatemali, członków plemienia Dani w Papui, Maorysów na Wyspach Cooka czy Aborygenów z Australii. Jest liderką międzynarodowego zespołu ponad 400 badaczy ze 100 krajów, prowadzących szeroko zakrojone badania porównawcze.

Mój dobry przyjaciel i mentor, ekspert w badaniach międzykulturowych, prof. Piotr Sorokowski opowiedział mi kiedyś historię o pewnej osobie badanej z jednego z afrykańskich plemion. Dziewczyna miała wyjść za mąż za partnera, którego wybrali jej rodzice. W dniu ślubu rozpaczała, bo nie chciała wychodzić za mąż, a przynajmniej nie za wskazaną jej osobę. Wolała wyjść za mąż za muzyka, którego kochała. Po kilku latach, gdy zespół prof. Sorokowskiego ponownie odwiedził jej wioskę, kobieta była w ciąży, szczęśliwa i zakochana po uszy w swoim mężu. Jej rodzina dobrze wybrała jej męża. To lekcja pokory, która pokazuje nam, że miłość może rozkwitnąć z czasem i nie musi spadać na nas jak grom z jasnego nieba, niczym w filmach.

A co badania mówią na temat samego zakochiwania się? Jeśli nie jest jak w filmach – to jak jest?

Bardzo często zakochujemy się w ludziach, których już dobrze znamy. Znaczna część związków rozwija się z przyjaźni. Metaanalizy i badania na dużych próbach sugerują, że nawet około dwóch trzecich romansów zaczyna się od przyjaźni, a ścieżka od przyjaźni do miłości jest częstsza, niż kultura popularna chce przyznać.

A może sama miłość romantyczna i to, jak ją rozumiemy na Zachodzie, jest formą mitu i samooszustwem? I to groźnym społecznie?

Było kilka społeczeństw, na przykład wspólnota z Oneidy czy Shakersi [amerykańskie grupy religijne – red.], u których zakazywano miłości, uznając, że jest niebezpieczna. Takie odgórne zakazy okazywały się jednak mało skuteczne i ludzie, pod karą utraty zdrowia, a nawet nierzadko życia, wymykali się do swoich ukochanych i pielęgnowali swoją miłość. A jeśli zdarzało się, że jakaś grupa społeczna faktycznie kultywowała zakaz miłości, to cóż – taka grupa szybko przestawała istnieć.

Często powtarza się również opinię, że po pierwszym etapie zakochania, który przemija, większość związków się kończy. To naukowa prawda?

U większości ludzi początkowy, najbardziej intensywny etap zakochania – z silną namiętnością, obsesyjnym myśleniem i silnym pobudzeniem – zwykle nie trwa wiecznie. W badaniach opisuje się, że ten płomienny etap osiąga szczyt i później słabnie, najczęściej w ciągu pierwszych 2 lat.

To jednak nie znaczy, że związek jest skazany na porażkę, gdy ta pierwsza, namiętna miłość się kończy. Często następuje transformacja. Namiętność ustępuje miejsca miłości opartej na przywiązaniu, intymności i zaangażowaniu, czyli formie bardziej stabilnej i funkcjonalnej w codziennym życiu. U wielu par ten etap przyjacielski jest równie satysfakcjonujący, a czasem trwalszy niż krótkotrwała, początkowa euforia. Są też ↦

↦ pary, w których elementy namiętności utrzymują się lub od czasu do czasu wracają, to nie jest jednolity proces.

Niektóre osoby, szukając ponownie stanu skrajnego zakochania, tego emocjonalnego rollercoastera intensywnych uczuć, często rozpoczynają nowe relacje. Ale życie na stałym szczycie namiętności jest zwykle... niepraktyczne. Więc zamiast traktować koniec etapu zakochania jako porażkę, lepiej widzieć to jako naturalną przemianę uczucia, która może prowadzić do dojrzalszego partnerstwa – do życia w lokomotywie, która swoim tempem jedzie do przodu, czasami delikatnie zwalniając na stacjach czy przejazdach kolejowych, a czasami delikatnie przyspieszając.

Miłość to nie tylko para kochanków. Drugim najczęściej badanym rodzajem miłości w psychologii jest miłość macierzyńska. To coś, co wyróżnia nasz gatunek?

Wprost przeciwnie. Powiedziałabym, że to właśnie miłość romantyczna wyróżnia nasz gatunek. Miłość macierzyńska w sensie silnej opiekuńczej troski o potomstwo nie jest czymś unikatowym dla ludzi – jest powszechna wśród ssaków i wielu innych zwierząt. To część szerokiego zespołu zachowań rodzicielskich, które ewoluowały, by zwiększyć przeżywalność potomstwa.

Natomiast elementy, które zwykle wiążemy z miłością romantyczną, np. intensywne przywiązanie do konkretnego partnera, seksualne pożądanie łączące się z długoterminowym partnerstwem i skomplikowane emocjonalno-kulturowe przejawy uczucia, przybierają u ludzi szczególnie złożone formy. Niektóre zwierzęta (np. niektóre ptaki i gryzonie) tworzą trwałe więzi z wybranym partnerem i wykazują zachowania przypominające ludzkie dobieranie się w pary, ale u ludzi te mechanizmy zostały dodatkowo przefiltrowane przez język, normy kulturowe, instytucje i symbolikę.

Istnieje sporo podobieństw między miłością macierzyńską (np. relacja matka-niemowlę) a romantyczną (relacja między partnerami). W obu uczestnicy mówią czule do siebie, używają zdrobnień, łakną kontaktu fizycznego, wpatrują się w siebie, tęsknią i okazują oznaki niepokoju, gdy druga osoba się oddala, cieszą zaś, gdy wraca. Zarówno matka, jak i partner są tzw. bezpieczną bazą, źródłem bezpieczeństwa i regulowania emocji. Jest wiele cech podobnych w tych dwóch rodzajach miłości, nawet jeśli chodzi o aktywność mózgową czy hormony, takie jak oksytocyna, ale też oczywiście wiele różnic, jak seksualny komponent namiętności.

Wróćmy do miłości romantycznej. Niezależnie od szerokości geograficznej cenimy ją jednakowo?

Tak. Miłość romantyczna jest ceniona w bardzo wielu kulturach. W jednym z naszych badań zapytaliśmy 86 tys. osób z 90 krajów, czy byliby skłonni wejść w związek małżeński ze swoim idealnym partnerem. Takim, który spełniałby wszystkie wymarzone przez nich cechy. Byłby odpowiednio atrakcyjny, z odpowiednimi rozmiarami ciała, wagą, umięśnieniem, odpowiednim poczuciem humoru, poziomem wykształcenia, zarobkami i wielkością portfela, odpowiednio dopasowany charakterem. Słowem, chodzący ideał. Ale był jeden haczyk. W takim związku miałoby nie być miłości. W niemalże wszystkich krajach (86 na 90) większość badanych stwierdziła, że nie zdecydowałaby się na taki związek bez miłości. Te cztery kraje odstające w tej próbie to Ghana, Maroko, Iran i Uganda.

Uprzedzając pytanie – mieliśmy niewystarczająco danych, aby spróbować rozszyfrować, dlaczego akurat te cztery kraje odbiegały wynikiem od pozostałych. Trzeba jednak podkreślić, że wynik ten nie oznacza, iż w tych czterech krajach ludzie nie cenią miłości. Raczej wskazuje, że wobec pytań o instytucję małżeństwa respondenci w tych społecznościach przyjęli bardziej pragmatyczne kryteria. Ponadto, takie międzykulturowe porównania wymagają ostrożności ze względu na ograniczenia próby, tłumaczenia ankiet, wpływ norm społecznych i możliwe błędy reprezentatywności.

Więc kochankowie na całym świecie zachowują się podobnie?

Kochankowie na całym świecie często doświadczają podobnych uczuć: namiętności, tęsknoty, obsesyjnych myśli, potrzeby bliskości ukochanej osoby. Część reakcji fizjologicznych i emocjonalnych wydaje się uniwersalna, ale sposoby wyrażania miłości są mocno osadzone w kulturze.

Na przykład w niektórych kulturach bardziej niż w innych miłość może być manifestowana przez pieśń czy wiersz. W kulturach o silnych normach kolektywistycznych miłość jest częściej wyrażana niewerbalnie lub kontekstualnie, w kulturach indywidualistycznych zaś bardziej werbalnie i ekspresyjnie. Innymi słowy: samo odczucie miłości bywa bardzo podobne, ale repertuar i styl okazywania uczuć może się różnić.

A jaki wpływ na miłość mają przemiany społeczne? Żyjemy przecież w świecie aplikacji randkowych. Wpłynęło to na nasze związki?

Bardzo. Wpływ aplikacji randkowych i internetu na związki jest duży i wielowymiarowy. Technologia znacząco zmieniła formuły doboru partnerów. Kiedyś dobór partnerów ograniczał się głównie do najbliższego otoczenia – najczęściej kilkunastu, kilkudziesięciu potencjalnych kandydatów. Dziś aplikacje i portale poszerzyły dostęp do setek tysięcy, a nawet milionów potencjalnych partnerów, co diametralnie zmieniło sposób selekcji, poznawania, utrzymywania i kończenia relacji.

W naszych badaniach zaobserwowaliśmy, że około 21 proc. par poznało się przez internet, a w przypadku związków, które zaczęły się w ciągu ostatniego roku, odsetek ten wzrastał do około 50 proc. Czyli dziś nawet co druga para w rocznym związku może wywodzić się z internetu. To potwierdza też szersze trendy opisane w literaturze: odsetek par zakładających relacje dzięki sieci rośnie gwałtownie w ostatnich latach.

Proces dobierania się w pary stał się przez to w pełni racjonalny?

Niektórzy autorzy opisują współczesne mechanizmy doboru partnera jako prze-

REKLAMA

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

jaw „chłodnej namiętności". Wybieramy osoby według rozsądnych kryteriów, kalkulujemy zyski i straty i traktujemy dobór partnera jak zadanie do wykonania. Jednak klasyczna koncepcja Roberta H. Franka przypomina, że miłość pełni istotną strategiczną funkcję: działa jak mechanizm zobowiązania, który ogranicza racjonalne porzucenie partnera przy pojawieniu się atrakcyjniejszej opcji.

Nasz partner nie mówi nam bowiem: „jestem z Tobą, bo jesteś ładna, młoda, szczupła". Bo gdyby pojawiła się partnerka, która jest ładniejsza, młodsza, szczuplejsza, to zarówno partner, jak i my moglibyśmy się zastanawiać, czy przypadkiem zaraz druga osoba nas nie zostawi. Nie, nasz partner mówi nam, że jest z nami, bo nas kocha. I to miłość gwarantuje ten brak racjonalności w naszym zachowaniu i trwanie w związku, który może nie jest idealny, ale w którym jest miłość. Innymi słowy, miłość wprowadza nieracjonalność, która sprzyja trwałości związku i współpracy – i to jest część jej adaptacyjnej roli.

To z kolei tłumaczy obawy związane z aplikacjami randkowymi: gdy świadomość „lepszej opcji" jest ciągle pod ręką, istnieje ryzyko traktowania relacji bardziej instrumentalnie. Niemniej jednak chłodna racjonalność i emocjonalne zobowiązanie współistnieją. I oba mają swoje konsekwencje dla stabilności i jakości związków.

Badała Pani pary, które poznały się przez internet i okazały się mniej szczęśliwe. Skąd się to bierze? I czy to znaczy, że mamy powody do obaw?

Tak, nasze ostatnie badanie, przeprowadzone na próbie ponad 6 tys. osób z 50 krajów, sugeruje, że osoby, które poznały swojego partnera online, zgłaszają nieco niższą satysfakcję ze związku oraz niższą intensywność doświadczanej miłości (w tym niższej namiętności, intymności, zaangażowania) w porównaniu z osobami, które poznały się offline. Różnice były raczej umiarkowane i dotyczą średnich w próbie, więc nie oznaczają, że „związki online" są z definicji skazane na niepowodzenie – wiele takich par jest szczęśliwych i trwałych.

Dlaczego tak może być? Kilka prawdopodobnych mechanizmów, zgodnych z literaturą i naszymi wynikami, to np. mniejsze podobieństwo par poznanych online. Pary poznane offline często wywodzą się z tych samych sieci społecznych – szkoła, praca, grupy towarzyskie – i są bardziej podobne pod względem wykształcenia, religii czy pochodzenia. A podobieństwo sprzyja stabilności i satysfakcji. W sieci ten filtr społeczny słabnie, stąd większa heterogeniczność par poznanych online.



Dziś nawet co druga para w rocznym związku może wywodzić się z internetu. Wybieramy osoby według rozsądnych kryteriów, kalkulujemy. **Jednak miłość wciąż gwarantuje brak racjonalności.**

ROOSTLER / ADOBE STOCK

Kolejnym powodem może być brak wsparcia społecznego. Relacje zaczynające się offline często od razu mają większe wsparcie najbliższego otoczenia, co działa jako bufor wobec trudności. W przypadku relacji inicjowanych online spotkania najczęściej zaczynają się poza tym kontekstem. Jeszcze innym powodem może być tzw. przeładowanie wyboru, związane ze wspomnianą już liczbą dostępnych opcji w aplikacjach randkowych. To może prowadzić do niestabilności decyzji, poczucia, że gdzieś istnieje lepsza opcja, i niższej satysfakcji z dokonanego wyboru – danego partnera.

Warto podkreślić ostrożnie: to są mechanizmy wyjaśniające skorelowane różnice, a nie dowód na występowanie związków przyczynowo-skutkowych. Różnice mogą też zależeć od wieku, kultury, sposobu używania aplikacji (na ile poważnie myślimy o związku) oraz czasu trwania związku. Dlatego zamiast bić na alarm, najlepiej używać tych wyników jako wskazówek dla praktyki. Pary poznane online mogą potrzebować więcej pracy nad swoją miłością i związkiem. Bo związek i miłość to praca. Gdyby Romeo i Julia przeżyli, to mimo swej ogromnej miłości również musieliby pracować nad swoim związkiem. Inaczej skończyliby skłóceni i zniechęceni do siebie. Julię irytowałoby chrapanie Romea, Romeo przewracałby oczami na prośby Julii o opuszczanie deski czy wyrzucenie śmieci.

Co więc musieliby robić Romeo i Julia, aby dalej doświadczać intensywnej miłości i satysfakcji ze związku?

Na samym początku, gdy miłość jest płomienna, zwykle nie trzeba nic robić: uczucie samo napędza codzienność. Gdy jednak przychodzi późniejszy etap, życie z pracą, obowiązkami, dziećmi i szeregiem ról społecznych, para musi świadomie dbać o relację, jeśli chce, by jej żar nie zgasł.

Co pomaga w praktyce? Np. wspólne przeżywanie nowych, ekscytujących doświadczeń. Badania pokazują, że wspólne odkrywanie czegoś nowego zwiększa bliskość i intymność. Regularne randki – nawet prosty, cotygodniowy wieczór tylko we dwoje – pomagają utrzymać poczucie wyjątkowości związku. Dalej, małe codzienne akty życzliwości i wyrażanie wdzięczności – drobne gesty i docenianie partnera budują pozytywną relację. Krótko mówiąc – relacja wymaga uwagi i praktyk, które podtrzymują zarówno namiętność, jak i przywiązanie.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI



Budynek Teatru Narodowego (plac Krasińskich w Warszawie) na akwareli Zygmunta Vogela z ok. 1791 r.

NARODOWE KOMEDIANTKI

Od chwili powstania polskiego Teatru Narodowego – najstarszego teatru w Polsce – mija 260 lat. O tym, co się działo wówczas za jego kulisami, wiemy dzięki raportom pewnego szpiega.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Założył go ostatni król I Rzeczypospolitej. Błyskawicznie, niespełna rok po koronacji.

„Stanisław August (...) był pierwszym, początkowego Oyczystéy sceny zaprowadzenia twórcą" – zaczyna swoje „Dzieje Teatru Narodowego" Wojciech Bogusławski (aktor, przedsiębiorca teatralny i autor sztuk, uznawany za ojca polskiego teatru; o matce będzie jeszcze mowa).

Bogusławski pisze, że zaraz po wstąpieniu na tron król zlecił, by zebrano ludzi, „którychby do sztuki scenicznéy ukształcić można było".

W tym zaczątku rodzimych zawodowych aktorów były też kobiety. Skąd się wywodziły? Jak nabyły odpowiednich umiejętności? Jaki był ich teatralny żywot?

Zapoznać się z tym nie jest łatwo, bo więcej uwagi w zapisach poświęcono mężczyznom, którzy oddali się tej profesji. To dziwne, zważywszy, jak bardzo aktorki zwykły rozpalać męskie namiętności. Szczęściem w Bibliotece Polskiej w Paryżu zachowały się donosy pewnego szpiega.

AGENT | Ubiegający się w 1764 r. o polski tron elektor saski Fryderyk Krystian Wettyn (syn Augusta III), po niefortunnej dla siebie elekcji zatrudnia w amba-

sadzie Saksonii w Warszawie urzędnika Johanna Heynego. Oficjalnie: inspektora do spraw umeblowania. Skrycie: agenta. Jego zadaniem jest donoszenie o poczynaniach Poniatowskiego. Elektor ma nadzieję, że uda mu się odzyskać polską koronę. Liczy, że oświeceniowy program reform nowego króla doprowadzi do rychłej kompromitacji i załamania się jego rządów.

Heyne ma w Warszawie liczne kontakty, w tym dostęp do środowiska teatralnego. Dzięki niemu wiadomo dziś, jak wyglądały prapoczątki naszej ojczystej sceny.

Na jej inaugurację wybrano sztukę Józefa Bielawskiego „Natręci".

„Będę się dowiadywał o aktorów i aktorki, kim są – donosi Heyne w październiku 1795 r. – Jedna z ostatnich, wcale nie najlepsza, to młoda Łowczyna, która uciekła od męża, rzeczywiście bezczelna flądra o jędrnych piersiach i pośladkach, jednakowo biegła w sztuce zalotności i zgrabnego przebierania nóżkami".

Ta pogardliwa charakterystyka, mająca być może sprawić satysfakcję adresatowi, odnosi się do Antoniny Prusinowskiej vel Pruszanowskiej, żony łowczego powiatu rzeczyckiego w województwie mińskim.

Nieco później agent przyznaje jednak, że w porównaniu z występami trup włoskich i francuskich, na które chodzi mało widzów, „na polskich komediach będzie tłoczniej, ponieważ wykosztowano się tutaj na piękne kobiety".

FRANCUSKI WZORZEC | W kolejnym doniesieniu Heyne informuje o przeznaczonej dla polskich aktorek teatralnej loży, skąd w celu nauki mają obserwować grę artystek z występującej w tym czasie francuskiej trupy. Dodaje, że polskim aktorkom wyznaczono roczną pensję w wysokości 200 złotych.

To wzorowanie się na Francuzach, choć Heyne nie wspomina o tym wprost, wybrzmiewa w przekazie jako zabieg całkiem chybiony. W ocenie agenta grana przez Francuzów komedia „pobudzała do wymiotów". „Panowie tutejsi – relacjonuje – spodziewali się, że z przybyciem francuskiej trupy będą wystawiane o wiele lepsze sztuki, tymczasem ta banda nic nie umie. Mieli, jak się tu określa, skowyczeć i wyć niczym psy i wilki".

O zachowaniu się „panów tutejszych" w teatralnych kuluarach donosi: „Pan Moszyński (...) był wczoraj na próbie i bez przerwy zabawiał się z pewną francuską tancerką, która poczynała sobie z nim nader swobodnie, jak gdyby z pewnych powodów chciała pokazać, że ma go na swoje rozkazy, i klepała go po policzkach, które świeciły jak księżyc w pełni".

I dalej: „Uważaliśmy stolnika Moszyńskiego (...) za nieco mądrzejszego, tymczasem okazało się publicznie, że będzie błaznem między komediantami".

INAUGURACJA | Premiera „Natrętów" odbywa się 19 listopada 1765 r. w Operalni (przejętej po saskich królach). Kończy ją imieninowa feta dla trzech faworyzowanych przez króla kobiet. Jedną z nich, księżnę Izabelę Czartoryską, ogłoszono w popremierowej deklamacji patronką otwarcia narodowej sceny.

W raportach Heynego znajduje się jedyny źródłowy ślad, że być może brała ona udział w przedstawieniu. „Do bandy polskich komediantów przyjęto również pewną Czartoryską – czytamy w raporcie. – Musiała jednak zmienić nazwisko na Czartyńska, inaczej nie otrzymałaby miejsca ani roli". Aktorski talent księżnej i jej teatralne zamiłowania były w tamtym czasie powszechnie znane.

W dniach poprzedzających premierę agent informuje też o próbie namówienia do występu kobiety, którą nazywa Barszczyną. Historycy domyślają się, że mogło chodzić o żonę mieszczanina Pawła Barssa – i matkę Franciszka, późniejszego warszawskiego prawnika, publicysty i emigracyjnego dyplomaty.

Namowy kończą się awanturą z Kazimierzem Poniatowskim, bratem króla. W furię wprawia go uwaga Barszczyny, że „skoro stan ten [aktorski] jest tak chwalebny i tyle na nim można zyskać, dobrze by go polecić najpierw pani Lullier". Ta złośliwość odnosiła się do aktualnej faworyty Kazimierza, Henrietty Lullier, intrygantki i kurtyzany. Agent pisze, że książę „byłby jej [Barszczynie] wymierzył policzek, nawet już się składał. W złości znieważył ją tylko ciężkimi słowami i wyszedł".

Zawód aktora był w tamtym czasie nisko oceniany, niekiedy wprost pogardzany, nawet wśród mieszczaństwa, a cóż dopiero między arystokracją. Jerzy Marcin Lubomirski, organizator tzw. redut (balów maskowych), ogłaszał na afiszach, że wstęp na nie będzie wzbroniony wszelkim podłym osobom, do których zaliczał m.in. lokajów i aktorów.

RECENZJE | Heyne nie był obecny na premierze „Natrętów", na przeszpiegi wysłał swego pasierba. Wedle jego relacji Pruszanowska, a także pretendująca wraz z nią do zawodu aktorki Wiktoria Leszczyńska, grały swoje role „wprawdzie nieco lękliwie, ale w gruncie rzeczy dobrze".

O Leszczyńskiej wiadomo, że była córką wileńskiego malarza Milewskiego, który po śmierci żony przeniósł się z rodziną do Nasielska. Wiktoria „w młodości przebyła kilka lat u Madame Podachowicz na respekcie" – informuje Heyne (ma na myśli pensję dla dziewcząt w Warszawie). Pisze, że wyszła potem za mąż, ale porzuciła małżonka. „Wtedy Bielawski zwerbował ją (...). Tylko więc ona obok pewnej, również od męża zbiegłej Łowczyny, są aktorkami w tej polskiej komedii, obydwie przystojne kobietki (...). Żeby im się przypodobać, niektórzy wchodzili do garderoby".

Opinię o rzekomej rozwiązłości aktorek agent powtarza w niedwuznacznej sugestii. „Na polskich komediach – pisze – dają przeważnie intrygi miłosne, które tak dokładnie bywają odtwarzane za pomocą ruchów i słów, że tylko materaców brakuje".

W zawoalowany sposób dodaje też informację o roli madame Podachowicz (tu w wersji: Potakowicz), która obsługuje aktorki w garderobie. Ma być jakoby ich stręczycielką.

Inna zupełnie była opinia opublikowana w zainicjonowanym przez króla i oświeceniowym z ducha piśmie „Monitor". Jeden z autorów pisze w nim o polskich widowiskach, że nie tylko bawią, ale spełniają też najpierwszy obowiązek, aby zabawa była przystojna, i żeby nauki z niej płynące prowadziły do cnoty.

Autor ten wypowiada się też w obronie pogardzanego statusu aktora. „Znalazłem – uznaje – że zbiór niepospolitych talentów potrzebny do formowania doskonałego Aktora upoważa też profesją".

MĘŻOWSKIE INTERWENCJE | Opisujący historię pierwszych polskich aktorek Piotr Morawski (w książce „Oświecenie. Przedstawienia") opatruje ją komentarzem, że „mogłaby służyć zbudowaniu narracji na temat emancypacyjnej roli teatru w życiu kobiet, które porzucają mężów i jadą ↦

BIBLIOTEKA NARODOWA POLONA

↦ do Warszawy, by tam zacząć życie na własny rachunek".

Ta chęć usamodzielnienia powiodła się jednak w obu przypadkach raczej połowicznie albo wcale.

W styczniu 1766 r. Heyne donosi: „Polskich komedii już tu nie grają, odprawiono bowiem aktorkę nazywaną Łowczyną, która potknęła się i jest w błogosławionym stanie. Tymczasem zastanawiają się nad wyszukaniem zastępczyni".

Być może z tą okolicznością związany jest incydent opisany przez pamiętnikarza Antoniego Magiera. Wspomina on, że w trakcie któregoś z powtórzeń „Natrętów" jedna z aktorek dostała nagle kolek i nie mogła dalej występować. „Jeden z dworskich hetmana Branickiego – pisze Magier – oświadczył, że całą tę komedię umie na pamięć (...) i jeśli pan pozwoli, zastąpi chorą aktorkę. (...) Natychmiast ubrano go w suknie kobiece, a że był śliczny chłopiec, wydawał się jak dziewczyna; odegrał rolę z powszechnym jak wówczas zwano aplauzem".

Mimo złośliwej satysfakcji Heynego, Pruszanowskiej nie odprawiono chyba definitywnie. Niektóre źródła podają, że występowała na narodowej scenie do 1767 r. Końcem jej kariery mogły być, wedle domysłu Morawskiego, uporczywe starania męża Tomasza.

Być może świadectwem tych starań jest list do Jerzego Augusta Mniszcha, którego nadawca pisze: „Córki od rodziców, żony od mężów do Warszawy odbiegają i na tę publiczną usługę swe cnoty, talenta i przymioty w aktorstwo ofiarują i jak mówią, że już tu dwóch mężów po swoje przyjechali żony, ale w odebraniu onych więcej mają i odnoszą trudności jak nadziei".

Korespondencja pochodzi z września 1765 r., wygląda więc na to, że musiał Pruszanowski dość długo nakłaniać żonę do powrotu.

PROCES | Półtora miesiąca po donosie o Łowczynie, Heyne informuje o procesie autora „Natrętów" z mężem Leszczyńskiej. Ta jest akurat w ciąży i wkrótce ma rodzić. Mąż oskarża Bielawskiego „o uprowadzenie poślubionej i nierozwiedzionej z nim małżonki, o zrobienie z niej komediantki, a co za tym idzie doprowadzenie do obecnej hańby".

Proces zainicjowała Leszczyńska, występując o unieważnienie małżeństwa. Sąd nakazał Bielawskiemu wpłatę 300 du-



PHOTO12 / BE&W

Król Stanisław August Poniatowski, obraz Marcella Bacciarellego, 1764 r.



PHOTO12 / BE&W

Agnieszka Truskolaska, obraz Marcella Bacciarellego, 1790 r.

katów depozytu, a w sprawę po stronie powódki angażuje się królewski dwór, m.in. Adam Kazimierz Czartoryski, teatroman, uczestnik tworzenia narodowej sceny, zajmujący się m.in. szkoleniem aktorów we francuskim stylu gry.

Czy przyczyną tego zaangażowania było to, aby Leszczyńska odzyskała swobodę i mogła już bez problemów oddać się teatrowi – dywaguje Morawski – czy raczej to, aby wspomóc Bielawskiego w chęci zachowania jej w roli kochanki?

Dywagacje kończy konkluzja: „Spod władzy mężów kobiety trafiały zatem pod władzę mężczyzn rządzących teatrem. Dotąd będące żonami prowincjonalnych łowczych czy sędziów, stawały się kochankami teatralnych modernizatorów, a zaszedłszy w ciążę – szły w odstawkę. Po nich pojawiały się przecież następne".

MATKA | Niepokoje wywołane wybuchem konfederacji barskiej w 1768 r. sprawiły, że król rozwiązał trupę teatralną. Nie był to czas sprzyjający propagowaniu oświeceniowych rozrywek.

Do ponownego organizowania ojczystej sceny przystąpiono dopiero po I rozbiorze. Wśród aktorek, które zaczęły się wtedy na niej pojawiać, wybiła się urodą i talentem Agnieszka Truskolaska. Jej mężem był aktor Tomasz Truskolaski, a kochankiem i protektorem Kazimierz Poniatowski.

Truskolaska pochodziła z mieszczańskiej rodziny Marunowskich. Była osobą niewykształconą. O źródle jej scenicznych sukcesów sądzono różnie. Bogusławski napisał o niej, że jej „naturalność żadnymi niepoparta prawidłami była (...) wrodzonym do sztuki dramatycznej talentem". W pamiętniku Anny Nakwaskiej z kolei wyczytać można: „Była kształcona przez dwie damy, których częste w Paryżu przebywanie z dobrą, lecz dawniejszą szkołą francuską dostatecznie obznajomiło".

Te dwie damy, księżna Izabela Czartoryska i jej bratowa Izabela Lubomirska, miały uczyć Truskolaską gry aktorskiej wzorowanej na grze sławnych wówczas paryskich aktorek. Byli też tacy, którzy źródła sukcesów dopatrywali się w romansach z możnymi protektorami.

Działalność teatralna Truskolaskiej nie ograniczała się do aktorstwa, w którym zyskiwała poklask w rolach amantek. Występowała też jako śpiewaczka, podejmowała się szkolenia młodych aktorów, funkcji kierownika trup teatralnych, a nawet w pełni samodzielnego przedsiębiorcy teatralnego.

Jako że u początków polskiego teatru wniosła w jego rozwój szczególny wkład, jeden ze współczesnych krytyków teatralnych wyraził opinię, że skoro Bogusławskiego uznaje się za ojca polskiego teatru, to za matkę uznać by należało Truskolaską.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Korzystałem m.in. z: „Teatr Narodowy 1765-1766. Raporty szpiega", przełożył i opracował Mieczysław Klimowicz, Wyd. Zakład Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski IFP UAM.

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP” 41/2025



FORREST GANDER, ZIEMIANIN

RAJ K RAJ / HINDUSTAN TIMES / GETTY IMAGES



Jak być blisko

JULIA FIEDORCZUK

Forrest Gander zwrócił moją uwagę na Ziemię i zachodzące w niej procesy – zarazem piękne i groźne. Jemu zawdzięczam namysł nad przepastną, mineralną pamięcią, w której zapisują się nasze ulotne historie.

Lubię mówić, że poznałam Forresta Gandera pod ziemią. Miało to miejsce w 2009 r. podczas festiwalu literackiego Vilenica w Słowenii. Położona niedaleko granicy z Włochami Vilenica to jaskinia krasowa – o długości ok. 1300 metrów – w której odbywają się najważniejsze festiwalowe wydarzenia, w tym wręczenie prestiżowej nagrody dla autora lub autorki z Europy Środkowej (w 2009 r. otrzymał ją Claudio Magris).

Właśnie tam, w lodowatej, podziemnej komnacie, do której prowadzą strome kamienne schody, pierwszy raz zetknęłam się z twórczością kalifornijskiego poety, który z biegiem lat miał stać się moim przyjacielem – i jednym z najważniejszych nauczycieli.

Wobec świata

Wiersze, które zaprezentował tamtego wieczora, były inne od wszystkiego, co znałam, także od tego nurtu poezji amerykańskiej, który mocno wówczas oddziaływał na poezję w Polsce. Tak jak lubiani przez nas poeci nowojorscy, Gander eksperymentował z językiem, ale robił to inaczej, interesowało go nie tyle ironiczne

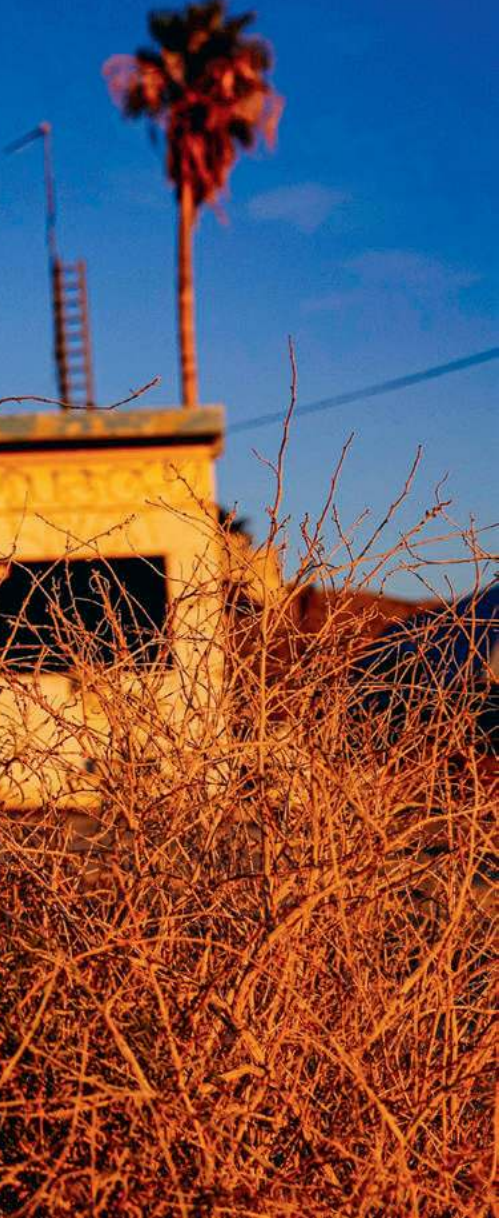

FLYSTOCK / SHUTTERSTOCK

Opuszczona stacja benzynowa na pustyni Mojave w Kalifornii

podważanie znaczeń, co badanie warunków ich powstawania – jego poezja była i jest osadzona w zmysłowym doświadczeniu świata, przy czym wgląd uzyskany w wyniku takiego doświadczenia nie jest jedynie suplementem racjonalnego poznania, a stanowi odrębny, trudniej uchwytny rodzaj wiedzy.

Duże wrażenie wywarła na mnie także postawa poety, wolna od nonszalancji, do której przyzwyczaiły mnie rodzime imprezy poetyckie przełomu wieków. Gander czytał uważnie, wręcz starannie, całym sobą sygnalizował otwartość i potrzebę kontaktu. Miało to na nas, odbiorców, wyraźny wpływ; między poetą a słuchającymi zawiązywał się pakt o wzajemnym zaufaniu i szacunku.

Wiele lat później, kiedy występowaliśmy już razem (ja w roli tłumaczki na polski), w odpowiedzi na zadane przez kogoś pytanie, którego treści już nie pamiętam, Gander odpowiedział, że więcej dowiemy się o człowieku obserwując jego zachowanie wobec innych istot, niż z wypowiadanych słów, a zwłaszcza z autodeklaracji. Pomyślałam wtedy, że akurat w przypadku Gandera zachodzi rzadka spójność między postawą wobec świata a tym, jak mówi i pisze.

Czas planety

Fizyczne okoliczności naszego pierwszego spotkania są o tyle istotne, że to właśnie Gander nauczył mnie zwracać uwagę na geologiczną Ziemię, zachodzące w niej procesy – piękne i groźne – i przepastną, mineralną pamięć, w której zapisują się także i nasze ulotne historie. Poeta studiował geologię i początkowo to z tą dziedziną wiązał swoją przyszłość, ostatecznie zdecydował się jednak poświęcić literaturze.

Otwarcie mówi, że podjął tę decyzję podczas ciężkiej choroby, która pomogła mu lepiej zrozumieć własne priorytety: „Studiowałem geologię, rozważałem nawet pisanie doktoratu z paleontologii, ale wtedy ciemny anioł o oczach łani dotknął mojego barku i lekarz powiedział: czerniak trzeciego stopnia, działamy. W mgnieniu oka straciłem śledzionę, kilka węzłów chłonnych, tyle ciała, ile zmieści się w pysku niedźwiedzia, i prostokąt skóry o wymiarach broszurowej książki wydawnictwa City Lights".

Leżąc w łóżku, skazany na słowa, zaczął wyobrażać sobie „inny sposób kochania ziemi". Tym sposobem była odtąd poezja. Zadebiutował w 1988 r. tomem „Rush to the Lake" (ang. Pędź nad jezioro), w kolejnych latach wydał m.in. „Science & Steepleflower" (Nauka i kwiat tawuły), „Eye Against Eye" (Oko w oko), „Core Samples from the World" (Próbki z Ziemi), „Be With" („Bądź blisko") i „Twice Alive" („Podwojone życie"), z których dwa ostatnie ukazały się już po polsku. Dużo podróżował, spędził sporo czasu w Meksyku i Japonii (tłumaczy z hiszpańskiego i japońskiego), wykładał literaturę na kilku uniwersytetach, w tym, w latach 1997-2018, na Uniwersytecie Browna w Providence (Rhode Island).

Wiedza naukowa i fachowy język przenikają do wierszy Gandera, ale to nie umniejsza siły ich poetyckiego rażenia. Odwrotnie: myślę, że obecna w tej twórczości perspektywa geologiczna bardzo mocno działa na wyobraźnię, uruchamiając uśpiony kanał komunikacji między naszymi kruchymi umysłami a tajemniczym, ogromnym czasem planety, prowadząc do „niewymiernych wglądów", które są właściwym obszarem działania poezji. W każdym razie takie było moje wrażenie, kiedy dekadę temu czytałam „Core Samples from the World" – książkę w każdym sensie przełomową – na pustej nadbałtyckiej plaży.

Głęboka lektura

Tytułowa próbka – rdzeń wiertniczy – to walcowaty fragment skały lub gruntu służący do przeprowadzenia analizy geologicznej skrawka Ziemi. Ale pobierane przez poetę próbki dotyczą świata, a więc także struktur i krajobrazów kulturowych. Książka składa się z czterech części, z których każda skupia się na innym rejonie geograficznym (Chiny, Meksyk, Bośnia oraz Chile). Autor podejmuje się roli tłumacza, uważnie wsłuchuje się w rozmaite głosy, pragnie „pożyczyć oczy innego języka", ale ma przy tym głęboką świadomość własnego uprzywilejowania.

„Core Samples" to – nawiązując do tytułu słynnej książki Elizabeth Bishop – „pytania w kwestii podróży", ale także eksperyment formalny (w kolejnych częściach powtarzają się te same elementy, na przykład *haibun*, czyli refleksyjna proza przeplatana wierszami haiku) i ćwiczenie z pogłębionej percepcji. Pisano, że książka ta pokazuje, czym może być poezja w XXI wieku.

Trudno to wytłumaczyć, ale żmudna lektura tego gęstego tomu sprawiła, że zaczęłam intensywniej doświadczać tego, co mnie wtedy otaczało – jesiennego morza wyrzucającego okruchy bursztynów, wędrujących w posezonowej ciszy wydm. Od tamtej pory zaczęłam myśleć o głębokiej lekturze jako doświadczeniu fundamentalnym, które w naszych warunkach cywilizacyjnych staje się, niestety, krytycznie zagrożone.

Silnie związany z naturo-kulturowymi krajobrazami Kalifornii, a w szczególności z pustynią Mojave, gdzie urodził się i wychował, Gander podkreśla wpływ konkretnego środowiska na ludzkie procesy kognitywne. Nie myślimy w pojedynkę, w oderwaniu od innych istot ↦

↦ i miejsc, a tym bardziej – niczego sami nie tworzymy.

Autor „Podwojonego życia" często realizuje wspólne projekty z innymi twórcami i twórczyniami, na przykład z fotografami i fotografkami (m.in. Sally Mann, Graciela Iturbide, Lucas Foglia, Michael Flomen), ale współpracował także z awangardowym japońskim duetem tanecznym Eiko & Koma (tworzą niezwykle powolne, medytacyjne choreografie) czy rzeźbiarką Ashwini Bhat. Praktyka twórczego współdziałania odzwierciedla przekonanie poety o relacyjnej naturze każdej tożsamości. „Któż kiedykolwiek był wyłącznie sobą?" – to pytanie pada w jednym z wierszy z tomu „Bądź blisko". Odpowiedź, której się domyślamy, brzmi: „nikt". Nikt nigdy nie był tylko sobą, bo istniejemy, czujemy, tworzymy i znikamy razem z innymi – ludźmi i nie.

Dokąd wędrują góry

W rozmowie z Jorie Graham, opublikowanej niedawno przez „Los Angeles Review of Books", Gander opowiada o sile oddziaływania pustyni, którą poznawał już we wczesnym dzieciństwie wraz z matką, miłośniczką dzikiej przyrody, samotnie wychowującą trójkę dzieci: „odkryłem, że pustynia w szczególny sposób wyostrza uwagę, że uparte, osądzające myśli cichną pod wpływem ogromu i pozornej monotonii krajobrazu, maleje poczucie własnej istotności, a ciało i umysł stają się jednym narządem do słuchania".

Gander konsekwentnie pisze z perspektywy niewielkiej „własnej istotności", zaciekawiony raczej światem niż samym sobą, w zgodzie z myślą ważnego prekursora – George'a Oppena: „ja nie jest zagadką, zagadką jest to / że mamy na czym stanąć". To wspaniała myśl. Zagadką jest grunt pod nogami, który może zbyt pochopnie bierzemy za pewnik, skoro „błękitne góry stale wędrują", jak to ujął inny kalifornijski poeta, Gary Snyder.

Taka perspektywa wymusza dystans wobec siebie, ale także do „ludzkości". W miarę przyśpieszającego wyniszczania systemów podtrzymujących życie na Ziemi (w tym systemu klimatycznego), cywilizacja oparta na ekstrakcji odciska coraz mocniejszy ślad na wszystkich aspektach planetarnego trwania, a mimo to procesy geologiczne w znacznej mierze pozostają poza naszą kontrolą. „Ludzkość" to oczywiście byt wysoce abstrakcyjny, nie prezentujemy identycznych postaw, nie wszyscy w równym stopniu odpowiadamy za ruinę świata i nie wszystkich jednakowo dotykają kryzysy antropocenu, jeśli jednak założymy, że jakaś kolektywna ludzka sprawczość istnieje, to z pewnością nie sięga tak daleko, jak się niektórym z „nas" wydaje. Paradoksalnie, ta myśl przynosi mi ulgę.

> W obecnych warunkach cywilizacyjnych głęboka lektura – jako doświadczenie fundamentalne – znajduje się w stanie krytycznego zagrożenia.

Poza mapą

12 stycznia 2016 r. niespodziewanie zmarła pierwsza żona Forresta Gandera, poetka Carolyn D. Wright. To tragiczne zdarzenie zapoczątkowało czas utraty: w kolejnych latach odeszły także matka i siostra poety. To właśnie z żałoby wypływają wiersze zebrane w „Bądź blisko" (2018, wydanie polskie: 2021), hipnotyzującym tomie uhonorowanym w 2019 r. nagrodą Pulitzera.

Oryginalny tytuł książki – „be with" – to fragment jakiejś notatki pozostawionej przez Carolyn; zasadniczo nieprzetłumaczalny, wyraża pragnienie lub nakaz bycia z... kim lub czym? Właśnie tu tkwi sedno sprawy, bo to coś – ten ktoś – jest już nieobecny. Jak towarzyszyć komuś, kogo nie ma? Moja wersja tytułu – „bądź blisko" – nie oddaje niesamowitości oryginału, ale nie miałam i wciąż nie mam lepszego pomysłu. *Be with:* zbliż się do tego, czego ci brakuje – zamieszkaj w tym braku. To bolesne i pełne paradoksów doświadczenie podprowadza poetę do granic języka:

Kiedy odgłosy mojego bólu wysypoały się
poza język
Jak dryfującą chmara pszczół.
Kiedy zapadła gadatliwa cisza, w której
osaczony przez pszczoły straciłem
przytomność.
Kiedy i dla mnie nie było już żadnego
wyjścia.
Kiedy trwałem w połowicznej śpiączce
śniąc o czuwaniu (...)

Książkę zamyka cykl zatytułowany „Strefa przybrzeżna". To trudne, gęste wiersze inspirowane fotografiami Michaela Flomena. Ten kanadyjski artysta nie używa aparatu fotograficznego, zamiast tego umieszcza materiał światłoczuły (może to być duża płachta papieru fotograficznego) bezpośrednio w przyrodzie. Pracuje nocą, wykorzystując naturalne źródła światła, na przykład gwiazdy lub świetliki; właściwie to one „wywołują" obrazy.

Czasem poddaje papier działaniu deszczu lub rosy, albo zanurza w strumieniu lub innym zbiorniku wodnym. W efekcie powstają oniryczne pejzaże, jakby odsłaniał się ukryty wymiar naszej egzystencji, zarazem fizyczny i metafizyczny. Nieokreśloność zobrazowanych „miejsc" fascynuje Gandera i właśnie tam – poza mapą – poeta tropi ślady zmarłej ukochanej, jak Dante wędrujący w zaświatach w poszukiwaniu Beatrycze. Żałoba staje się w tej niezwykłej książce narzędziem poznania – samego siebie, ale i świata, naszych intymnych i bolesnych uwikłań:

tymczasem dryfują
cyjanki z chmur
do rzek i w tym także
daje się dostrzec
wyobrażenie

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 41/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

człowieka,
jeszcze jeden intymnie
śmiercionośny gest
naszego współistnienia.

Pięć krajobrazów

Także w kolejnej książce, czyli „Podwojonym życiu" (2021, polskie wydanie 2023) pamięć o tym, co utracone na przestrzeni jednego życia, przeplata się z żałobą po wymierającym świecie. Dodatkowo jednak pojawia się wątek nowego życia – i nowej miłości, jakimś cudem nadal pośród zgliszczy możliwej. Wyjątkowo misternie zaprojektowana książka czerpie inspirację z wczesnoklasycznej poezji tamilskiej określanej jako *sangam.* Słowo zostało prawdopodobnie zapożyczone z tradycji buddyjskiej lub dżinijskiej do opisania na poły legendarnych wspólnot poetyckich, do których mieli należeć także mędrcy i bogowie (według niektórych legend, spora część literatury stworzonej przez szlachetne wspólnoty zaginęła podczas potopu).

Gandera szczególnie interesuje podtyp tej poezji znany jako *akam.* Jest to poezja miłosna i liryczna, skupiona na przeżyciach bohaterów raczej niż na ich zewnętrznych działaniach. Kluczową rolę odgrywa w niej przyroda. W starotamilskiej poezji po prostu nie da się mówić o miłości (tęsknocie, pragnieniu, spełnieniu, opuszczeniu itd.) bez uwzględnienia elementów otaczającej natury.

W poezji *akam* pojawia się pięć podstawowych krajobrazów. Są to: las, łąka, góry, morze i pustynia. Gander zauważył, że za pomocą tych pięciu rodzajów przestrzeni da się „zmapować" także Kalifornię. Cykl zatytułowany „Akustyka sanghi" prowadzi przez te przestrzenie, opowiadając jednocześnie o miłości i stracie. Wędrujemy zatem przez zmysłowy las „z koronkowymi stułami ramaliny" i przez las po pożarze:

Cienie cieni bez koron
kikuty zwęglonych pni,
posusz – zatrzymany wewnętrzny
pęd (...)
(...) co
zostało z lasu, dzieje się
w wołaczu. Spopielone
zdania w języku, z którego
uleciało wszystko, co trywialne
wszystko, co trywialne dla ognia (...)

Podtytuł „Podwojonego życia" brzmi: „ekologia bliskości". Wzorca takiej ekologii dostarczają porosty, intrygujące byty składające się z co najmniej dwóch połączonych elementów (grzybów i alg lub sinic). W wyniku symbiotycznego aliansu organizmy wchodzące w skład porostu ulegają przeobrażeniu i już nigdy nie mogą wrócić do punktu wyjścia.

Gander odnotowuje, że natura ludzkiej intymności jest podobna: bliskie relacje z innymi – ludźmi i nie – zmieniają nas, odsłaniając zawsze już i tak złożoną naturę naszej tożsamości. Nasze ciała zawierają przecież ogromną ilość mikroorganizmów („któż kiedykolwiek był wyłącznie sobą?"), nasz język pochodzi od innych ludzi, nawet nasze dumne „ja" zaczyna się od cudzego spojrzenia – i od imienia, które nadaje nam ktoś inny. W „Podwojonym życiu" liczne kalifornijskie porosty (poeta badał je wraz z mykolożką Anne Pringle) towarzyszą myśleniu – nie jest to książka o porostach, lecz napisana wraz z nimi, blisko nich, tuż-tuż.

Znak zapytania

„Pisanie w moim przypadku polega zasadniczo na słuchaniu", deklaruje poeta. Twórczość Gandera rejestruje różnorakie rytmy i rozmowy toczące się bez ustanku na naszej planecie (ekolog akustyczny Gordon Hempton opisuje ziemię jako „napędzaną przez słońce szafę grającą"). Poezja nie wygłasza żadnych tez, nikogo nie poucza, nie wskazuje właściwej drogi. Jest za to ćwiczeniem z intymności, próbą życia w potłuczonym świecie.

Gander pisze: „cierniczka troskliwa i jej stadko nimf na zielonej łodydze (...) chłopiec na psim legowisku, zwinięty w znak zapytania, światło gwiazdy zaginające się tuż przy tarczy słońca, kawa z posmakiem wiciokrzewu, laguny węglowej zawiesiny w opuszczonej odkrywce, w zagranicznych gazetach twarze tych, których zbombardowaliśmy (...): to nieprzezwyciężone a priori moich wierszy". Lista jest znacznie dłuższa, potencjalnie nieskończona, dopóki „świat / pasuje do żywych zmysłów", przynajmniej tyle możemy zrobić, być blisko.

© JULIA FIEDORCZUK

Wydawnictwo Czarne
oraz
„Tygodnik Powszechny"
ogłaszają

KONKURS NA OPOWIADANIE



Nagroda główna:

publikacja w „Tygodniku Powszechnym"!

Konkurs zapowiada minifestiwal literacki:

Temat: Opowiadania. Lekcja 3

29 LISTOPADA
Księgarnia Czarnego w Warszawie

Program festiwalu oraz regulamin konkursu dostępne na czarne.com.pl

Partner projektu: Warszawa

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Muszę pomyśleć

ALEJANDRO ZAMBRA, CHILIJSKI PISARZ:

Chcę języka, który zdejmuje ordery. Języka, w którym mogę przytulić syna. Szukam w słowach drżenia, którego algorytm nie rozpozna.

MARCIN BEŁZA: Kiedy zaczął Pan pisać?

ALEJANDRO ZAMBRA: Dorastałem w domu, w którym książek było niewiele, więc połykałem je łapczywie, a następnie – gdy biblioteka się kończyła – zaczynałem tworzyć własne. Pisanie pojawiło się wówczas, gdy język okazał się jedynym miejscem, w którym mogę równocześnie stawiać pytania i szukać na nie odpowiedzi. Każdy tekst to laboratorium niepewności: zaczynam od dręczącego zdania „coś tu nie daje mi spokoju", a kończę, kiedy ten niepokój krystalizuje się w formę.

Czy miejsca urodzenia i zamieszkania mają dla Pana w tym wszystkim znaczenie?

Sam nieustannie zadaję sobie to pytanie. Mieszkam w Meksyku od ośmiu lat, mam siedmioletniego syna i meksykańską żonę, pisarkę Jasminę Barrerę. Mój syn jest jednocześnie Chilijczykiem i Meksykaninem, ale mówi jak Meksykanin. Żyję w bardzo meksykańskim kontekście. Dlatego czuję, że, paradoksalnie, mój chilijski jest lepszy, głębszy, dzięki temu, że mieszkam z dala od Chile.

Jest w tym paradoks i jakaś tajemnica języka – mój chilijski rozkwitł, bo został w cudowny sposób „skażony" meksykańskim hiszpańskim. Co to znaczy być chilijskim pisarzem? Cóż, być może spędzę całe życie, próbując odpowiedzieć na to pytanie. Zawsze pisałem po to, aby wyostrzyć niewyraźne obrazy – tożsamości, historii, ojcostwa. Przez pisanie chcę także zrozumieć władzę, jej wpływ na nas – również ten, który ujawnia się w intymnych, rodzinnych relacjach. We wszystkich moich książkach powraca spór o legitymizację i autorytet.

Dorastałem wierząc, że historia należy do naszych rodziców, a my jesteśmy statystami. Dopiero później zrozumiałem, że brak głosu też jest doświadczeniem i że trzeba je opowiedzieć. Widzę to jako pewną formę literackiej autokrytyki, która pozwala mi mówić o tym, co nas paraliżuje: o napięciu między klasami społecznymi, pokoleniowości, ojcostwie jako polu negocjacji władzy i języka.

Chile uporało się ze swoją mroczną przeszłością?

Cokolwiek mówimy o Chile, nieważne czy w Chile, czy za granicą, bardzo szybko pojawia się słowo „dyktatura", a minęło już ponad pięćdziesiąt lat. To nieustannie przenikające nas widmo. A widmo działa jak promieniowanie – jest niewidoczne, lecz przenika wszystkie nasze tkanki, także społeczne, rzecz jasna. Nie chcę i nie mogę uciekać od przeszłości, bo nie chcę, żeby moje książki osunęły się w fałsz. A jednak, co za paradoks! Literatura jest formą wyzwolenia, bo przeformułowuje narzucone narracje.

Kiedy piszę o ojcostwie, to tak naprawdę piszę o władzy, także w perspektywie dyktatury, bo pisząc o ojcostwie, tak naprawdę piszę o odzyskaniu głosu – o możliwości powiedzenia synowi: „ja też się boję", podczas gdy w czasach Pinocheta takie zdanie, wypowiedziane przez ojca do syna, było nie do pomyślenia.

Literatura jako spór?

Tak, wierzę, że literatura jest z natury miejscem sporu. Książki dyskutują między sobą, a my – czytelnicy i autorzy – podtrzymujemy ten dialog. W Chile ta rozmowa nie pozwala zamknąć przeszłości. Podam przykład: wciąż żyjemy pod konstytucją Pinocheta, której dotąd nie udało się zmienić, mimo kilku – mocno rezonujących społecznie i politycznie – prób. To, że ten temat nie znika z agendy, jest także zasługą literatury. Tekst utrzymuje pęknięcie w otwarciu, nie pozwala władzy narzucić uległości.

W „Instituto Nacional", jednym z opowiadań zawartych w wydanym niedawno w Polsce zbiorze „Moje dokumenty", opisuje Pan opresyjny system szkolny czasu dyktatury Pinocheta.

To opowiadanie autobiograficzne. W Instituto uczono nas jednocześnie konkurencji i posłuszeństwa – toksycznej mieszanki wybuchowej. Byliśmy pod presją dyskursu „kapitalistycznego sukcesu", a zarazem żyliśmy w transformacyjnym zawieszeniu. Myliliśmy własną młodość z rzekomo odzyskaną demokracją: pozwalano nam palić papierosy, wypić kieliszek wina, wracać późno, więc łączyliśmy te drobne swobody z „wolnością" kraju.

Później, u kresu dojrzewania, boleśnie zrozumieliśmy, że tylko nasza nastoletniość była prawdą, a demokracja kłamstwem. Literatura była wtedy czymś w rodzaju oddechu, ale też orientowała nas w tej zafałszowanej politycznej rzeczywistości, pozwalała ukierunkować nasz sprzeciw, ugruntować opór.

W „Chilijskim poecie" zajmuje się Pan tematem ojcostwa, archetypicznym źródłem ojczyźnianych mitów. Potrzebujemy nowych narracji o męskości?

Oczywiście. Świat nie zmienił się cudownie (zresztą w wielu sprawach cofa się o sto lat), ale są obszary, w których możemy zadawać pytania. Na przykład: „być czy nie być ojcem?", „co oznacza rezygnacja z władzy na rzecz czułości?".

Kiedyś uczono nas, jak być „mężczyznami", lecz nikt nie wpadł na to, by uczyć, jak być ojcami! A tego trzeba się nauczyć. W moich książkach zastanawiam się, czy potrafimy wychować dziecko bez powielania opresyjnych wzorców, w których dzisiejsi ojcowie byli zanurzeni jako chłopcy. W tym sensie bliżej mi do „antypoezji" Nicanora Parry niż do pomnikowego Pablo Nerudy: chcę ję-

zyka, który zdejmuje ordery i rozmawia; języka, w którym mogę przytulić syna, zamienić „władzę rodzicielską” w uważną relację.

Literatura chilijska jest znana dzięki Gabrieli Mistral, ale przede wszystkim dzięki wspomnianemu Pablo Nerudzie czy Robertowi Bolaño. Wszyscy byli dla Pana ważni?

Cóż, Roberto Bolaño był dla mnie i całego mojego pokolenia rewolucją. Po raz pierwszy przeczytałem go, gdy miałem dziewiętnaście lat lub nieco później. Prawda jest taka, że jego literatura otworzyła nas na prozę, bo wcześniej skupialiśmy się wyłącznie na poezji – nie tylko chilijskiej. Oczywiście, poezja nie była prawdziwie popularna, to znaczy czytana przez wszystkich, ale była jednocześnie najważniejszą rzeczą, jaką dał nasz kraj.

Jeśli zapytasz Chilijczyka, czy w Chile jest dobra poezja, odpowie oczywiście, że tak, że jest to wspaniała poezja, poezja noblistów [Mistral i Neruda są laureatami Literackiej Nagrody Nobla – przyp. MB] – nawet jeśli nie czyta poezji i nie interesuje się poezją, potrafi o niej mówić. Gabriela Mistral i Pablo Neruda zawsze byli częścią naszej edukacji, choć wielu Chilijczyków nie zna ich twórczości, a jedynie nazwiska. Neruda, zanim objawił się nam Bolaño, był supergwiazdą, ponieważ był jednym z tych symboli, których dyktatura nie zdołała stłumić.

Kiedy byliśmy dziećmi i jakiś nieznośny kolega widział nas piszących wiersze, nazywał nas Nerudą. To było stygmatyzujące przezwisko, które nosiły wszystkie piszące dzieci, a było nas wtedy naprawdę wielu. Jednak bardzo szybko zostawiliśmy Nerudę za sobą i zaczęliśmy szukać innych pisarzy. No i właśnie wtedy pojawił się, jak grom z jasnego nieba, Bolaño. Nie wiem zbyt wiele o literaturze polskiej, ↦

Alejandro Zambra

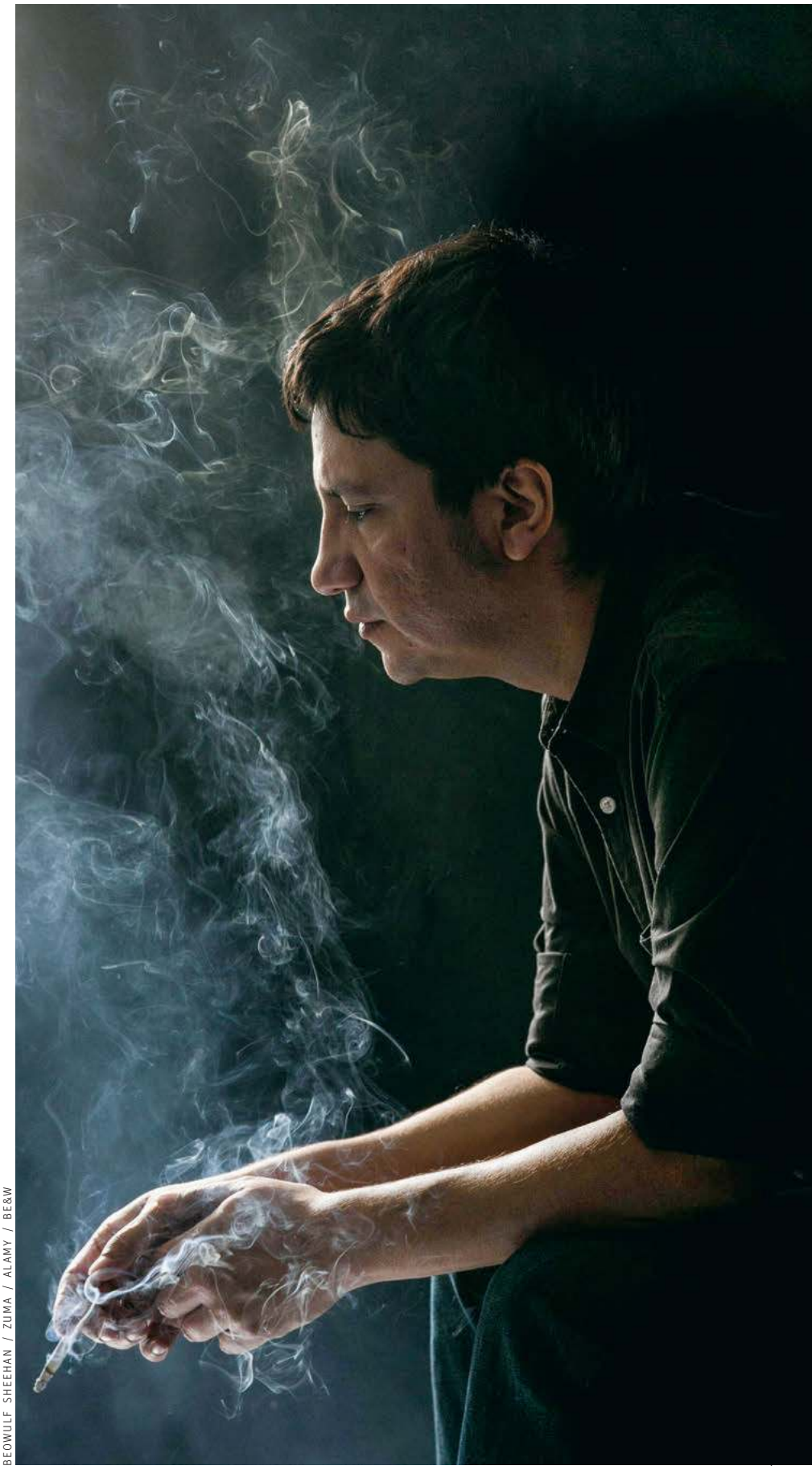

BEOWULF SHEEHAN / ZUMA / ALAMY / BE&W

↦ ale znam świetnie Gombrowicza. Bolaño bez wątpienia czytał Gombrowicza, bo szukał, jeśli mogę tak powiedzieć, antypowagi, „antyzadęcia". I właśnie ta poetyka, ten sposób opisu rzeczywistości, porwał nas bez reszty.

Mam małą teorię, której nigdy nie udało mi się udowodnić, że dla osób jednojęzycznych, takich jak ja – cóż, mówię po angielsku, ale w rzeczywistości jestem jednojęzyczny – literatura jest drugim językiem, którego się nauczyliśmy. I ten drugi język był tym, co zaprowadziło nas do wielu dzieł literackich napisanych w innych krajach. To wydaje mi się szczególnie ważne – odkryliśmy, że literatura jest uniwersalnym językiem. Brzmi to może jak banał, ale dla nas wtedy było to żywym doświadczeniem, jakby ktoś otworzył okna.

Oczywiście nie porzuciliśmy poezji. Czytaliśmy na przykład Wisławę Szymborską i Zbigniewa Herberta, ale interesowała nas sama poezja, a nie język czy kultura, w której powstawała – to mam na myśli, mówiąc, że literatura jest uniwersalnym językiem. Często przywołuję w rozmowach Szymborską, a jest ona autorką bardzo często czytaną w języku hiszpańskim, bo jej twórczość także jest daleka od patosu, jest antypatosem.

Jak Gombrowicz?

„Ferdydurke" przeczytałem w przekładzie Sergia Pitola, dzięki któremu zresztą mamy w hiszpańskim także Brunona Schulza, i poczułem, że bunt przeciw formie może być równie twórczy jak sama forma. Gombrowicz mówi, że „dorastanie" to sztuka nieustannego wyślizgiwania się definicjom. Ta myśl brzmiała w uszach chilijskiego chłopaka jak bluźnierstwo, lecz także jak obietnica. Gdy teraz mieszkam w Meksyku, odkryłem na nowo gombrowiczowską ironię w codziennym latynoamerykańskim życiu: w naszym prowincjonalnym kompleksie wobec centrum, w maskach, które zakładamy z powodu kolonialnej historii. Czyż nie jest to temat Chile – kraju, który długo chciał być „europejski", a zapominał słuchać Mapuchów i Aymarów [rdzennej ludności Chile – przyp. MB]?

Aby zakończyć odpowiedź na pana pytanie, powiem tak: bogate dziedzictwo chilijskiej literatury nie jest i nigdy nie było dla mnie ciężarem. Czuję wyłącznie wdzięczność.

„Chilijski poeta" to rzeczywiście pochwała poezji.

Bo poezja to moja młodość. Lubimy wracać do młodości, nie chodzi o nostalgię. Przyglądanie się swojej młodości to przyglądanie się sobie tu i teraz, choćby naszym relacjom z dzieckiem. Ta miłość do poezji była jak miłość do nieznanego zespołu, nie wiem, jak to wytłumaczyć. Lubisz jakiś zespół rockowy, którego nikt nie zna, więc musisz wyjść i poszukać fanów tego zespołu, musisz iść do sąsiedniej wioski, do sąsiedniego miasta i poszukać tych dziwaków, którzy też słuchają tego zespołu.

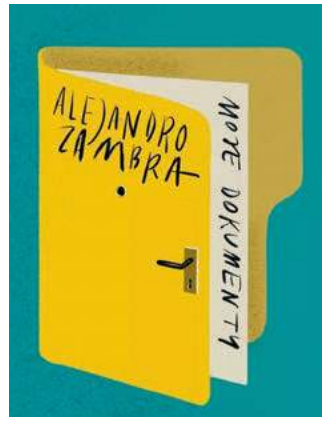

Alejandro Zambra
MOJE DOKUMENTY
przeł. Katarzyna Okrasko, Filtry, Warszawa 2025

I tak tworzyliśmy naszą przestrzeń społeczną – szukaliśmy się przez poezję. Zależało ci na tym, żeby zobaczyć, jak pisze inny, czy należy do twojej klasy społecznej, czy nie. Gdy byłem chłopcem, interesowałem się poezją, którą pisał mój kolega z ławki, ale też poezją starożytną, klasykami, wielkimi współczesnymi poetami. Słowem – interesowała mnie cała poezja, bez hierarchii, bez względu na język, styl czy jakość. To było pragnienie, pożądanie, którego można doświadczyć wyłącznie w młodości.

Powiedział Pan, że „fikcja jest sposobem na zniszczenie iluzji jednej, uproszczonej, oficjalnej i oswojonej prawdy". Czy wobec inflacji danych i taniej internetowej narracji fikcja literacka może odgrywać istotną rolę?

Literatura zmaga się z podejrzeniem o swoją nieistotność, czyli z przekonaniem, że nie ma wpływu na świat. Ja uważam, że jest inaczej, że literatura, a szerzej opowieści konstytuują świat i nasze w nim umocowanie.

Dlaczego?

Ponieważ nas wypełnia, osadza w historii, uświadamia nam, kim jesteśmy, pozwala nam oczyścić i kalibrować więzi, relacje między rodziną, przyjaciółmi, społecznością.

Uważam, że ten obecny świat jest okropny, to świat gówien, świat, w którym są toczone wciąż te same wojny, wypełniony nieczułością. I tych trzech kretynów, którzy podejmują wszystkie decyzje, ci właściciele aplikacji – próbują zawładnąć naszą wolnością, naszymi myślami... W tym kontekście jestem głęboko pesymistyczny. Ale wierzę, głęboko wierzę w praktyki, które podejmujemy jako czytelnicy i pisarze, bo budujemy inną przestrzeń. Dzięki literaturze możemy komunikować się w autentyczny sposób. Osoba, która czyta powieść liczącą 500 stron lub tomik wierszy, znajduje się w przestrzeni, która pozwala odzyskać i chronić podmiotowość – tylko narracje mają taką moc.

Nadal widzę użyteczność pisania, dlatego poświęciłem temu moje życie. Jest to osobliwe, może nawet szalone, żeby zdecydować się wejść na terytorium tego, co pozornie bezużyteczne, a jednak literatura jest tylko pozornie bezużyteczna.

Żyjemy w świecie, który nie pozwala nam oddychać, w którym wszystko musi przynosić zyski, wszystko musi być produktywne. Literatura w jakiś tajemniczy, trudno uchwytny sposób wprowadza coś, co nie daje nas zdominować, a z drugiej strony potrafi wymknąć się władzy. Wybacz mi patos, ale literatura jest przestrzenią, w której możliwy jest oddech. Jest buntem, oporem.

Jonathan Franzen powiedział kiedyś, że nie sposób napisać dobrej powieści na komputerze podłączonym do internetu.

Dla mnie, i mam nadzieję nie tylko dla mnie, internet się skończył. Wszystko, co pojawia się na ekranie, nie jest już godne

zaufania. Istnieje bardzo oczywisty i wyraźny przesyt. Książka, moim zdaniem, staje się coraz bardziej narzędziem oporu i coraz częściej jest jedynym wiarygodnym źródłem wiedzy na określony temat, której to wiedzy nie sposób znaleźć w internecie, a nawet jeśli, to nie sposób temu zaufać. Dotyczy to także, a może przede wszystkim, fikcji.

Krążą apokryficzne dzieła dowolnego pisarza, są w internecie moje wiersze, których nigdy nie napisałem, a jedynym, który wie, że nie napisał tych wierszy, jestem ja. Więc czego oni chcą? Żebyśmy stali się tymi, którzy wyjaśniają wszystko w mediach społecznościowych?

Wyłączyłem internet. Ale włączam go teraz, cieszę się, że mogę z tobą porozmawiać; świadomie korzystam z tego, co mam. Człowiek staje się bliższy swojej społeczności wyłącznie w książce, w sztuce teatralnej. Tam: w teatrze, sztuce – buzuje opór.

> Uczono nas, jak być „mężczyznami", lecz nikt nie wpadł na to, by uczyć nas, jak być ojcami! A tego trzeba się nauczyć.

Myślę, że i tak zdefiniujemy na nowo miejsce książki w kulturze, bo nie bez powodu ona nie umarła. Jak? Trudno mi powiedzieć. Jednak nie bez powodu nadal buduje się kulturę literacką. Obawiam się, że nadchodzi świat skoncentrowanej władzy, w której książka znowu będzie niebezpieczna – musimy pracować, pisać i czytać, być przygotowani.

Literatura uczy nas, że sens rodzi się ze spotkania – z żywym, z umarłym, z językiem, z ciszą. Ambiwalencja bywa trudna w epoce algorytmów, które żądają jednoznacznych danych, ale to właśnie w niepewności pulsuje wolność. Utopia? Być może, lecz utopia jest potrzebna jak powietrze – inaczej oddychamy kalkulacją.

Sztuczna inteligencja potrafi już „pisać", zamazuje się granica między tym, co maszynowe, a tym, co ludzkie. Jaki ma to wpływ na Pana – nie tylko pisarza, ale też ojca?

Jako autor pozostaję wierny notesowi i ołówkowi, bo szukam w słowach drżenia, którego algorytm nie rozpozna. Porównuję to do muzyki: można odtworzyć nuty, ale nie tremolo palców.

Jako ojciec chcę, by mój syn wiedział, że AI buduje się na cudzych bibliotekach; tym, co pozostaje ludzkie, jest prawo do wahania – możliwość powiedzenia: „nie wiem, muszę pomyśleć". To luksus, którego nie możemy oddać maszynom.

© Rozmawiał MARCIN BEŁZA

Z hiszpańskiego tłumaczyła Lucyna Bełza-Gałązka

REKLAMA

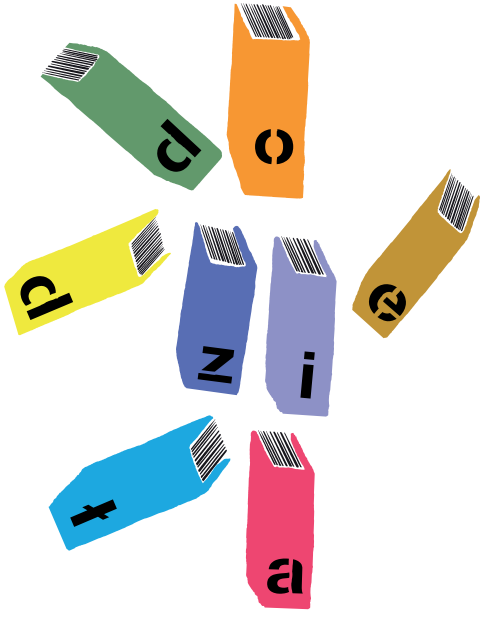

Noc Bibliotek

17 X 2025

Odwiedź swoją bibliotekę!

NOC bibliotek

CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

nocbibliotek.pl

Chwila wyjęta z codzienności

Dorota Kowalkowska:
Teatr to wspólny czas. Daje przestrzeń skupienia, zabawy, wolności – możliwość wyrażenia siebie bez ograniczeń.



29. Międzynarodowy Festiwal Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak Dzisiaj" odbędzie się w Warszawie w dniach 17–25 października 2025. Szczegółowy program dostępny jest na stronie: korczak-festival.pl.

PIOTR NYKOWSKI / MATERIAŁ PRASOWY

MICHAŁ SOWIŃSKI: Tegoroczne hasło festiwalu „Korczak Dzisiaj" brzmi: „Wyobraź to sobie, sobie". Co ono właściwie znaczy?

DOROTA KOWALKOWSKA: Wyobraźnia w spektaklach tegorocznej edycji pojawia się w różnych odsłonach – jako źródło radości i tworzenia nowych światów, katalizator emocji, jak w spektaklu „Oskar i rzeczy" (na zdjęciu), ale też napęd twórczy lub sposób odkrywania rzeczywistości. Widać to choćby w „Małym Księciu", „Przygodach Koziołka Matołka" czy „Uszach duszy". Jednocześnie hasło zachęca, by pomyśleć o teatrze bardziej włączającym i różnorodnym – otwartym na dzieci i młodzież z różnymi potrzebami. To nasz postulat, by kultura dla młodej publiczności była bardziej progresywna i inkluzywna.

Internet i media społecznościowe niszczą dziecięcą wyobraźnię?

To raczej wygodne hasło dorosłych, którzy demonizują cyfrową rzeczywistość. Internet nie zabija wyobraźni, lecz otwiera dla niej nowe pola. Z mojego doświadczenia wynika, że dzieci wciąż potrzebują żywego kontaktu ze sztuką, analogowych doświadczeń angażujących ciało i emocje. Świat cyfrowy i teatr mogą się uzupełniać, co znajduje swoje odbicie w spektaklu „Pinok.IO, czyli co czują maszyny". Dowodem jest choćby rosnące zainteresowanie rękodziełem – dziewiarstwem, kaligrafią, twórczością manualną. To pokazuje, że potrzeba fizycznego tworzenia i kontaktu z wyobraźnią pozostaje bardzo silna.

W programie znalazła się adaptacja powieści Marii Krüger „Karolcia". Co sprawia, że takie klasyki wciąż przyciągają młodych?

Siłą takich opowieści jest możliwość utożsamienia się z bohaterem. „Karolcia" daje poczucie sprawczości – nawet jeśli bohaterka wydaje się słaba, stopniowo odkrywa swoją moc. Adaptacja Sandry Szwarc i reżyseria Leny Frankiewicz wydobywają z tej historii metaforę sprawczości. Niebieski koralik nie jest już magicznym rekwizytem spełniającym życzenia, ale punktem wyjścia do rozmowy o tym, czy dzieci naprawdę potrzebują przedmiotu, by czuć się silne, czy też ta moc tkwi w nich samych.



MATERIAŁ PRASOWY

A spektakl „You can fail! Porażka show"? To zupełnie inna estetyka.

„You can fail!" pokazuje, że porażka może być źródłem energii i tożsamości. Powstał w koprodukcji Teatru Komedia z Teatrem 21, tworzonym głównie przez osoby z zespołem Downa i w spektrum autyzmu. Zaprasza też inne osoby nienormatywne, by opowiedziały o swoich doświadczeniach. Dzięki temu spektakl buduje wizję społeczeństwa włączającego i akceptującego. Co ważne, angażuje także publiczność – widzowie mogą wejść na scenę i opowiedzieć o własnej porażce, spojrzeć na nią z innej perspektywy i uczynić częścią wspólnego doświadczenia. To przełamuje stereotypy i pokazuje, że porażka jest częścią życia nas wszystkich.

Co dzieciom daje teatr?

Żywy kontakt, spotkanie. To chwila wyjęta z codzienności, wspólny czas, którego nie da się odtworzyć. Daje przestrzeń skupienia, zabawy, wolności – możliwość wyrażenia siebie bez ograniczeń. Chciałabym, by teatr był miejscem, gdzie dzieci mogą reagować tak, jak czują, bez uciszania i dyscypliny. Teatr skraca dystans, buduje poczucie bezpieczeństwa i uświadamia, że w złożonym świecie nie jest się samemu.

To już 29. edycja „Korczaka Dzisiaj". Można powiedzieć, że wychowały się na nim całe pokolenia.

Wśród dzisiejszych rodziców są osoby, które same jako dzieci uczestniczyły w festiwalu. Od blisko 30 lat tworzymy go w ramach stowarzyszenia, co roku od nowa szukając środków i możliwości realizacji. Udało się stworzyć jedno z największych wydarzeń tego typu w Polsce, które stale zmienia się wraz z widzami. To wyzwanie, ale i inspiracja – by sztuka dla młodych nadążała za światem. Dlatego „Korczak Dzisiaj" – by idee Korczaka były filtrowane przez współczesność i dotyczyły dzieci tu i teraz.

Dorota Kowalkowska – dyrektorka artystyczna Festiwalu „Korczak Dzisiaj", kuratorka, pedagożka teatru, dramaturżka, autorka tekstów o teatrze, inicjatorka projektów społeczno-artystycznych.

MATERIAŁ PARTNERA

Dobrzy czarnowidze

MARCIN SZCZYGIELSKI, PISARZ:

Dorosły czytelnik ocenia przez pryzmat nazwiska i wcześniejszych dokonań autora. Dzieci interesuje tylko to, co mają przed sobą. Dlatego literatura dla młodych jest najważniejsza i najbardziej szlachetna.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O czym opowiada Pana cykl powieściowy o Rodomiłach?

MARCIN SZCZYGIELSKI: To humorystyczna historia z dreszczykiem. Rodzina Czarnowidzów to nie są pesymiści, ale ludzie obdarzeni mocą dostrzegania sił mroku. Walczą z nimi zawodowo. Główna bohaterka, jedenastoletnia Hania, dopiero uczy się tej sztuki – tak jak każde dziecko musi oswoić się z dorosłym światem.

Jak mówić dzieciom o strachu i złu?

Kluczem jest perspektywa dziecka. W Rodomiłach jasno stawiam tezę: każde zło rodzi się z ludzi, a dobro potrafi je pokonać. Inspirują mnie historie w duchu rodziny Addamsów czy filmy Tima Burtona – gdzie makabra łączy się z humorem i prawdą o naszych emocjach.

Czyli zło zawsze da się pokonać?

Tak. W Rodomiłach zwycięża więź i bliskość. To rodzina, która się wspiera, nawet jeśli się kłóci. Wierzę, że miłość i serdeczność są najskuteczniejszą bronią przeciw złu.

Dzieci są dziś obciążone odpowiedzialnością za przyszłość świata.

Myślę, że świadomość takich problemów jak katastrofa klimatyczna czy wojny dociera do nich później – w wieku 13-14 lat. Wtedy zaczynają to rozumieć i naprawdę się tym przejmować. Młodsze dzieci wciąż są kształtowane przede wszystkim przez rodzinę. Jeśli mają wokół siebie serdeczność i troskę, traktują te zagrożenia jako coś abstrakcyjnego. Rzadko spotykam dzieci, które na tym etapie naprawdę się tym martwią. W młodym wieku działa inny mechanizm: dzieci szybko przechodzą od smutku do radości, ucząc się, jak radzić sobie w dorosłym życiu. Dlatego lubią się bać w kontrolowany sposób – w książkach czy opowieściach. To naturalna forma oswajania strachu i przygotowywania się na trudniejsze doświadczenia.

Nie jest łatwo trafić w poczucie humoru dzieci...

Dla mnie to naturalne – wychowałem się w rodzinie, gdzie żart ratował nawet w trudnych sytuacjach. Poczucia humoru można się nauczyć, tak jak ja kiedyś, obserwując reakcje mojej mamy, gdy czytała mi książki. Najgorsze, co można zrobić, to traktować młodego czytelnika z góry – dzieci tego nie przyjmą.

Czy podsłuchuje Pan dzieci, by lepiej je zrozumieć?

Mam wiele spotkań w szkołach i bibliotekach, obserwuję reakcje na moje opowieści i książki. Dzięki temu widzę, czym żyją i jak się komunikują. Pamiętam też swoją pierwszą książkę dla młodzieży – „Omegę". Dałem ją do przeczytania dwunastoletniej Marcie, córce przyjaciółki. Zrobiła mi tak ostrą i szczerą redakcję, że żaden dorosły redaktor by takiej nie zrobił. Oczywiście przyjąłem wszystkie jej uwagi.

Młodzi czytelnicy są brutalnie szczerzy – bez owijania w bawełnę, bez konwenansów. Albo książkę pokochają, albo odrzucą. To właśnie sprawia, że ta praca jest dla mnie bardziej satysfakcjonująca.

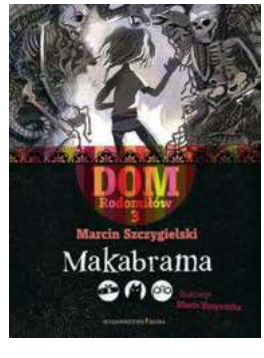

Laureatem tegorocznej edycji został **MARCIN SZCZYGIELSKI** za książkę „Makabrama".

Dorosły czytelnik ocenia często przez pryzmat nazwiska i wcześniejszych dokonań autora. Dzieci interesuje tylko to, co mają przed sobą. Dlatego zawsze uważałem, że literatura dla młodych jest najważniejsza i najbardziej szlachetna. Choć kiedy zaczynałem, miałem poczucie, że krytyka traktuje ją jako coś gorszego. Teraz to się zmienia – i bardzo mnie to cieszy.

Jaką rolę pełni dziś literatura w życiu młodych ludzi?

Moim zdaniem taką samą jak zawsze – rozwija wyobraźnię, pozwala przeżywać emocje, uczy patrzenia na świat. Zmieniło się to, że konkurencja o uwagę dziecka jest dużo większa. Social media, filmy, gry komputerowe – one zabierają czas, który kiedyś łatwiej było poświęcić książce. Nie znaczy to jednak, że dzieci nie czytają. Zmienił się wiek, w którym literatura najmocniej do nich trafia. Kiedy zaczynałem, czytelnikami byli szóstoklasiści czy siódmoklasiści. Dziś najbardziej w literaturę angażują się dzieci z klas trzecich i czwartych, czasem piątych. Starsi mają mniej czasu i przeżywają książki słabiej. Za to ci młodsi czytają chętniej i bardziej entuzjastycznie. ©℗

MARCIN SZCZYGIELSKI (ur. 1972) – pisarz, dramaturg i grafik. Autor książek dla dzieci, laureat Dużego Donga, Zielonej Gąski, Nagrody m.st. Warszawy i Książki Roku PS IBBY.

Literacka Podróż Hestii

Literacka Podróż Hestii to konkurs wyróżniający autorów i autorki dla młodych czytelników w wieku 10-15 lat, promujący klasyczne formy literatury dziecięco-młodzieżowej.

NOMINOWANI W 2025 ROKU:

„Chłopiec z lasu"
Cezarego Harasimowicza,
ilustracje Marty Kurczewskiej
(wyd. Agora dla Dzieci)

„Kosma, Kopacz i leśna szkoła. Trudne początki"
Agnieszki Misiak,
ilustracje Wojciecha Ignaciuka (wyd. Druganoga)

„Makabrama"
Marcina Szczygielskiego,
ilustracje Marty Krzywickiej (wyd. Bajka)

„Same dobre wróżby"
Saszy Hady (Aleksandry Motyki)
(Wydawnictwo Literackie)

„Rybie oko"
Dominiki Słowik (Wydawnictwo Literackie)

Więcej informacji o nagrodzie można znaleźć na stronie **literackapodrozhestii.pl.**

Akrobata

PIOTR KOFTA

Andrea Camilleri – w tym roku obchodzimy 100-lecie jego urodzin – był niepowtarzalnym fenomenem, co zawdzięczał, nie licząc talentu, ogromnej radości życia.

W powieści „Każdemu, co mu się należy (od mafii)" Leonardo Sciascii pewien naiwny idealista prowadzi prywatne śledztwo w sprawie tajemniczego podwójnego zabójstwa. Mafia jest tu ogromnym słoniem w ciasnym pokoju – wszyscy starają się jej usilnie nie zauważać, choć wiadomo, że któraś z ofiar musiała nadepnąć organizacji na odcisk. Sciascia pokazuje zresztą, że mafia jest nie tyle związkiem przestępczym, ile sposobem załatwiania spraw praktykowanym przez ambitną klasę średnią; innymi słowy, żeby zlikwidować mafię, należałoby zdelegalizować i rozwiązać sycylijskie społeczeństwo.

Naiwnego idealistę po cichu sprzątnięto i podczas gdy leżał „pod ciężkim stosem żużlu w opuszczonej kopalni siarki, w połowie drogi w linii powietrznej między miasteczkiem a stolicą prowincji", jego dawni znajomi w rozmowie nazwali go głupcem. Był głupcem nawet podwójnie: raz, bo sądził, że wolno mu rozwiązać zagadkę, a dwa, bo nie zdawał sobie sprawy, jaki łańcuch wendety może to uruchomić i do jakiego wybicia szamba doprowadzić.

Inna Sycylia

A gdyby tak podobnym sycylijskim głupcem – no, powiedzmy „głupcem" – uczynić komisarza policji? A potem napisać blisko trzydzieści bestsellerowych powieści z jego udziałem? Tak właśnie uczynił Andrea Camilleri (1925-2019), którego cykl o komisarzu Montalbano stał się jednym z najbardziej znanych włoskich produktów eksportowych (liczba sprzedanych na świecie egzemplarzy serii liczy się w dziesiątkach milionów).

Camilleri znał się ze Sciascią (1921--1989), obaj pochodzili z tego samego regionu Sycylii, byli bliskimi przyjaciółmi. I często spierali się o literaturę oraz istotę sycylijskości. Zgadzali się w tym, że bycie Sycylijczykiem to, nieco paradoksalnie, akceptacja wewnętrznych sprzeczności. „Montalbano wierzy w zasady, ale łamie je, aby sprawiedliwość mogła zwyciężyć. Chociaż rozczarowuje go policja jako instytucja, z uporem maniaka trwa przy swojej pracy. Kocha swoją narzeczoną Livię i zarazem jej nie cierpi, chciałby zrzucić więzy zależności, ale nie umie bez niej żyć" – mówił Camilleri w 2009 r. w wywiadzie udzielonym Barbarze Pezzotti dla czasopisma „Storytelling". „Kiedy Sciascia był już bliski śmierci, poprosił swoich bliskich, aby na jego nagrobku wyryto napis »Żył i przeczył sam sobie«, ale potem zmienił zdanie. Wielka szkoda, bo ta inskrypcja byłaby najtrafniejsza – byłaby najdoskonalszym podsumowaniem jego sycylijskości".

Sciascia, jak wspomnieliśmy, był pionierem pisania o mafii – jego powieści z lat 60. i 70. (prócz wcześniej wymienionej choćby „Dzień puszczyka" czy „Kontekst") odsłaniały mechanizmy głęboko zakorzenionego i przemilczanego zła. Kiedy na początku lat 90. Camilleri zaczynał pisać swoje kryminały, Sciascia już nie żył.

Inna też była Sycylia: nie była już wyspą ponurej stagnacji, lecz gwałtownych przemian. „Zmowa milczenia już nie obowiązuje. Pamiętam, jak parę lat temu w moim rodzinnym mieście [Porto Empedocle koło Agrigento – red.] zabito policjanta. Komisariat został wręcz zalany zgłoszeniami od ludzi, którzy byli świadkami tego, co się stało, i domagali się podjęcia natychmiastowych działań" – mówił Camilleri w tym samym wywiadzie. Dodając, że „inna sprawa dotyczy zmieniającego się pojęcia rodziny. Dawniej rodziny budowały wokół siebie mury. Mówiło się, że to po to, aby obcy nie mogli wkroczyć na ich terytorium, ale w istocie chodziło o coś przeciwnego: o to, by uniemożliwić członkom rodziny usamodzielnienie się i życie według własnych zasad.

Tych murów już nie ma. Kobiety nie są podporządkowane, mogą robić ze swoim życiem, co zechcą, mogą dokonywać wyborów. Tych małych i dużych zmian jest więcej, a wszystkie one zmieniają sycylijskie DNA. I wie pani co? Cieszy mnie to. Nie odczuwam nostalgii za przeszłością, bo stare dobre czasy nigdy nie istniały. Im szybciej i mocniej modyfikuje się to DNA, tym lepiej".

Dodajmy do tego jeszcze kolejne fale nielegalnej migracji (motyw silnie obecny w całym cyklu o Montalbano), przemiany technologiczne, wreszcie fakt, że mafia – nieskutecznie ścigana przez aparat państwowy – zarazem stała się jednym z ukochanych tematów popkultury i sama zaczęła się zmieniać, z sieci społecznych układów władzy przechodząc w formy zglobalizowanej przedsiębiorczości. Montalbano działa w takim właśnie świecie, w którym dawne reguły przestają obowiązywać.

A Camilleri postanowił, że w swoich powieściach będzie mafii używać jedynie jako pewnego narzędzia służącego do przybliżania zawiłości sycylijskiej kultury, do opowiadania o plagach, jakie nawiedzają wyspiarską wspólnotę, bądź o ponadnarodowych procesach zmieniających oblicze świata. Żaden mafiozo nie został jednak u Camilleriego głównym bohaterem, nie ma tu też moralnych rozterek członków gangu i romantycznych aspektów popełniania mafijnych zbrodni. „Nigdy tak naprawdę nie chciałem pisać o mafii, używałem jej jako tła – jej istnieniu nie da się przecież zaprzeczyć, więc musi być uwzględniana jako składnik rzeczywistości. A zatem: mafia jest zawsze obecna w moich książkach, ale nigdy nie napisałem książki o mafii" – wyznawał w jednej z rozmów.



MARCELLO MENCARINI / GETTY IMAGES

Andrea Camilleri przed rodzinnym domem w Porto Empedocle koło Agrigento. Sycylia, 1999 r.

Drugie życie

Fenomen serii o komisarzu Montalbano polega między innymi na tym, że te powieści – politycznie zaangażowane, znakomicie rozpoznające napięcia społecznych i cywilizacyjnych przemian, pozbawione nostalgicznego smrodku, ironiczne, tragikomiczne i poruszające – napisał człowiek metrykalnie stary. Pierwsza pozycja z cyklu, „Kształt wody", ukazała się w 1994 r., gdy Camilleri miał 69 lat. Przez kolejne dwie dekady publikował w szaleńczym tempie (nie tylko kryminały, lecz także wiele innych tekstów – powieści historyczne, eseje, zbiory opowiadań), nie tracąc przy tym na jakości.

Było to w zasadzie, by tak rzec, drugie artystyczne życie, i to takie, które zaczęło się po definitywnym końcu pierwszego: w 1994 r. Camilleri był już emerytem. A także zasłużonym dla włoskiego teatru reżyserem, który sukcesy odnosił przez lata także przy realizacjach telewizyjnych. Oraz nauczycielem całych pokoleń aktorów (włącznie z Lucą Zingarettim, który wcielił się w postać komisarza Montalbano w cyklu świetnych serialowych ekranizacji).

Urodzony w 1925 r. w sycylijskim Porto Empedocle, dorastał w epoce faszyzmu (jego ojciec był zaangażowanym działaczem partyjnym) i wojennego chaosu. Rodzinne miasteczko przyszłego reżysera i pisarza poważnie ucierpiało wskutek alianckich nalotów. On sam w drugiej połowie lat 40. zaliczył debiut literacki (w pewnym mediolańskim czasopiśmie wydrukowano parę jego wierszy i opowiadań) oraz wygrał konkurs dramaturgiczny, co zaprowadziło go w efekcie na studia w Akademii Teatralnej w Rzymie. Po roku został stamtąd wyrzucony w atmosferze skandalu – nakryto go na spaniu z dziewczyną w pobliskim klasztornym dormitorium.

Innymi słowy: Camilleri nie miał formalnie żadnego wyższego wykształcenia, w szczególności teatralnego. Nie przeszkodziło mu to jednak w rozpoczęciu kariery reżyserskiej; był niezwykle utalentowany, co dostrzegali starsi koledzy po fachu. W latach 50. pracował w teatrze, angażował się w członkostwo w Partii Komunistycznej, zaczął także współpracę z państwowym radiem i telewizją RAI. W produkcji telewizyjnej zaczął się specjalizować w adaptacjach powieści kryminalnych: pracował ze Sciascią (tak się poznali), od roku 1964 do 1972 przenosił na ekran telewizyjny powieści Georges'a Simenona ze słynnej serii o komisarzu Maigret.

W 1967 r. napisał swoją pierwszą powieść, „Il corso delle cose" („Bieg spraw" – nietłumaczona na polski), która przez kolejną dekadę szukała wydawcy i nie mogła go znaleźć, głównie z uwagi na język, jakiego użył Camilleri do jej napisania. W 1974 r. został nauczycielem reżyserii i aktorstwa w Akademii Teatralnej, z której wyrzucono go ćwierć wieku wcześniej – pracował tam przez kolejne ↦

↦ ćwierćwiecze, stając się belferską legendą owej uczelni. W końcu zaczęto także wydawać jego powieści historyczne – żadna z nich nie przebiła się jednak do mainstreamu.

Domowa mowa

Co takiego zatem stało się w 1994 r.? Właściwie nic szczególnego. Camilleri zastosował zasadę: „zrób jeszcze raz to samo, ale całkiem inaczej". Montalbano dostał swoje nazwisko po zaprzyjaźnionym hiszpańskim pisarzu Manuelu Vázquezie Montalbánie (1939-2003), którego kryminały z prywatnym detektywem Pepe Carvalho Camilleri bardzo cenił, a jego powieść „El pianista", rzecz o idealizmie i kolaboracji czasów powojennego frankizmu, po prostu uwielbiał.

Nazwisko komisarza było więc rodzajem hołdu. Podobnie zresztą rodzajem hołdu stało się fikcyjne miasto Vigàta – tym razem był to wyraz tęsknoty za sycylijskim pejzażem. „To, że mieszkam w Rzymie, to przypadek, mimo że żyję tu już od półwiecza. Nie uważam się za rzymianina. Jestem ze wszech miar Sycylijczykiem, choć to sycylijskość niezgodna z pewnymi tradycyjnymi stereotypami. W każdym razie gdybym nie był Sycylijczykiem, nie byłbym w stanie napisać tego, co napisałem" – opowiadał autor w wywiadzie dla „The Malta Independent", a potem dodawał: „Cóż, Vigàta to Porto Empedocle w zmiennych okolicznościach architektonicznych, bo potrafi się kondensować albo rozszerzać wedle potrzeby. To artefakt zbudowany w oparciu o faktycznie istniejące miasto. I zbiór moich wspomnień od dzieciństwa do wczesnej młodości, wypadkowa pokoleniowych przeżyć. Aspekt fizykalny – czyli gdzie co się znajduje – ma tu znaczenie drugorzędne". Trochę Macondo, trochę hrabstwo Yoknapatawpha, ale zanurzone głęboko we współczesności.

Tym, czego czytelnik przekładów (polskie są bardzo przyzwoite) z oczywistych względów nie wychwyci, jest aspekt lingwistyczny powieści z cyklu o komisarzu Montalbano. We Włoszech patrzono na sukces tych książek z niedowierzaniem – ostatecznie zostały napisane przy użyciu języka dalekiego od literackiej normy, na swój sposób „gorszego", mieszanki oficjalnej włoszczyzny, sycylijskiego dialektu i słów w ogóle nieistniejących w żadnym słowniku. Camilleri, krótko mówiąc, nie odstąpił od pomysłu, który z uporem forsował już w swojej pierwszej powieści, tej, której nikt nie chciał mu wydać. Ale czasy się zmieniły i Włochy też. Z książki na książkę rosła liczba czytelników. Strategia Camilleriego miała w sobie coś z językowej dekolonizacji, z odczarowania jakiegoś lingwistycznego tabu – pozwalała odbiorcom w różnych częściach Włoch poczuć się lepiej z własną mową domową.

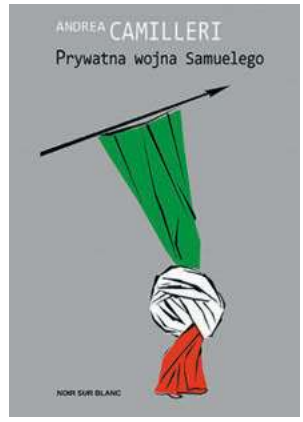

Andrea Camilleri
PRYWATNA WOJNA SAMUELEGO
przeł. Lucyna Rodziewicz-Doktór,
Noir sur Blanc 2025

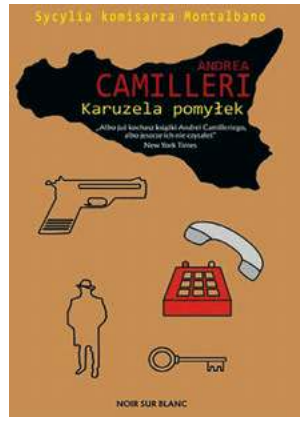

Andrea Camilleri
KARUZELA POMYŁEK
przeł. Monika Woźniak,
Noir sur Blanc 2025



Andrea Camilleri
MIESIĄC
Z KOMISARZEM MONTALBANO
przeł. Stanisław Kasprzysiak,
Noir sur Blanc 2025

Idealna lektura

Owa „domowość" przejawia się w owym cyklu jeszcze inaczej – przez zderzenie tego, co lokalne, z tym, co globalne. Komisarz Montalbano, facet kapryśny, czasem wrażliwiec, czasem grubianin, jest przede wszystkim człowiekiem zakorzenionym. Stąd bierze się zaufanie, jakie mają ludzie wobec niego. Stąd legitymizacja nie zawsze regulaminowych działań. „Jego śledztwa zawsze mają oparcie w jakimś »środowisku«, które należy zrozumieć, by rozwiązać sprawę. Może to być miasto, gmina, dzielnica, rodzina – ważne, że to w ich obrębie zdarzyła się zbrodnia. Montalbano chce to pojąć, dokonuje więc interpretacji reguł postępowania w tej rodzinie, dzielnicy, mieście, ponieważ inaczej nie da się rozwiązać zagadki" – mówił autor. Żadnej abstrakcji.

Żadnego poczucia u czytelnika, że oto serwuje mu się wydumane, abstrakcyjne zbrodnie. Camilleri umiał to robić znakomicie: oddawać miejscowy koloryt, uprawdopodobniać zdarzenia, sprawiać, by mu wierzono na słowo. Część tego efektu osiągał za pomocą ironii, sarkazmu i sytuacyjnego humoru – narrator w tych książkach nigdy nie jest obiektywnym obserwatorem, jest opowiadaczem, który wciąga nas w snutą przez siebie historię.

Oczywiście ten brak obiektywności doprowadzał wielu Włochów, zwłaszcza tych o bardziej prawicowych poglądach, do szału. Bo powieści Camilleriego są polityczne: nie oszczędzają zwłaszcza konserwatywnego populizmu, wypowiadają się w obronie praw mniejszości i humanitarnego traktowania imigrantów, konsekwentnie stają po stronie słabszych, sekują hipokryzję bulwarowych mediów. Rzec by można: idealna lektura dla współczesnych Polaków.

Dobra zabawa

Wszystkie te cele Camilleri osiągał zadziwiająco prostymi środkami, sięgając po teatralną sztukę budowania dramaturgii za pomocą dialogu (rozmowy w tych książkach to *clou*, w nich dzieje się najwięcej), a także po tradycję *commedii dell'arte* z jej komizmem typowych charakterów. Jest więc w cyklu o komisarzu Montalbano klaun, jest kobieciarz, jest wierny sługa, jest choleryk i *femme fatale*. „Jeśli ich masz, to napisałeś już połowę powieści. Trzeba tylko wymyślić fajną zbrodnię. Wpada ci do głowy zbrodnia pokazywana w wiadomościach. Dopisujesz ją do reszty opowieści i za jakieś trzy miesiące książka gotowa" – żartował pisarz w filmie dokumentalnym i być może nie był wcale daleko od prawdy. Wiarygodność uzyskiwał za to przez opisy jedzenia: je się tu smacznie i obficie.

Tej literackiej zabawie („Pisanie to zawsze przyjemność. Gdyby to było okropne zajęcie, już bym więcej nie pisał") towarzyszyła gra w formalne ograniczenia: „W pewnym momencie zacząłem robić tak, że wszystkie [powieści] mają po 18 rozdziałów, a każdy z nich ma 10 stron. Dlatego moje książki [z cyklu] są tej samej długości. (...) Przekłada się to na ogromną dyscyplinę pisania, bo gdy myśli się o powieści, eliminuje się już z góry to, co sprawiłoby, że przekroczy ona daną długość".

> We Włoszech patrzono na sukces jego książek z niedowierzaniem – zostały napisane przy użyciu języka dalekiego od literackiej normy.

W Polsce ukazały się dotąd 23 książki z serii o komisarzu Montalbano (ostatnio „Morze błota" i „Karuzela pomyłek", obie nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc w przekładzie Moniki Woźniak) i cztery zbiory opowiadań. Zostało jeszcze pięć książek nieprzełożonych na polski, w tym ostatnia, „Riccardino", którą Camilleri zapobiegawczo napisał jako ostatnią część cyklu jeszcze w 2004 r., chcąc w ten sposób uniemożliwić kontynuację piórem innego autora. Oczywiście – żyjemy w kulturze sequeli, prequeli i spin-offów. Sequele pisarz zablokował, ale co z prequelami i spin-offami?

Camilleri – w tym roku obchodzimy 100-lecie jego urodzin – był jednak niepowtarzalnym fenomenem, co zawdzięczał przypuszczalnie, nie licząc talentu, ogromnej *joie de vivre*. W filmie zauważał: „Moim ideałem jest akrobatka na trapezie. Robi potrójne salto, a i tak jest cały czas uśmiechnięta i powabna. Nie pokazuje, jak bardzo jest zmęczona ćwiczeniami. Gdyby to zrobiła, widz nie czerpałby już przyjemności z oglądania jej akrobacji. Tak samo jest ze mną. Chcę być akrobatą. Nie chcę, by moja twórczość ukazywała ciężką pracę. Dlatego pisanie sprawia mi radość". © PIOTR KOFTA

REKLAMA



Bardzo się cieszę, że ta książka wreszcie trafia do naszych rąk. Czekaliśmy na nią od dawna.

Mikołaj Grynberg

Przewrotna opowieść o losach nie(hetero)normatywnej rodziny. Starość i śmierć, przemijanie i pamięć, awans klasowy i zmieniające się role kobiet sprawiają, że intymna opowieść głównej bohaterki staje się uniwersalną opowieścią o wspólnocie ludzkich doświadczeń.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

Kanarki w kopalni

PIOTR WOŹNIAK

W esejach i powieściach niemieckiej intelektualistki znajdziemy to, czego najbardziej nam dziś potrzeba – spojrzenie z dystansu.

„Prawdziwą areną dziejów świata jest biblioteka" – przekonywała na kartach jednego z esejów. A potem, swoim zwyczajem, zabrała czytelników w fascynującą podróż po uniwersum starych woluminów, wyblakłych map i zaginionych lądów. Powiecie pewnie, że to przebrzmiała pieśń, pięknoduchostwo, a z tą biblioteką to już na pewno lekka przesada. Cóż, takie podejście rzeczywiście może dziś dziwić, możemy chrząkać i powątpiewać, wskazując Donbas, Kijów czy Gazę jako miejsca, gdzie dzieją się rzeczy nieporównywalnie ważniejsze niż przy zakurzonym stole w czytelni kartograficznej. A jednak jest taki świat, w którym przytoczone zdanie wydaje się w najoczywistszy sposób prawdziwe. To świat książek jego autorki – Judith Schalansky.

W esejach i powieściach niemieckiej intelektualistki znajdziemy to, czego najbardziej nam dziś potrzeba – spojrzenia z dziejowego dystansu na nieuchronną zmienność i ulotność rzeczy, zjawisk czy projektów politycznych. Obok ćwiczeń z przemijania jej teksty oferują szansę na przećwiczenie czytelniczej i życiowej uważności. Bo tych książek nie sposób czytać w pośpiechu, bez przerw na oglądanie dzieł sztuki, o których mowa, bez sięgania do internetowej encyklopedii, a najlepiej – jak autorka – do papierowych woluminów. Schalansky jest zbieraczką, podróżniczką bez celu, z którą warto się zgubić. Fascynuje się śladami przeszłości i kruchością materii niczym barokowa poetka, a jednocześnie – śladem romantyczek – odrzuca nowoczesne formy spychania żałoby w kąt, sprowadzanie wszystkiego do hormonów czy teorii ewolucji.

Urodziła się na początku lat 80. w NRD-owskim Greifswaldzie. Dorastając w niewielkim, odciętym od świata miasteczku, nauczyła się wyszukiwać rzeczy w nieoczywisty sposób ciekawe. I przywykła do podróżowania palcem po mapie. Uznany za najpiękniejszą niemiecką książkę roku 2009 „Atlas wysp odległych" (wyd. polskie 2024) to literacka podróż po najbardziej odludnych miejscach. Schalansky nie rusza się z biblioteki, a jednocześnie wędruje po Wyspie Rudolfa czy Wyspie Samotności. Dane geograficzne sąsiadują tu z lokalnym kolorytem – zaczyna się od faktów, a potem narratorka puszcza wodze fantazji, opowiada historie, które przydarzyły się gdzieś w strefie niczyjej, pomiędzy państwami i kontynentami. To proza relaksująca, pozwalająca na spotkanie z mitem, oddech od współczesności i – być może – powrót do pasji z dzieciństwa.

Obok fascynacji opuszczonymi miejscami znakiem rozpoznawczym prozy Schalansky jest zainteresowanie tym, co odeszło, odchodzi lub istnieje tylko jako ślad dawnej wielkości. Z tej pasji wzięła się chyba najbardziej oryginalna książka niemieckiej pisarki, czyli zbiór esejów pt. „Spis paru strat" (wyd. polskie 2022). „Różnica między obecnością a nieobecnością może mieć marginalne znaczenie, póki istnieje pamięć" – czytamy w pierwszym, wstępnym rozdziale. Każdy kolejny jest próbą przywrócenia pamięci o innym, nieistniejącym już przedmiocie, gatunku zwierząt czy budynku. Znajdziemy tu opowieść o tygrysie kaspijskim, który przerażał starożytnych Rzymian, zniszczonej willi dawnego kandydata na papieża i – oczywiście – zatopionej wyspie. Wszystko to składa się na bezpretensjonalny traktat o żałobie, w którym niezgoda na nowoczesne rugowanie śmierci z pola widzenia miesza się z oskarżeniem wobec kolonizatorskich zapędów człowieka Zachodu. Nie – zdaje się mówić autorka – nie przetrwało to, co najbardziej wartościowe. I nie, zwykle nie nieśliśmy ze sobą tylko postępu.



Judith Schalansky **ROZCHWIANE KANARKI, GŁĘBOKIE DOŁY** *przeł. Kamil Idzikowski, Ha!art 2025*

Z tymi, nazbyt „wywrotowymi" tezami nie zgodziłaby się zapewne główna bohaterka jedynej wydanej w Polsce powieści Schalansky. „Szyja żyrafy" (2024) to nasycona wielopoziomową ironią opowieść o Inge Lohman – zbliżającej się do emerytury nauczycielce biologii z podupadłego gimnazjum im. Karola Darwina. Autorka obdarza tę postać podobnymi do swoich zainteresowaniami, lecz zdecydowanie odmienną wrażliwością. Lohman to staroświecka erudytka, wielbicielka nauk ścisłych i porządku – najlepiej takiego, jaki rodził się gdzieś u progu XX w. na gruncie teorii ewolucji. Ciekawe, że ta zjadliwa satyra pozostawia nas jednocześnie z dużą dozą empatii dla tęskniącej za prostym światem bohaterki.

Może źródłem tej empatii jest to, że od czasów „Szyi żyrafy" i nasz świat stał się nieporównanie bardziej niepewny, chwiejny i skomplikowany? Jeśli też to czujecie, a w dodatku uważacie, że ludziom trudno dziś wyrazić nowe lęki przy pomocy starych pojęć i schematów, to mam dobrą informację: dokładnie o tym jest najnowsza książka Schalansky. Wydane niedawno „Rozchwiane kanarki, głębokie doły" to próba odpowiedzi na pytanie: „jakim językiem mówić o przeczuciu zbliżającej się katastrofy?". Autorka rozpoczyna od krytycznego spojrzenia na często używaną w kontekście kryzysu klimatycznego frazę „kanarki w kopalni" (istoty zdolne do wcześniejszego reagowania na zagrożenia), a potem swoim zwyczajem zaprasza nas do wędrówki – od czasów Pliniusza, przez Goethego i początki nowoczesnego górnictwa, aż po katastrofę ekologiczną na Odrze. Tym razem dostajemy jednak prozę nieco mocniej zaangażowaną politycznie. Schalansky wyraźnie akcentuje swoje stanowisko, dowodząc bezużyteczności myślenia o katastrofie według schematów zaczerpniętych z Biblii czy poetyki Arystotelesa. Trzeba szukać innych modeli myślenia i – przede wszystkim – zapytać, czy wyobrażenie, że do lamusa odprowadzą nas trąby, grzmoty i niebo w kolorze purpury, nie trąci przypadkiem megalomanią. ©

Mówiono na nich zające

Jest czerwiec 1968 roku. 21-letni Tim kończy naukę w lokalnym college'u – otrzymuje dyplom z wyróżnieniem oraz stypendium umożliwiające studia na Harvardzie. Czuje, że „trzyma świat za jaja". Niedługo potem świat staje jednak na głowie. Chłopak odbiera kartę mobilizacyjną, wzywającą go do udziału w wojnie, której celów nie rozumie i nie popiera. Z początku myśli o ucieczce, lecz ostatecznie stawia się przed komisją. „Byłem tchórzem – powie po latach – poszedłem na wojnę". To „tchórzostwo" zaważyło na całym jego życiu. Nigdy nie przestał mieć wątpliwości. Rzadko pozwalał sobie na opowiadanie o czymś innym niż jego konsekwencje.

Tim O'Brien to jeden z najważniejszych literackich kronikarzy wojny w Wietnamie. W swojej prozie nieustannie krąży między poetykami reportażu, osobistego eseju i opowiadania. Jest mistrzem pisarskiej samoświadomości. Często kwestionuje własną wiarygodność, pytając o to, jak uczciwie pisać o frontowych wydarzeniach. Czy „doprowadzać prawdę do wrzenia" poprzez poetyckie nagromadzenie efektów? A może poprzestać na suchych wyliczeniach, pozostawiając fakty bez komentarza, upiększenia czy brutalizacji?
W zbiorze „To, co nieśli" O'Brien umiejętnie łączy te dwie strategie. Ze zdań rozpoczynających akapity tytułowego opowiadania można by skleić niezły wiersz; kolejne – do bólu konkretne – przypominają raczej fragmenty spisu wojskowego zaopatrzenia. Podobna gra liryzmu i chłodu towarzyszy nam w trakcie całej lektury. Bohaterowie niosą ciężkie hełmy, marzenia, broń, zdjęcia ukochanych, lęk, środki uspokajające, oczekiwania ojców, a potem traumy, które bywają najcięższym bagażem. Przede wszystkim mierzą się jednak z losem, który pozbawił ich wygodnego życia na przedmieściach, rzucając w sam środek wietnamskich „pól gówna". W całym zbiorze najbardziej zachwyca kompozycyjny kunszt autora, który pozwala przekonująco odmalowywać przenikanie tych dwu światów.
O'Brien bywa frontowym myślicielem, lecz wstawki filozoficzne nie są u niego częste jak u Stanisława Rembeka. Wykazuje pewną świadomość polityczną, lecz nie jest tak rozpolitykowany jak Józef Mackiewicz.
Krytykuje wojnę, lecz nie jest pacyfistą w stylu Józefa Wittlina. Najbliżej mu chyba do Hemingwaya. To proza chłopacka i chłopięca zarazem. Znakomita.
© ADAM WOŹNIAK



■ *Tim O'Brien* **TO, CO NIEŚLI** *przeł. Tomasz S. Gałązka, Czarne, Wołowiec 2025*

REKLAMA

kp

Paweł Machcewicz
Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci" Moczara

Aleksandra Korczak
Bezradne i romantyczne. Bohaterki lektur dla szkoły podstawowej



Misty Pratt
To tylko w jej głowie. Jak uprzedzenia płciowe szkodzą zdrowiu psychicznemu kobiet

Aline Laurent-Mayard
Postromantyczność. Jak uratować miłość

Karol Trammer
Przestawianie zwrotnicy. Jak politycy bawią się koleją

www.krytykapolityczna/wydawnictwo

Trzy zdania dziennie

MAX CEGIELSKI

Mimo sukcesów wydawniczych wciąż nosi wytarte dżinsy i starą kurtkę. Ma za to kilka fortepianów, na których gra Bacha. Twierdzi, że codziennie. Inaczej jest chory.

Od jesieni 2022 r., kiedy ukazała się u nas pierwsza i najsłynniejsza jego publikacja „Społeczeństwo zmęczenia", dyskusja na temat filozofa z Korei Południowej przetoczyła się przez bardzo różne media.

Na łamach „Tygodnika" reżyserka Agnieszka Smoczyńska mówiła, że Byung Chul Han otworzył jej oczy. O jego „podmiocie osiągnięć" dyskutowano w hip-hopowym radiu newonce. O tym, co pisze na temat braku wspólnoty w czasach nadmiaru komunikacji, wspominano w felietonach „Gazety Wyborczej". W internetowym Dwutygodniku znawczyni mediów elektronicznych, Agata Sikora, demaskowała Hana jako ukrytego, a więc groźnego reakcjonistę. Lewica zarzucała mu, że jest za mało polityczny, a jego myśli nie sposób przekuć na konkretne działania. W katolickiej „Więzi" Jarema Piekutowski, redaktor portalu Nowa Konfederacja, słusznie zauważał, że Han „nie podnosi moralnego larum, nie prowadzi wojny kulturowej", a więc nie jest atrakcyjny dla tradycjonalistów.

Kiedy fragmenty tekstów Hana ukazywały się w „Krytyce Politycznej" w roku 2017, nie zostały zauważone, jakbyśmy dopiero teraz poczuli się wystarczająco wypaleni, by zainteresować się proponowanym przez niego „zaniechaniem". Taki tytuł nosi zresztą wydana ostatnio przez Karakter książka Zofii Zaleskiej o prawie do niedziałania, które jest szansą na odzyskanie wolności.

Bez recepty

Spór o przynależność ideologiczną Byung Chul Hana przypomina mi dyskusje sprzed dwudziestu lat, kiedy to za sprawą wydawnictwa W.A.B. zaczęły ukazywać się w Polsce powieści Michela Houellebecqa. Znudzeni powtarzającym motywy narcystycznym pisarzem nie pamiętamy, że zażarcie walczyła o niego wtedy zarówno prawica, jak i lewica, bo każda strona ideologicznej barykady widziała w jego prozie uzasadnienie własnych idei. W tym samym okresie zaczęły być tłumaczone książki słoweńskiego filozofa-lacanisty Slavoja Žižka, który na początku XX w., mieszając popkulturę z psychoanalizą, trafił w *zeitgeist*.

Nadaktywny i komentujący na bieżąco wydarzenia polityczne Žižek wydaje się przeciwieństwem mało piszącego i jeszcze mniej mówiącego Hana, który – jak Houellebecq przed laty – wymyka się łatwemu szufladkowaniu i nie przedstawia wprost recept na życie.

Właśnie z tego powodu warto czytać niemieckiego filozofa z Korei (czy też koreańskiego Niemca). Sama jego tożsamość jest rodem z płynnej, globalnej ponowoczesności. Może właśnie dlatego tak silnie Han przeciwstawia się współczesnemu kryzysowi narracji.

Bez sensu

Byung Chul Han urodził się w 1959 r. i wychował w Seulu, stolicy Południowej Korei. Kraj, kojarzony dziś przez młodzież z queerowym, wyzwolonym k-popem, pozostaje konfucjańsko konserwatywny i przoduje w niechlubnych, światowych statystykach liczby samobójstw. Szybki awans z biednego społeczeństwa rolniczego do potęgi przemysłowej obywatele przypłacili ogólnonarodową depresją i permanentnym przemęczeniem. Nierówności majątkowe w Korei Południowej są najwyższe spośród wszystkich krajów rozwiniętych, a głośny film „Parasite" (2019) w reżyserii Bong Joon-ho najlepiej oddaje panującą tam atmosferę relacji międzyludzkich.

Koreańczycy w jeszcze większym stopniu niż mieszkańcy Zachodu wydają się „zbyt martwi, aby żyć – zbyt żywi, by umrzeć", jak zatytułował swój wstęp Rafał Pokrywka, tłumaczący Hana z niemieckiego na polski. Współczesne społeczeństwa są nie tylko „wypalone", ale też „transparentne", czyli „pornograficzne" oraz zbyt „informacyjne" (tak filozof zatytułował kolejne rozdziały swojego eseju). Skutkuje to nie tylko epidemią depresji czy ADHD, ale też nadmierną koncentracją podmiotu na sobie samym. A przede wszystkim narzuconym przez neoliberalizm i głęboko uwewnętrznionym „kulcie pozytywności", czyli przekonaniu, że „*yes, we can*" – damy radę i musimy oraz potrafimy osiągać ambitne cele.

Dawniej, w epoce panoptykonu opisywanego przez Michela Foucaulta, aby zmusić nas do pracy i kontrolować, potrzebni byli strażnicy. Wraz z pojawieniem się telefonów komórkowych i internetu nie tylko sprzedajemy swoje dane, ale żyjemy w iluzji wolności, a tak naprawdę już sami siebie kontrolujemy.

W szkole

Algorytm liczący i dodający informacje z internetu (co Han określa jako datafikację, przeciwieństwo myślenia), niesłusznie określany jako „sztuczna inteligencja", na pytanie o Koreę Południową od razu cytuje zewnętrzne źródła o tym, czego nie wypada tam robić. Między innymi nie zaleca się publicznego okazywania uczuć oraz zbyt głośnego zachowania w miejscach publicznych. W domu, szkole i pracy najważniejsza jest ścisła hierarchia wymuszająca stosowne zachowania i rytuały, bezwzględny szacunek dla starszych i przełożonych.

Nie jest jasne, czy Han był katolikiem już jako grzeczny uczeń szkoły i politechniki w garniturze i pod krawatem. Jeszcze w XIX w. to wyznanie było na półwyspie represjonowane, tysiące wiernych zginęły jako męczennicy za wiarę. Prakty-



ALBERTO CRISTOFARI / CONTRASTO / EAST NEWS

Byung Chul Han

kowanie katolicyzmu w Korei było dużo bardziej buntowniczą postawą niż mantry i medytacje buddyjskie w PRL.

Świątynie, jak u nas, były w latach 80. schronieniem dla studentów i liberałów demonstrujących przeciwko brakowi demokracji. Po zakończeniu wojny sowiecko-amerykańskiej południem rządziła junta wojskowa, równie autorytarna jak konfucjański model rodziny. Nie chcąc się przeciwstawiać woli ojca, inżyniera budownictwa lądowego, współautora wielkich inwestycji modernizacyjnych, przyszły filozof studiował metalurgię. Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, armia krwawo stłumiła jedną z wielu fal społecznych protestów, zabijając co najmniej kilkaset osób.

W domu

Choć rzadko udziela wywiadów i pojawia się publicznie, w 2015 r. zgodził się wystąpić w dokumencie Isabelli Gresser „Społeczeństwo zmęczenia. Byung Chul Han w Seulu i Berlinie". Został sfilmowany między innymi w skromnym pokoiku, gdzie pokazuje swoje książki inżynieryjne, pełne wykresów i diagramów, włożonych do środka karteczek z precyzyjnymi notatkami po angielsku. Przyznaje, że dziś nic z nich nie rozumie. Choć ani w tym filmie, ani nigdzie indziej nie podaje detali ze swojej biografii, wygląda na to, że właśnie po masakrach protestujących wyjechał na dalsze studia do Niemiec.

W wywiadach twierdzi, że od dziecka uwielbiał chodzić na cmentarze, a kiedy w jego domu pojawiła się płyta z muzyką Bacha, zrozumiał, gdzie jest jego duchowa ojczyzna. Rodzinie powiedział, że wyjeżdża kontynuować studia na niemieckiej politechnice, ale w rzeczywistości, choć nie znał języka, zapisał się na wydział filozofii i literatury.

Najpierw, „żywiąc się jedynie chlebem i dżemem", studiował w prowincjonalnym Clausthal-Zellerfeld w Dolnej Saksonii, potem na uniwersytetach we Fryburgu i Monachium. Idąc tropem przywołanej wcześniej żarliwej krytyki Agaty Sikory, można uznać, że musiał najpierw dokonać głębokiego samowyzysku, by osiągnąć sukces i pozwolić sobie na robienie „niewiele". Autorka Dwutygodnika słusznie zauważyła, ↦

↦ że „prezentowanie siebie jako osoby ambitnej, bardzo zajętej i zawsze gotowej do podjęcia »nowych wyzwań« dla wielu ludzi jest warunkiem zapewnienia sobie pracy, a co za tym idzie, utrzymania". Prekariatu, szczególnie tego twórczego, który chętnie czyta Hana na całym świecie, nie stać po prostu na zaniechanie – ani w stylu zachodnim, ani wschodnim.

Tylko że Han, który – choć uważany za lewicowca – wcale nie odwołuje się do marksizmu i w przeciwieństwie do ruchów socjalistycznych nie obiecuje żadnych szczególnie rewolucyjnych rozwiązań, jedynie punktuje nasze współczesne bolączki.

Na piśmie

Niemieckiego uczy się od 22. roku życia, w tym języku również wykłada, z lekkim akcentem, udziela wywiadów i pisze. Krótkimi zdaniami, jakby wciąż się bał tych rozbudowanych i wielokrotnie złożonych. Ta krótka fraza powoduje zarazem, że Han jest dużo przystępniejszym autorem niż Francuzi, jak Michel Foucault czy Gilles Deleuze, z którymi polemizuje, czy wielcy Niemcy jak Georg Friedrich Hegel, do którego komentarzami zaczynał pracę naukową.

W przeciwieństwie do Josepha Conrada, który ucząc się angielskiego, wymyślił ten język na nowo na potrzeby prozy modernistycznej, Han poczyna sobie z nim nieśmiało, wręcz skromnie. Pisząc krótkie zdania (twierdzi, że ledwie trzy dziennie) wydaje krótkie książki, właściwie broszury, których kolejność nieco zaciemniają zbiorowe polskie tomy, mieszające teksty z różnych okresów – trudno na ich podstawie prześledzić rozwój jego poglądów.

Niektórzy, może z tego powodu, zarzucają mu poetyckość i niejasność wywodu, ale wystarczy porównać „Nie(do)rzeczy" Hana (wydane przez Uniwersytet Łódzki) z „Brutalizmem" czy „Polityką wrogości" (Karakter) innego ważnego dziś filozofa, Achille'a Mbembe, żeby zrozumieć, że Han jest naprawdę przejrzysty. Koreańczyka z Kameruńczykiem łączy nie tylko odwoływanie się do światopoglądu miejsca urodzenia, ale także zwrócenie uwagi na brutalne „rozbijanie i rozszczepianie" przez kapitalizm ziemi, zasobów oraz realności ciał i przedmiotów, a co za tym idzie, także łączących ich więzi społecznych.

W ciszy

Film Isabelli Gresser, zaczynający się od ujęć mnichów w Korei Południowej, pokazuje jedną z regularnych, zimowych podróży Hana do ojczyzny. Spotyka się tam między innymi z reżyserem filmu „Oldboy", Park Chan-wookiem, który jest jego wiernym czytelnikiem. Przede wszystkim odwiedza jednak świątynię taoistyczno-buddyjską i analizuje teksty mistrza Zhuangzi (Czuang-tsy) z przełomu III i IV wieku przed naszą erą o medytacyjnej wędrówce.



Byung Chul Han
DUCH NADZIEI I INNE ESEJE
przeł. Rafał Pokrywka,
Krytyka Polityczna, 2025

Choć jako student Han porzucił zbyt sformalizowane życie w Korei, filozofa nie opuszcza tęsknota za formą, wschodnioazjatyckim „imperium znaków" i gier społecznych, o których pisze w eseju otwierającym „Ducha nadziei". Chodzi mu także o pojednanie człowieka z naturą poprzez politykę „pozostawiania", którą odnajduje u Heideggera.

W eseju „Vita contemplativa" cytuje „Księgę Południowego Kwiatu" Zhuangzi i anegdotę o kucharzu, który „wiedzie nóż przez już istniejące szczeliny" w ciele wołu. „Wykorzystuje »możliwości«, które drzemią w rzeczach, zamiast celowo w nie ingerować". Dopiero bezczynność, zupełnie różna od martwego „czasu wolnego" wyznaczonego jako przerwa w pracy, „ustanawia to, co ludzkie" w ciszy i rytuale religijnym, nie tylko chrześcijańskim, także w tym znanym najdawniejszym społeczeństwom pierwotnym.

Kapitalizm, szczególnie ten neoliberalny i cyfrowy, nie tylko zmusza do ciągłej, wypalającej aktywności, ale też sprowadza nas do „ubóstwa nagiego życia". Stajemy się zombie, istotami tak popularnymi przecież w koreańskiej popkulturze, serialach i kinie.

W pustce

Byung Chul Han jest dziś profesorem na interdyscyplinarnym Uniwersytecie Sztuki w Berlinie. Jego ulubionym miejscem na terenie uczelni są nieodbudowane po wojnie ruiny – miejsce pustki, kluczowej w filozofii Wschodu, kompulsywnie zapełnianej na Zachodzie, miejsce ciszy zagłuszanej na co dzień cyfrowym hałasem komunikacyjnym.

Jak wynika z filmu Gresser, pierwszym przewodnikiem Hana po stolicy Niemiec stał się w dużej mierze czarno-biały, melancholijny film Wima Wendersa i Petera Handkego, którego zresztą często cytuje w esejach. Mieszka w pobliżu mostu Langenscheidt, gdzie kręcono jedną ze scen historii dwóch aniołów w długich czarnych płaszczach mieszkających we wciąż jeszcze podzielonym murem Berlinie.

Zarówno w 2015 r., kiedy miał jeszcze długie włosy i kucyk, jak i dziś, kiedy profesor Han ma już 65 lat, jego ulubionym miejscem przechadzek w dzielnicy Schöneberg, gdzie mieszka, jest cmentarz św. Mateusza. Odwiedza tu zawsze groby braci Grimm i syna Hegla, chyba tylko fascynacja tym berlińskim mistrzem łączy go ze Slavojem Žižkiem. Właśnie w kawiarence na tym cmentarzu umawia się na rzadkie wywiady. Ostatnio rozmawiał z lewicowym, madryckim dziennikiem „El País", być może dlatego, że właśnie w Hiszpanii książki Hana cieszą się największym zainteresowaniem.

Większość profili w mediach społecznościowych dotyczących filozofa (on sam nie ma konta ani na Facebooku, ani na Instagramie) jest właśnie hiszpańskojęzyczna. Mimo sukcesów wydawniczych, trwających od publikacji „Społeczeństwa zmęczenia", które sprzedało się w ponad 100 tys. egzemplarzy na świecie, jego autor wciąż chodzi w starej, skórzanej kurtce i wytartych dżinsach. Jak przystało na berlińczyka, jeździ na rowerze.

Ma za to trzy fortepiany: Steinway & Sons w mieszkaniu i dwa inne w pod-

miejskiej willi. Nadal słucha i gra Bacha, twierdzi, że codziennie inaczej jest chory, dlatego też rzadko podróżuje. Światowy sukces Hana bierze się chyba z tego, że zaufaliśmy mu, ponieważ codziennie pozwala sobie na kontemplację i zaniechanie w duchu swoich tekstów.

Z troski

Tytułowy esej „Duch nadziei" jest rzeczywiście najnowszym tekstem Hana, zarówno po polsku, jak i niemiecku. Jest tu mowa o Bogu, autor cytuje żydowską filozofię szabasu, List do Rzymian, polemizuje z Hanną Arendt, powołuje się także na Marcela Prousta, Alberta Camusa i po raz kolejny Heideggera. „Najsilniejsza nadzieja budzi się dopiero pośród najgłębszej rozpaczy" – zdaje się pocieszać. „Szeroko rozpowszechniony klimat strachu tłumi nadzieję w zarodku. Strach i resentyment popychają ludzi w ramiona prawicowych populistów i podsycają nienawiść".

Niby oczywiste, ale spróbujmy sobie wyobrazić i empatycznie poczuć, że krzyczący „Polska dla Polaków" tak naprawdę się boją. A my z kolei boimy się ich oraz apokalipsy klimatycznej, utraty pracy, ostatecznego demontażu państwa prawa i końca demokracji. „Solidarność, życzliwość i empatia ulegają erozji", przecież nie tylko u „tamtych", ale też „u naszych".

> Ulubionym miejscem przechadzek Byung Chul Hana jest cmentarz św. Mateusza w Berlinie. Odwiedza tu groby braci Grimm i syna Hegla. W kawiarence na tym cmentarzu umawia się na rzadkie wywiady.

Zarazem „strach jest ulubionym narzędziem władzy", a także „zamyka przyszłość, odbierając nam dostęp do tego, co możliwe i nowe". Han nie ewangelizuje i nie nawraca, jako ateista kiwam głową, czytając jego teksty o rytuałach, a więc ponownym „zaczarowaniu" czy „przeczarowaniu świata". Taki tytuł nosiła zresztą praca Małgorzaty Mirgi-Tas o Romach w polskim pawilonie w Wenecji, włączająca „inność" jej krewnych do światowej wspólnoty i historii.

Kierunek myśli Hana jest też zbieżny z filozofią Achille'a Mbembe, który powołuje się na płynne, również seksualnie, tożsamości zakotwiczone jednak mocno we wspólnocie i duchowości tradycji afrykańskiej. Nowe człowieczeństwo, którego szukają ci filozofowie, musi być oparte na dopuszczeniu słabości, troskliwości o innych i silnej wspólnocie. A w tym celu na pewno trzeba przestać się bać, odnaleźć nadzieję oraz sposoby jej realizacji w wolnej od przymusu bezczynności.

© MAX CEGIELSKI

REKLAMA

KIM JEST **CZŁOWIEK?**

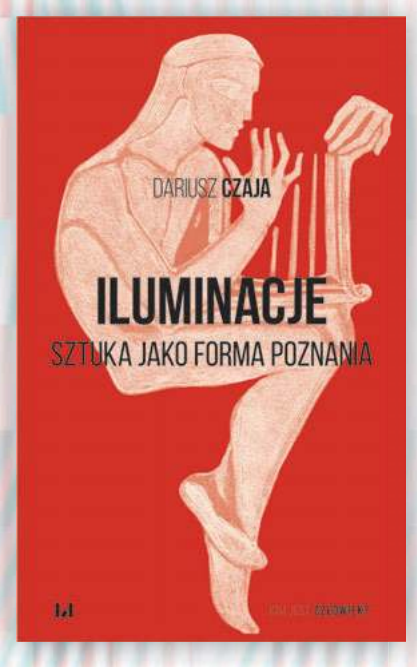

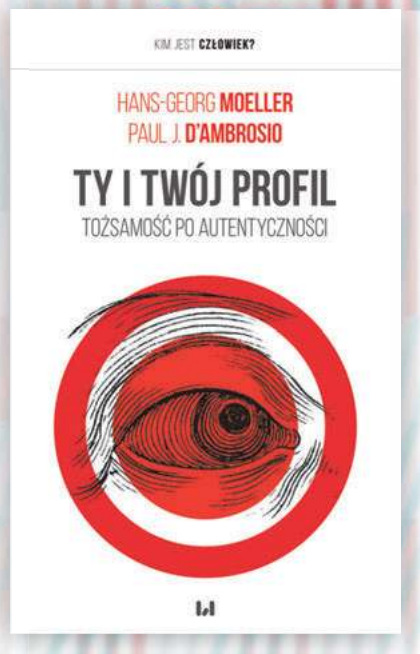

NOWOŚCI W SERII „KIM JEST CZŁOWIEK?" PREZENTUJĄ DROGI POZNANIA CZŁOWIEKA I OTACZAJĄCEGO GO ŚWIATA – OD SZTUKI JAKO NARZĘDZIA ZGŁĘBIANIA RZECZYWISTOŚCI PO WSPÓŁCZESNY ŚWIAT INTERNETOWYCH WIZERUNKÓW.

SERIA ŁĄCZY GŁOSY KLASYCZNYCH UCZONYCH XX WIEKU I WSPÓŁCZESNYCH EKSPERTÓW.

TO KSIĄŻKI, KTÓRE ZACHĘCAJĄ DO REFLEKSJI O ŚWIECIE I O NAS SAMYCH.

WWW.KSIEGARNIA.UNI.LODZ.PL

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Nie można się bać

AGNETA PLEIJEL, PISARKA:

Całą wiedzę, jaką posiadamy, czerpiemy z literatury. Kurs mojemu życiu nadała najpierw Anne Frank, a potem Birgitta Trotzig, która diametralnie zmieniła też moje myślenie o religii. Dziś wiem, że religia nie zamyka, a otwiera ludzi na świat.

AGNETA PLEIJEL (ur. 1940) jest jedną z najwybitniejszych szwedzkich pisarek. Z wykształcenia antropolożka, jest także poetką, dramaturżką i krytyczką literacką. Pod koniec lat 70. jako pierwsza kobieta objęła stanowisko redaktor naczelnej działu kultury gazety „Aftonbladet". W latach 1987-1990 przewodniczyła pracom szwedzkiego PEN Clubu.

Przez dekady pisała w prasie i wypowiadała się w telewizji w najgorętszych debatach kulturalnych i społecznych, w szczególności dotyczących sytuacji migrantów w Szwecji. Zasiadała w wielu gronach jurorskich, m.in. w Towarzystwie Dziewięciu (Samfundet De Nio) i kapitule Nagrody im. Zbigniewa Herberta. Wśród wielu wyróżnień, jakie otrzymała, należy wymienić medal królewski Litteris et Atribus, nagrodę powieściową Szwedzkiego Radia i Nagrodę Nordycką Akademii Szwedzkiej.

Pleijel zadebiutowała w 1981 r. tomem wierszy „Änglar, Dvärgar". Jest autorką politycznie zaangażowanych dramatów i dwunastu powieści, w których często sięga do historii swojej szwedzkiej i jawajskiej rodziny. Po polsku ukazały się „Kto zważa na wiatr", „Lord Nevermore" i „Zima w Sztokholmie", a także wybór wierszy „Anioły ze snu". Autobiograficzna trylogia, na którą składają się „Wróżba", „Zapach mężczyzny" oraz „Ślimaki i śnieg", opisuje nie tylko dzieciństwo, młodość i dojrzałość autorki, ale jest także kongenialnym dokumentem czasu, w Szwecji i na świecie. © JCZ

Przywykła do tego, że radzi sobie sama, ma wystarczająco dużo pracy, ale także słabość, nie potrafi odmawiać. Jak wtedy, gdy pewnego dnia zarząd szwedzkiego PEN Clubu (od kilku lat jest jego członkinią) o ósmej rano stoi przed jej drzwiami.
Musisz zostać nową przewodniczącą, musisz, nie możesz odmówić.
Podaje kawę i próbuje się bronić. Okazuje się, że powstał konflikt z powodu Jana Myrdala, który roznosi perfidne plotki o wytypowanym kandydacie, przez co ten się wycofał. Znad filiżanki z kawą spogląda na twarze w salonie: Margareta Strömstedt, Maria Ekman, Bertil Käll, Kay Glans... przyjaciele, żadni sadyści, dobrzy ludzie.
Nie, proszę. Nie zrzucajcie tego na mnie.
Próbuje uszczknąć trochę czasu, żeby pisać swoje, poza tym musi się utrzymać. Wybierzcie kogoś ze stałym dochodem, prosi.
Nalegają. Błagają.
Aby obronić jeszcze nierozpoczętą karierę pisarską, potrzeba woli z żelaza. Pewności siebie ze stali. Męskiej determinacji. A nie kobiety w średnim wieku wychowanej na uległą. Ulega i akceptuje niepłatną funkcję prezesa szwedzkiego PEN Clubu.

Fragment książki „Ślimaki i śnieg", Karakter, Kraków 2024, tłum. J. Czechowska

JUSTYNA CZECHOWSKA: Na początku lat 80. weszłaś w skład zarządu szwedzkiego PEN Clubu. Jaki był to czas?

AGNETA PLEIJEL: PEN był wprawdzie prestiżową organizacją, ale nie mieliśmy siedziby. Moim poprzednikiem na stanowisku prezesa był Thomas von Vegesack, wydawca w Norstedts, więc zarząd spotykał się w jego gabinecie. Za mojego przewodnictwa zebrania odbywały się zazwyczaj przy stole w mojej kuchni, a biurko miałam pełne PEN-owskich dokumentów. Niebawem mój kolega z zarządu Per Wästberg został wybrany na prezesa PEN International, natomiast Thomas von Vegesack zaczął przewodniczyć Komitetowi ds. Pisarzy Uwięzionych, co bardzo wpłynęło na kierunek, jaki obrało szwedzkie centrum.

Początek lat 80. to czas pełen napięć i wydarzeń w Europie Wschodniej. Trwała zimna wojna, świat dzielił się na Wschód i Zachód. Widać to było wyraźnie podczas światowych kongresów PEN Clubu. Sporo wschodnich klubów działało pod dyktatem Moskwy.

Z niektórymi, jak z polskim klubem, można było rozmawiać szczerze na wszystkie tematy, z innymi unikało się na przykład tematu cenzury, żeby nie stawiać kolegów w trudnej sytuacji, bo w ich delegacjach byli też pisarze reżymowi. Wymagało to szczególnego rodzaju dyplomacji.

Grudzień 1981 r. to w Polsce moment przełomu. Historia solidarności Szwecji z Polską z tego okresu jest dobrze znana. Jak szwedzki PEN zareagował na wprowadzenie stanu wojennego?

Polski PEN Club stracił możliwość legalnego działania. Żeby uniemożliwić władzy manipulację w zarządzie klubu, PEN International, w porozumieniu z polskimi kolegami, uznał polski klub za „dormant", czyli zawieszony.

Oburzyło nas, że władze mogą w ten sposób ingerować w działalność stowarzyszenia, które jest częścią światowej federacji. Per Wästberg zareagował natychmiast, poprosił o spotkanie u generała Jaruzelskiego, a ten przyjął go w swoim gabinecie o czwartej nad ranem. Jaruzelski był dumny, że obronił Polskę przed radziecką inwazją, ale też narzekał na opozycję. Twierdził, że w interesie państwa jest uciszenie zbyt głośnych pisarzy i intelektualistów, dlatego wielu z nich internował. Nie na długo.

Czym różnił się polski PEN od szwedzkiego?

Polski PEN miał świetną renomę, był elitarnym klubem, wstąpienie w jego szeregi uważano za zaszczyt. W Szwecji było inaczej. Za czasów Thomasa von Vegesacka, w latach 70., czyli okresie wszechobecnego egalitaryzmu w Szwecji, ułatwiono wstęp do klubu. Zamysł był chlubny. Większy klub oznaczał więcej składek, a więc funduszy na wsparcie uwięzionych pisarzy.

Ale pewnie wzbudzało to wiele konfliktów?

Lata 80. to okres wzmożonego zaangażowania politycznego w Szwecji. I okazało się, że do PEN-u wstą-



PONTUS LUNDAHL / TT NEWSAGENCY / FORUM

Agneta Pleijel

piła cała grupa maoistów, którzy nie potępili masakry studentów na Placu Niebiańskiego Spokoju w 1989 r., przeciwnie, poparli interwencję chińskich władz. Chcieliśmy ich wykluczyć z klubu, w pierwszym rzędzie znanego szwedzkiego pisarza i dziennikarza Jana Myrdala, który był ich przywódcą. Musiałam odpierać ataki w prasie, gdzie zarzucano nam, że PEN sprzeniewierza się wolności słowa, albowiem obejmuje ona wszelkie wypowiedzi i opinie, także poparcie dla reżimu, który wolność słowa tłamsi przy pomocy czołgów.

W owym czasie już jako przewodnicząca przypominałam, że zadaniem członków PEN-u jest obrona wolności słowa tych, którym jej się odmawia, a nie swobody wypowiedzi ich oprawców. Niestety skończyło się na tym, że na walnym zebraniu PEN Clubu większość zagłosowała przeciw wykluczeniu Myrdala, po czym ja, mój mąż Maciej Zaremba, a także wszyscy wcześniejsi przewodniczący klubu zrezygnowali z członkostwa.

Już wcześniej podobny, jeśli nie głośniejszy konflikt wywołała fatwa wydana na Salmana Rushdiego. Myrdal także wtedy stanął po stronie despotycznej władzy, głosząc, że fatwa była słuszna. Wtedy jednak zorganizowaliśmy wielkie czytanie „Szatańskich wersetów" w Domu Kultury w centrum Sztokholmu. Chyba nigdy nie widziałam tylu patroli policyjnych na wydarzeniu literackim.

Ciekawe, Jan Myrdal był przecież znany z działalności na rzecz wolności słowa i prasy.

Na początku lat 90. zrewidował swoje wcześniejsze poglądy. Debata na temat wolności słowa nigdy nie ustaje, szczególnie w ostatnich latach obserwujemy jej wzmożenie. Niedawno w wielu miastach Szwecji Duńczyk Rasmus Paludan i jego zwolennicy palili Koran. Szwedzkie prawo dopuszcza każdą formę krytyki religii, przez co podpalacze byli chronieni, ale debata toczyła się miesiącami w mediach, w parlamencie i w wielu domach.

Czy Twoim zdaniem wolność słowa jest absolutna, czy jednak ma swoje granice?

Założyciele PEN-u podpisali w 1921 r. Międzynarodową Kartę PEN. Wystarczy, że członkowie trzymają się jej zasad. Mnie zawsze ratował paragraf czwarty:

„PEN Club opowiada się za wolnością prasy i przeciwstawia się arbitralnej cenzurze w czasach pokoju – w przeświadczeniu, że nieuchronne dążenie świata ku wyższym formom organizacji politycznej i gospodarczej wymaga swobody krytyki władz, urzędów i instytucji. Ponieważ zaś wolność zakłada dobrowolne ograniczenie, członkowie zobowiązują się występować przeciwko takim nadużyciom wolności prasy, jak kłamliwe ↦

↦ publikacje, rozmyślne fałsze lub wypaczanie faktów dla celów politycznych i osobistych".

To podstawa wszystkiego: nieakceptowanie kłamstwa, dążenie do prawdy. Owszem, to trudne zadanie, szczególnie dzisiaj. Ale także wtedy, w czasie mojej działalności. Dawni zbrodniarze wojenni chcieli wstąpić do PEN-u, domagając się poparcia w imię wolności słowa. Otwarcie dla nich klubu oznaczałoby uznanie nazistowskich kłamstw.

Co dziś oznacza członkostwo w PEN-ie?

To, co zawsze: to podjęcie obywatelskiego zobowiązania. Idealizowanie czegokolwiek jest niebezpieczne, ale zawsze należy nagłaśniać sprawy, które uważa się za właściwe, nie ulegać propagandzie. Wolność słowa i prawo do wypowiadania własnego zdania należą do najistotniejszych praw człowieka, to element naszej ludzkiej godności.

W tym roku Polski PEN Club obchodzi swój setny jubileusz. Z tej okazji pożyczyliśmy od szwedzkich kolegów akcję „Literatura zakazana". Stworzyliśmy listę książek, które kiedyś były lub dziś są zakazane gdzieś na świecie.
W Polsce od lat cieszymy się brakiem cenzury, choć nawet dziś książki bywają atakowane i są kartą przetargową dla kolejnych władz. W Szwecji znane są przypadki wycofywania książek z bibliotek lub zatrzymywania nakładów. Co myślisz na ten temat?

W 2012 r. skrytykowano genialną ilustratorkę Stinę Wirsén za to, że główna bohaterka książeczki „Lilla hjärtat" (Serduszko) jest czarna i rzekomo wzorowana na rasistowskich stereotypach. Pod presją nagonki autorka sama wycofała cały nakład. W tym samym czasie toczyła się debata wokół innego literackiego bohatera, ojca Pippi Pończoszanki, którego autorka nazywa „królem murzyńskim". W związku ze zmianą paradygmatu na tzw. inkluzywny sugerowano usunięcie z nowego wydania słowa „Murzyn". Zresztą nie tylko tam.

Pisałam wstęp do wznowienia książki Bengta Anderberga „Amorina" z końca lat 90., po czym dowiedziałam się, że druk cofnięto ze względu na to samo słowo. Uważam, że wprowadzanie zmian w książkach nieżyjących autorów jest bardzo niebezpieczne, w ten sposób pozbawiamy kolejne pokolenia ważnej wiedzy historycznej.

> Czy byłam odważna? Nie zawsze. W młodości często ulegałam poglądom innych. Ale dziś powtarzam wnukom, że nie należy się bać.

Wiele klasycznych pozycji wpada w tę maszynę poprawności politycznej. Jednym z flagowych przykładów jest „Jądro ciemności" Conrada.

Ta powieść pojawiła się w dyskusjach już w latach 80., po tym, jak wysunęłam kandydaturę nigeryjskiego pisarza Chinui Achebego na przewodniczącego Międzynarodowego PEN-u. Okazało się, że nie każde centrum darzy Achebego zaufaniem. Najgłośniej sprzeciwiał się polski PEN. Najprawdopodobniej Polacy uznali, że Achebe zbyt pochopnie potępił „Jądro ciemności" jako afirmację rasizmu. Słyszałam także opinie, że Polacy nie chcieli ciemnoskórego na przewodniczącego. Nie sądzę, że tak było. Wiem natomiast, że nie mieli pełnego zaufania do pisarzy z krajów postkolonialnych, bo to była strefa wpływów Związku Radzieckiego.

W „Ślimakach i śniegu" powracasz wciąż do konfliktów, sprzeczności, w życiu zawodowym i prywatnym, a także w sobie samej. Co dały Ci w życiu?

Konflikty są bardzo cenne, dzięki nim stajemy się mniej niewinni, konfrontujemy się sami z sobą. Uderzają w człowieka, sprawiają ból, ale uważam, że należy wypowiadać nawet najmniej wygodne prawdy. PEN jest właśnie taką niewygodną organizacją, bo konfrontuje się z systemami, jest niezależny, a przy tym gromadzi mądrych, odważnych ludzi. Czasem myślę sobie, jaki to cud, że PEN przetrwał ponad sto lat i wciąż się rozwija. Większość takich niewygodnych instytucji znika, świat się zmienia, wszystko się rozprasza.

W wieku dwudziestu ośmiu lat na konferencji w Finlandii zasiadłaś do dyskusji między Claude'em Simonem a Mariem Vargasem Llosą. Przez dekady byłaś krytyczką literacką, ale też niestrudzoną uczestniczką debat i dyskusji, społecznych i politycznych, w telewizji i na łamach prasy. Skąd w Tobie tyle odwagi?

Odpowiem jak Szymborska: nie wiem. Domyślam się, że to musiało zacząć się jakoś w dzieciństwie. Nauczyłam się, że należy dostrzegać pojedynczego człowieka, w porę wyczuć, że ziemia usuwa się nam spod nóg, że wszystko się zmienia, że trzeba umieć przyznać się do niewiedzy. A w tej swojej niewiedzy musimy mieć jakieś drogowskazy.

Wielkimi postaciami o silnych, wspaniałych osobowościach byli dla mnie Václav Havel i Nelson Mandela. Nadali swojemu życiu kurs i byli nieugięci. Człowiek musi zadawać sobie pytanie, dlaczego coś jest takie, jakie jest, to najważniejsza siła napędowa ludzkości. Jeśli świat zaczyna cię uwierać jak niewygodny but, musisz umieć się mu sprzeciwić.

Czy byłam odważna? Nie zawsze. W młodości często ulegałam poglądom innych. Ale dziś wciąż powtarzam wnukom, że nie należy się bać.

Jaką rolę odgrywa w tym literatura?

Najważniejszą. Całą wiedzę, jaką posiadamy, czerpiemy z literatury. Dlatego tak bardzo martwi mnie, że młodzi nie czytają. Kurs mojemu życiu nadała najpierw Anne Frank. Jej „Dziennik" tak bardzo mnie poruszył, że napisałam o nim wypracowanie, jedyne w mojej szkolnej karierze, które oceniono najwyższym stopniem. W dorosłości niezwykłą rolę odegrała twórczość Birgitty Trotzig. Diametralnie zmieniła moje myślenie o religii, uświadomiła mi, że ona nie zamyka ludzi, a właśnie otwiera ich na świat.

© Rozmawiała JUSTYNA CZECHOWSKA

Tekst powstał we współpracy z Polskim PEN Clubem w roku 100-lecia jego istnienia.

ELIZA

Kącka: *Grzejnik nie słucha*



Wizyta majstrów po awarii kaloryfera. Dwóch: jeden krępy, starszy, Gargantua z narzędziownikiem, a tam klucze, śrubokręty, paleta śrub i śrubek. Ruda przygląda się z fascynacją. Drugi majster też krzepki, sporo młodszy, na intensywnych obrotach. Gargantua zaczepia Rudą: „O, jak łypie. A mnie by się pomoc przydała". Do mnie: „Patrzy jak ptak na robaka, zaraz śrubkę dziobnie". Ruda w śmiech. Pantagruel: „Podkręci panna rurę?". „Ja studiuję pedagogikę!". Gargantua: „A to akurat, bo grzejnik mnie nie słucha. Powie mu coś panienka?". Ruda, rechocąc: „Grzejnikowi?!". „No co, wszystko ma duszę". Ruda zezuje. Pantagruel: „Eee, pedagogika pedagogiką. A fach dobrze mieć". Do Rudej: „Klamkę mam. Może zamontujemy gdzieś?". Gargantua: „W lodówce od wewnątrz". Ja: „Brakowało mi". Ruda: „Przestańcie, komicy". Kaloryfer dokręcony, siedzimy, czekamy, czy ruszy. Pantagruel omiata wzrokiem piramidki książek: „Jej, ile tego. Pewnie mama to czyta". Ruda: „Ale też pisze". „Dodatkowo?!".

Jazda na Stawki, gdzie przeprowadzono Wydział Polonistyki. Umschlagplatz odcina się, jak zawsze, od ruchliwości miasta. Ciemna rampa. Podchodzi staruszek: „Wie pani, co tu się działo?". „Aha". Milczymy. „Ja tu co tydzień z Zamenhofa docieram. Moja rodzina tu...". Nie dopowiada. Po chwili: „Prawda, że tu wieje chłodem?". „Tak". „Tu jest zawsze zimno. Przysięgam, nawet w upał". Pauza. „Albo to mnie jest zimno tu...". Milczymy. „Bo wie pani, na cmentarzu to ja rzadko bywam. Ja tam nic nie czuję. Smutek, owszem. Ale fizycznie nic. A tu przychodzę, i od razu to zimno... Jakby mi chcieli coś powiedzieć. Potem wlokę się do domu, kładę się i myślę, że im tu było tak zimno, zimno, aż stawało serce. I to mi przekazali". „Ten mróz w środku miasta". „Ten mróz".

Poradnia kardiologiczna. Dwie starsze. Pierwsza: „Ależ z tą edukacją zdrowotną przegrali...". Druga: „Kto?". „No, wiadomo kto. Rodzice dzieci zabierają". „Ja to myślę, że się dzieciom po prostu nie chce uczyć". „Uczyć?! Niby czego? Jak spółkować?!". „A to tego ma dotyczyć?". „Wyłącznie. No niech też pani pomyśli: co liberał może rozumieć przez »zdrowie«?". „Profilaktykę?". „Jaką? Jak grypy nie złapać?". Milczą przez chwilę. Druga: „Wie pani, tak teraz myślę. Dziewczynki są bezbronne, nienauczone, jak sobie kłopotów nie narobić". „Kłopotów?". „Obie wiemy. Ciąże za wczesne...". „I niby ten przedmiot miałby przed tym chronić?". „No chyba... Świadomość...". „Świadomość jest dla ateistów. Bóg chroni". „Bóg chroni przed chłopcem?". „A tak. Przykazanie jest. Ja po ślubie zaszłam". „Mąż widocznie podobnie myślał...". „Tu się nie myśli, tu się wierzy". „A ja jednak myślę, że trochę trzeba o ciele wiedzieć...". „Nie!". „Bo?". „Ciało to piekło. I ta pani wiedza".

Tramwaj 19, jedziemy ku centrum. Na Marszałkowskiej dosiada się gość po siedemdziesiątce w kapeluszu. Podaje mi pocztówkę. Na niej stara Marszałkowska widziana od placu Unii. „A ładne" – mówię. „Tu pani siedziała" – dziobie palcem. „?". „Widziałem panią tu na ławce". „Tu?". „Tu. Siedziała pani z niebieskim kotem na kolanach". Staruszka z siedzeń sąsiednich: „Ten pan bredzi. On jest z mojej klatki". On: „Jestem, ale to pani bredzi". „Cham!". „Cicho tam, jeszcze pani pożyje". Do mnie: „Widuję ludzi z kotem. We śnie. Potem spotykam ich na jawie. Kot u mnie oznacza śmierć". Myślę: „Czyli to kartka ostrzegawcza?". Staruszka: „Co też! Pani nie słucha! Tfu!". On: „Nie". „Czyli już nie żyję?". „We śnie – tak". „Szybko poszło". Uśmiechnął się: „Ale jeszcze siedzi pani na ławce". „A kot?". „Patrzy na panią przez okno. Zawsze tak robi". Skręcamy z Nowowiejskiej, Niebieska poświata na wyziębionej szybie.

Autobus 116, jazda z Mokotowa. Dwójka w wieku studenckim. Dziewczyna: „Co wyświetlasz?". On: „Rolki o jedzeniu". Zaglądają. „Bosz, ja to bym głodna była od razu". „Nie, to sport". „?". „Zawody. Oni muszą wszystko wcisnąć naraz". „Daj spokój, te talerze mięsa? Ta chuda dziewczynka?". „No". „Ona potem nie je przez tydzień, żeby nie tyć". „Możliwe, ale ja bym tak wolał". „Co?". „Wciągać jak odkurzacz i potem trawić dwa dni". „To jest jakieś zaburzenie. Ja muszę trochę pocelebrować...". „Noo, to nie mukbang". „A to sekta jakaś?". „Nie, po prostu nagrywasz, jak wchłaniasz, a potem tysiące cię śledzą". „Ok, no zaburzenie". „Może, ale daje satysfakcję". „Jaką?!". „Oni są tacy fajnie, łapiesz, nieludzcy". „Hm". „Takie blade potworki. Zero mimiki. Tylko sprzątają te góry żarcia". „A jak im zabraknie?". „To się za nas zabiorą, haha". „Przestań!".

Park Promenady, ławki. Na sąsiedniej starszy z papierosem i książką w oprawie introligatorskiej. Dostrzegł, że popatruję. Cudowna podróż. „O, jak miło". Spojrzał smutno: „Czytam, gdy zastanawiam się, co mnie tu trzyma". „W Warszawie?". „Nie, w życiu". „Aha". „Rano doszedłem do wniosku, że odpowiedzialność za to, co oswoiłem". „Hehe, Mały Książę". „Sam bym do tego doszedł. Dokarmiam kota, niedaleko. Mamy magnetyczną więź. Ale bolesną". „Dlaczego?". „Nie chce ze mną do domu. A żyć beze mnie – też nie". „Kiepsko". „Nie mam nikogo innego. Mówię mu: »Bury, zlituj się, żyjmy razem«, ale on jest dziki i kluczy". „Uhm". „Na żadnej mi tak nie zależało jak na tym kocie. Okrutnie jest być niepotrzebnym". „Owszem". „Czyjaś potrzeba musi nas dotknąć". „Szturchnąć nosem". „A tak". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

KULTURA

LEO, CZYLI KINO

Pod względem gwiazdorskiego statusu i artystycznego dorobku Leonardo DiCaprio to ostatni tyranozaur Hollywood. W nowym filmie Paula Thomasa Andersona powiększa kolekcję wielkich ról, a przy okazji staje się źródłem serii znakomitych memów.

MICHAŁ WALKIEWICZ

Mem pierwszy: Leonardo odnosi sukces

Wielki Gatsby zerka w kamerę i wznosi toast. Za jego plecami fajerwerki rozświetlające niebo, a przed nim Nick Carraway, czyli widz. W słynnej powieści Francisa Scotta Fitzgeralda Carraway to sumienie prowincjonalnej Ameryki zderzone z żywiołem wielkomiejskiej dekadencji. Grany przez DiCaprio bon vivant staje się symbolem świata, o którym skrycie marzymy, a do którego bramy na zawsze pozostaną zamknięte.

Leonardo DiCaprio rozpychał się łokciami w tym świecie już w latach 80., gdy jako ośmiolatek trafił na plan popularnego sitcomu „Dzieciaki, kłopoty i my". Czujne oko wypatrzyło go później w „Crittersach 3" (1991), opowiadających o inwazji kosmicznych futrzaków, oraz thrillerze erotycznym „Trujący bluszcz" (1992), do którego lepiej nie wracać – zwłaszcza jeśli kochacie Leo. Mało kto przypuszczał wówczas, że lata 90. będą należeć właśnie do niego.

Grał w filmach małych i dużych, ważnych i nieistotnych, realizowanych z myślą o multipleksach oraz filmoznawczych piwnicach. W „Całkowitym zaćmieniu" (1995) Agnieszki Holland zamienił poetę Arthura Rimbauda w króla wszystkich narcyzów. W „Chłopięcym świecie" (1993) Michaela Catona-Jonesa był ofiarą apodyktycznego ojczyma i odkładał w sobie złość na niechybną rebelię. W „Szybkich i martwych" (1995) Sama Raimiego strzelał z biodra i uwodził Sharon Stone, a za rolę niepełnosprawnego umysłowo nastolatka w „Co gryzie Gilberta Grape'a?" (1993) Lassego Hallströma zdobył swoją pierwszą nominację do Oscara. To zresztą kolejna opowieść napisana memami. Mimo że wyczyn powtórzył aż sześciokrotnie, tylko raz opuszczał galę ze statuetką.

Jedno z esencjonalnych pytań zadawanych przez ponowoczesnego człowieka – czy bohater „Titanica" (1997) zmieściłby się na dryfujących drzwiach razem ze swoją ukochaną? – jest kluczowe dla zrozumienia jego ówczesnej kariery. Zmieściłby się, to oczywiste. Ale nie w tym rzecz. Powinniśmy pytać raczej, kim byłby Leonardo DiCaprio, gdyby w ogóle próbował się na te drzwi wdrapać. Nieuleczalni romantycy z filmu Jamesa Camerona, „Człowieka w żelaznej masce" (1998) Randalla Wallace'a oraz „Romea i Julii" (1996) Baza Luhrmanna mieli swoją godność, a głupota nie przeszkadzała im w miłości. I pewnie dlatego tak dobrze wyglądali na ścianach naszych pokojów. ↦



Leonardo DiCaprio w filmie „Jedna bitwa po drugiej" (2025)

MATERIAŁY PRASOWE



Mem drugi: Leonardo jest sarkastyczny

Kolejny film, kolejny toast. Tym razem kieliszek podnosi w „Django" Calvin Candie – właściciel plantacji bawełny, handlarz niewolników i zwolennik teorii eugenicznych. Jego skwaszony uśmiech zdradza wszystkie odcienie ironii i nie bez powodu jest to najpopularniejszy mem z DiCaprio. Gdyby sarkazm był bronią masowego rażenia, w Hollywood ziałby teraz krater.

↦ Filmy przypadające na moment zmiany „kategorii wagowej" w karierze aktora są z dzisiejszej perspektywy szalenie ciekawe. Prym wśród nich wiedzie „Niebiańska plaża" (2000) Danny'ego Boyle'a. To groch z kapustą: dziwaczna, pulsująca w rytmie popowych szlagierów, postkolonialna impresja o młodych wagabundach; jednocześnie kolorowy blockbuster, krytyka konsumpcjonizmu oraz okrutny żart z jego utopijnych alternatyw.

Upadek młodzieżowej komuny jako metafora „poszukiwania tożsamości" przez „bożyszcza nastolatek" była centralnym punktem marketingowego planu. Skończyło się jednak na konfuzji. Bez jasnej odpowiedzi na pytanie, kim właściwie jest bohater DiCaprio – złotym chłopcem w morskiej pianie czy przestymulowanym, uwalanym błotem hipokrytą – ludzie niechętnie sięgali po portfele.

To, co wydarzyło się później, do dziś pozostaje jedną z największych zagadek Hollywood. Choć Leonardo DiCaprio nie wybrał się na urlop i na przełomie wieków grywał w filmach regularnie, jakimś cudem zakrzywił wokół siebie czasoprzestrzeń. To wtedy zniknął dzieciak z boysbandu, a wyłonił się ktoś na kształt wczesnego Jacka Nicholsona. Niby ten sam Leo, ale nieco tęższy, dojrzalszy, ze zmarszczkami na czole oraz nowym arsenałem aktorskich trików.

Późniejsze występy u Quentina Tarantino w „Django" (2012) oraz „Pewnego razu... w Hollywood" (2019) są doskonałą egzemplifikacją żartu, który stał się udziałem gwiazdora. W swoich najbardziej niepoważnych wcieleniach DiCaprio okazał się bowiem najpoważniejszym współczesnym aktorem. Zwłaszcza ten drugi film – historia wyliniałej hollywoodzkiej gwiazdy na drodze do artystycznego odkupienia – wydaje się znamienny. Biografia

Leonardo DiCaprio **na przełomie wieków zakrzywił czasoprzestrzeń.** To wtedy zniknął dzieciak z boysbandu, a wyłonił się artysta w stylu młodego Jacka Nicholsona.

DiCaprio to przecież opowieść o ustawicznym przestawianiu zwrotnicy.

Mem trzeci: Leonardo się wzrusza

Rick Dalton, bohater „Pewnego razu... w Hollywood", siedzi na ganku ze łzami wzruszenia w oczach. U legendy spaghetti westernu Sergio Corbucciego zagrał tak dobrze, że jego własne ręce składają się do oklasków. Gdy coś wam w życiu wyjdzie, bądźcie jak Rick Dalton. Gdy nie wyjdzie – też.

Nie ma „późnego" DiCaprio bez „późnego" Scorsese. Nakręcili wspólnie sześć filmów i każdy z nich rzucał na aktora nowe światło. W „Gangach Nowego Jorku" (2002) DiCaprio skradał się jeszcze w cieniu wielkiego Daniela Day-Lewisa. Ale już w „Aviatorze" (2004), „Infiltracji" (2006) oraz „Wyspie tajemnic" (2010) był facetem z oscarowym kredytem zaufania.

Wieńczące ich wspólną drogę „Wilk z Wall Street" (2013) oraz „Czas krwawego księżyca" (2023) wyznaczają dwa bieguny aktorskiej skali. Z jednej strony – bezbłędny komediowy *timing*, slapstickowy język ciała, katalog niepodrabianych gestów i tików. Z drugiej – gwałtowne emocje pulsujące za membraną bezradności, łatwość w sygnalizowaniu moralnych rozterek, wrażliwość idąca w parze z brutalnością.

W tym ostatnim filmie DiCaprio spotkał się po latach z Robertem De Niro, czyli drugą z wielkich muz Scorsesego (wcześniej wystąpili wspólnie w „Chłopięcym świecie"). I przyznam szczerze, że porównywanie obydwu aktorów zawsze wydawało mi się bezzasadne. O ile Scorsese obierał De Niro z kolejnych warstw szorstkiej męskości, by odsłonić jego bijące serce, o tyle DiCaprio grywał u niego bohaterów złamanych już na pierwszy rzut oka; ledwie maskujących swoją kruchość, w oczywisty sposób przetrąconych psychicznie i skonfrontowanych ze światem bezlitośnie eksploatującym ową „słabość".

Myślę, że właśnie z tego powodu DiCaprio równie dobrze sprawdza się w rolach cynicznych twardzieli. Thriller „W sieci kłamstw" (2008) Ridleya Scotta, filmowa łamigłówka „Incepcja" (2010) Christophera Nolana czy dramat „Krwawy diament" (2006) Edwarda Zwicka nie są dziś wymieniane jako jego największe osiągnięcia (choć za ten ostatni film złapał nominację do Oscara). A szkoda, bo właśnie w tych dziełach gwiazdor samodzielnie sprowadził kino akcji na poziom moralitetu.

Mem czwarty: Leonardo rzuca pieniędzmi

Jordan Belfort zwany Wilkiem z Wall Street żegna agentów federalnych, posypując ich głowy studolarówkami prosto ze swojego jachtu. Tak trzeba żyć?

Fakt, że w niemal wszystkich słynnych memach z Leonardem DiCaprio pojawia się alkohol, interpretuje się na różne sposoby. Niektórzy fani twierdzą, że mamy do czynienia z równym gościem, ze swojakiem w Hollywood, który pewnie skoczyłby z nami na piwko, gdyby tylko znalazł wolną chwilę. Inni – że DiCaprio jest przede wszystkim aktorem gestów; że relację z widzem nawiązuje dzięki precyzyjnym i ekonomicznym ruchom ciała – takim jak toast.

Dzięki podobnym dywagacjom DiCaprio stał się na naszych oczach gwiazdą większą niż kino – nie całkiem w anachronicznym stylu dawnego Hollywood, ale i nie do końca współczesną. Jego styl życia wydaje się zresztą niezłym odzwierciedleniem obydwu żywiołów. Młodziutkie partnerki, jachty, luksusowe apartamenty i prywatne wyspy czynią z niego relikt zapomnianej epoki. Skala aktywizmu klimatycznego przesuwa go natomiast w rejony nowoczesnej kultury celebryckiej – często równie fasadowej jak ta z lat 30.

Żeby była jasność – i jedna, i druga medialna stylówka pozostaje przedmiotem nieustannej i często zasłużonej krytyki. Transport prywatnymi odrzutowcami

Dodaj do ulubionych. Niedocenione role Leonarda DiCaprio



RONALD GRANT ARCHIVE / BE&W

▪ **W SIECI KŁAMSTW** (2008), reż. Ridley Scott
Leonardo DiCaprio jako Roger Ferris – agent CIA i „człowiek w terenie" spleciony w klinczu z „człowiekiem z biura", granym przez Russella Crowe'a. Bardzo lubię ten okres w karierze Leo. Grywał niemal samych przetrąconych twardzieli, którzy muszą sobie uświadomić jedną ważną rzecz: świat to spsiałe miejsce, ale warto o niego walczyć.



PHOTO12

▪ **SZYBCY I MARTWI** (1995), reż. Sam Raimi
Filmowy odlot na Dzikim Zachodzie. W obsadzie Sharon Stone, Gene Hackman, Russell Crowe, Lance Henriksen oraz Tobin Bell – absolutnie wszyscy grają rewolwerowców. DiCaprio też wciela się w rewolwerowca. Nosi ksywkę Dzieciak. Ale gra jak dorosły.



PHOTO12 / BE&W

▪ **CELEBRITY** (1998), reż. Woody Allen
Na długo przed tym, zanim Allen pojechał na Moskiewski Tydzień Filmowy w charakterze mówcy motywacyjnego, zdarzało mu się kręcić doskonałe filmy. Na przykład „Celebrity" – zamaszystą satyrę na amerykański biznes filmowy. DiCaprio gra w nim zepsutego do szpiku kości idola nastolatek, czyli trochę siebie.



UNITED ARCHIVES GMBH / / ALAMY / BE&W

▪ **INFILTRACJA** (2006), reż. Martin Scorsese
Dramatycznie niedoceniony występ w filmie, w którym to drugi plan – z Jackiem Nicholsonem i Markiem Wahlbergiem na czele – pochłonął całe światło. Zakonspirowany policjant Billy Costigan, facet na krawędzi psychicznej wyporności, to jedna z najciekawszych ról w karierze DiCaprio. I, wbrew rozbuchanej konwencji mafijnego eposu, jedna z subtelniejszych. © MW

oraz utrzymanie wszystkich domów oraz posiadłości generuje więcej szkód dla środowiska niż utylizowanie odpadów komunalnych w Warszawie.

Nawoływanie do błyskawicznej zmiany nawyków żywieniowych w kraju, gdzie zdrowe jedzenie kosztuje rękę i nogę, to PR-owa mowa-trawa. Z kolei łożenie milionów dolarów na ochronę oceanów i odnawialne źródła energii powinno iść w parze z całkowitą transparentnością operacji finansowych – a z tym w przypadku rozmaitych fundacji DiCaprio bywało różnie.

Mem piąty: Leonardo ogląda film

Rick Dalton gwiżdże i wskazuje palcem na ekran telewizora. Widzieliście? To Leonardo DiCaprio – ostatni aktor, dla którego chodzimy dziś do kina.

W połowie drugiej dekady XXI w., czyli jakoś na etapie „Zjawy" (2015) Alejandra Gonzáleza Iñárritu, stało się oczywiste, że DiCaprio to jedno z niewielu nazwisk, którymi w Hollywood da się „sprzedać" film. System gwiazd został dawno wyparty przez producencką machinę superherosów, marek oraz popkulturowych uniwersów. I choć Leo zdobył upragnionego Oscara za charczenie, smarkanie, szczerzenie zębów i pałaszowanie surowizny, to pokażcie mi drugi film, w którym podobne atrakcje są rozrywką dla masowego widza?

Nie dziwi zatem, że wyświetlana właśnie na ekranach kin „Jedna bitwa po drugiej" to w pierwszej kolejności „film z DiCaprio". I to nawet pomimo faktu, że na podstawie prozy Thomasa Pynchona nakręcił go Paul Thomas Anderson – żywy klasyk amerykańskiego kina, twórca „Aż poleje się krew", „Mistrza" i „Magnolii"; facet, który historię Ameryki, podobnie jak Pynchon, pisze raz wielkimi, a raz małymi literami – groteska i absurd idą u niego w parze z poważną historiozofią.

Uwspółcześniona historia grupy rewolucjonistów wojujących z republikańskim establishmentem ogniem i mieczem jest w interpretacji Andersona raczej tragikomedią niż dramatem. Zwłaszcza że Amerykę Reagana zastąpiła Ameryka Trumpa, rzeczywistość zaś zamieniła najostrzejsze satyry w grzeczniutką publicystykę. DiCaprio odnajduje się w tej konwencji doskonale. W jego żyłach płynie w końcu kontrkulturowa krew. Ojciec aktora, George DiCaprio, wsławił się jako performer, a także autor i wydawca undergroundowych komiksów w latach 70.

To jedynie ciekawostka, klucz autobiograficzny nie pasuje do tego zamka. Cała konstrukcja jest zbyt skomplikowana, także pod względem aktorskim. W rozedrganym ciele rewolucjonisty kotłują się bowiem wszyscy bohaterowie, których DiCaprio dotąd nie zagrał – zesłani na margines, wędrujący od porażki do porażki, okazujący heroizm w skromnych gestach, odklejeni od rzeczywistości, zmieleni przez polityczną machinę, żałośni i szlachetni zarazem. I jeśli czegoś mi w repertuarze najlepszego współczesnego aktora dotąd brakowało, to chyba tego rodzaju emocji i kontrastów.

Mem szósty: Leonardo niczego się nie boi

XIX-wieczny traper Hugh Glass wznosi wzrok ku niebu. Z jego brody zwisają sople lodu, twarz przypomina zakrwawioną pięść. Właśnie zjadł surowe mięso i wyspał się w końskich wnętrznościach. Wtorki takie są.

Gdyby zestawić powyższy kadr ze „Zjawy" z dowolną fotografią aktora z lat 90., można dojść do wniosku, że mówimy nie tylko o dwóch różnych osobach, ale i odmiennych filozofiach sztuki aktorskiej, artystycznych potrzebach oraz ambicjach, a także o skrajnych filmowych światach. Niewielu aktorów zdobyło się na taką podróż. Na palcach jednej ręki policzycie z kolei tych, którzy dotarli do celu.

© MICHAŁ WALKIEWICZ



Życie w wersji instant

PIOTR ONAK, KURATOR:

WYSTAWA | Instagram, YouTube, reality shows, selfie, wirale i tabloidy – wiele elementów popkultury i mediów funkcjonuje według zasad, które zauważył i uruchomił dziesiątki lat temu Andy Warhol.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA: Szybkie bingo – z czym się kojarzy Andy Warhol?

PIOTR ONAK: Z kolorowymi portretami Marilyn Monroe i serią obrazów z puszką zupy Campbell, ewentualnie z pop-artem. Widać tu pewien paradoks – mimo tego, że Warhol uchodzi za jednego z najbardziej znanych artystów na świecie, to wiemy o nim dość niewiele. Jego działalność nie ograniczała się do jednej dziedziny sztuki. Stanowiła spektrum nie tylko artystycznych, ale także społeczno-kulturowych działań, które na dobre przeniknęły do popkultury.

Dlatego na plakacie promującym Waszą wystawę nie ma ikonicznych dzieł Warhola?

Zależało nam, by iść pod prąd, dlatego plakat jest czarno-biały i minimalistyczny. Jest na nim sam Warhol sfotografowany przez Richarda Avedona w kwietniu 1969 r.

Artysta pozuje krótko po tym, jak został postrzelony w swoim gabinecie przez Valerie Solanas. Ledwo uszedł z życiem, przeszedł poważną operację, która zostawiła na jego ciele wiele blizn. Na wystawie pokazujemy właśnie takiego Warhola – nie ikonę popkultury, nie artystę wszech czasów. Pokazujemy go pokiereszowanego. A potem warstwa po warstwie odsłaniamy go, zapraszając w podróż po jego życiu i twórczości. Patrzymy na Warhola z wielu perspektyw i co najważniejsze – nie skupiamy się wyłącznie na jego dziełach.

Pokazujemy na przykład początki Warhola, o których mało kto wie: wczesne komercyjne zlecenia, ilustracje w magazynach modowych, książkach kucharskich i książeczkach dla dzieci, zaprojektowane przez niego materiały, które można było kupić w popularnych domach towarowych, oraz tworzone na przełomie lat 40. i 50. okładki płyt winylowych.

A także jego pierwsze artystyczne próby: rysunki prowadzone cienką, lekko drżącą kreską.

Warhol szukał siebie?

Jego historia to opowieść o człowieku, który nieustannie tworzył siebie na nowo, wciąż siebie redefiniował. I mimo tego, że nieustannie kreował i bawił się swoim artystycznym wizerunkiem, ciągle obawiał się, że będzie nieistotny, nieprzystający. W swoich pamiętnikach sporo o tym pisał, nie dawało mu to spokoju.

Co dla Ciebie, jako kuratora tej wystawy, było kluczem do pokazania Warhola?

Szalenie inspirująca była dla mnie jego ewolucja. Wiele osób sądzi, że kariera Warhola zaczęła się od czegoś wielkiego, spektakularnego. Ja – dość przekornie –





Wystawa **ANDY WARHOL. A KIND OF RETROSPECTIVE** prezentowana jest w Pop Culture Gallery w Starym Browarze w Poznaniu i potrwa do 28 lutego 2026 r. Na trzech kondygnacjach pokazano m.in. oryginalne grafiki, polaroidy, filmy, szkice, archiwalne reklamy, zaprojektowane przez artystę okładki magazynów oraz płyt. Prace wideo na potrzeby ekspozycji udostępniło Andy Warhol Museum w Pittsburghu, wiele artefaktów pochodzi od prywatnych kolekcjonerów.

Zdjęcia towarzyszące tekstowi pochodzą z wystawy.

MAREK ZAKRZEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE X3

chciałem pokazać, że Warhol nie od razu był sławnym artystą.

Urodził się jako Andrew Warhola w robotniczej rodzinie na przedmieściach Pittsburgha, jego rodzice byli ubogimi imigrantami ze wschodniej Europy. Po studiach, w wieku zaledwie 20 lat, wyjechał do Nowego Jorku, gdzie zaczynał od pracy w agencjach reklamowych, był ilustratorem, współpracował także z magazynami modowymi. Dopiero wiele lat później pojawił się Andy Warhol, a wraz z nim świadomie budowany wizerunek ze srebrną peruką w roli głównej.

To ważne?

Dziś to szczególnie ważne, bo mamy nierealne oczekiwania wobec rzeczywistości. Wszystko powinno przychodzić z łatwością, być na już, dostępne na wyciągnięcie ręki: kariera, pieniądze, sukces, wiedza, doświadczenie. Życie w wersji instant. A gdzie droga, czas na poszukiwania, błądzenie, pytanie siebie, czego tak naprawdę się chce?

Warhol wiedział, co przyniesie przyszłość, i stworzył podwaliny dla współczesnej popkultury. Sam miał obsesję rejestrowania życia – nie rozstawał się z polaroidem, fotografował celebrytów w The Factory, uwieczniał także zakupy z supermarketu i własne posiłki. W latach 60. stworzył coś na kształt analogowego Instagrama. Mawiał nawet, że jego polaroidy to pamiętnik – nie prywatny, ale tworzony dla publiczności, dla widowni.

Już wtedy wiedział, że ludzie uwielbiają obserwować innych, sam lubił to robić. Na kanwie tej fascynacji powstały „Screen Tests" – setki minimalistycznych portretów wideo. Warhol ustawiał kamerę i prosił gości The Factory o to, by przez kilka minut wytrzymali jej spojrzenie. Żadnego scenariusza, żadnej reżyserii, tylko kilka minut ciszy i pełnego skupienia.

Dlaczego Warhol miał obsesję na punkcie sławy i celebrytów?

Ta fascynacja pojawiła się w nim, gdy był bardzo młody. Jako dziecko chorował na pląsawicę Sydenhama, która wpłynęła na jego wygląd i potęgowała poczucie wyobcowania. Dużo czasu spędzał w domu, jego towarzyszką była mama, która – by chłopiec się nie nudził – przynosiła mu kolorowe magazyny pełne gwiazd i celebrytów, a mały Andrew robił z nich kolaże.

W latach 60., gdy jego artystyczna kariera nabrała rozpędu, stworzył swoje atelier, The Factory, które stało się modnym miejscem dla amerykańskiej bohemy: artystów, muzyków, celebrytów. Można było spotkać tam Jeana-Michela Basquiata, Micka Jaggera czy Jerry Hall. Warhol lubił więc otaczać się śmietanką towarzyską, choć sam – co jest dość paradoksalne – raczej uchodził za introwertyka.

Ale był jednym z pierwszych influencerów.

Tak, w 1985 r. promował komputer Commodore Amiga 1000, tworząc na wizji w programie graficznym portret Debbie Harry, wokalistki zespołu Blondie.

Jego prace wciąż są wykorzystywane w reklamach.

Warhol przyjaźnił się z Basquiatem, w 1982 r. zrobił mu portret swoim ↦



MAREK ZAKRZEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE X2

↦ polaroidem. W czerwcu tego roku dom mody Dior wykorzystał tę przejmującą fotografię w swojej kampanii.

Czyli dzisiejsza popkultura jest w dużej mierze dziełem Warhola?

Chyba nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo jego twórczość przeniknęła do wielu obszarów współczesnego życia i, co ciekawe, nadal, mimo upływu lat, działa z ogromną siłą. Instagram, YouTube, reality shows, selfie, wiralowy kontent, tabloidy – wiele elementów współczesnej popkultury i mediów funkcjonuje według zasad, które on zauważył i uruchomił dziesiątki lat temu.

Seryjność, powtarzalność, inscenizowana codzienność, kreowanie swojego wizerunku w mediach, tworzenie obrazów-produktów, szeroko rozumiana komercjalizacja, docieranie do masowego odbiorcy – naprawdę ciężko znaleźć obszary współczesnej popkultury, w których Warhol nie maczałby palców. Wielki wpływ na media wywarł także wydawany przez niego magazyn „Interview", który był powiewem odwagi i świeżości, wyznaczył nowe kierunki dla prasy modowo-lifestylowej.



WOJCIECH PIOTR ONAK – interdyscyplinarny dyrektor kreatywny i kurator wystaw. Absolwent Central Saint Martins College of Art and Design i London College of Fashion. Założyciel studia OCR Creations, doświadczenie zdobywał w renomowanych londyńskich agencjach kreatywnych, m.in. SHOWstudio i Six Creatives. Współpracował z wieloma artystami, m.in. z Alexandrem McQueenem, Vivienne Westwood, Björk i Pamelą Anderson.

A myślisz, że dziś Warhol byłby aktywny na TikToku i Instagramie?

On zawsze robił wszystko na przekór, więc myślę, że nie byłoby go w social mediach. Skoro kilkadziesiąt lat temu stworzył świat, który mamy teraz, dzisiaj chciałby stworzyć coś nowego, pójść kilka kroków dalej. Wydaje mi się, że przewrotnie byłby offline. Może zacząłby wysyłać do przyjaciół i znajomych gołębie pocztowe z odręcznymi listami? Albo jeździłby konno do supermarketu, wzorując się na Grace Jones, która kiedyś wjechała tak do Studia 54? Na pewno byłby już w przyszłości. A przynajmniej wiedziałby, jak ona będzie wyglądać.

Warhol dostrzegł jeszcze jedno zjawisko: zalewanie nas przez media falami niepokojących informacji.

Faktycznie, on to wyłapał. Warhol od początku lat 60. obsesyjnie śledził i gromadził nagłówki gazet, w których pisano o wypadkach samochodowych czy katastrofach lotniczych. Fascynowała go nie sama tragedia, ale to, w jaki sposób była ona powielana, omawiana i sprzedawana w mediach.

Już wtedy dostrzegł, że kiedy do człowieka bez przerwy docierają straszne, makabryczne informacje i newsy, to w końcu przestają one budzić emocje. We współczesnych mediach widzimy to jak na dłoni – serwisy newsowe są stale aktualizowane, a nas, odbiorców, złe wiadomości „ruszają" tylko na moment. Nie chodzi o to, że nie mamy w sobie empatii czy współczucia – po prostu ciągle jesteśmy zasypywani informacjami, których nie mamy czasu przetworzyć, bo za chwilę pojawia się coś nowego, zazwyczaj jeszcze gorszego i jeszcze bardziej przygnębiającego.

W opisie kuratorskim wystawy przytaczasz taki cytat z Warhola: „To be free is harder than to be repressed" (Bycie wolnym jest trudniejsze niż bycie represjonowanym).

To zdanie doskonale obrazuje, jak wolność postrzegana jest we współczesnym świecie. Życie na własnych zasadach jest trudniejsze niż robienie tego, co robią wszyscy dookoła, bo towarzyszy mu poczucie odosobnienia. Warhol doskonale o tym wiedział – w końcu sam przez całe życie płynął pod prąd. © Rozmawiała MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA



■ *Sergio Fiorentino,* **THE COMPLETE SAGA ALBUM COLLECTION**, *Rhine Classics*

Skrajny pechowiec i szczęściarz w jednym. Przeżył katastrofę lotniczą, wydobył się z ciężkiej kontuzji, przetrwał nawet przywłaszczenie swych nagrań (w słynnej aferze Joyce Hatto) – i za każdym razem ostatecznie wynurzał się na nowo. W ostatnich latach życia kariera wyniosła go wreszcie do sławy – kiedyś znany tylko wtajemniczonym, dziś dla miłośników pianistyki jest legendą. A ponieważ właśnie zaczął się Konkurs Chopinowski, warto sięgnąć po tegoroczny zbiór dawnych nagrań Sergia Fiorentino – dobrze mieć punkt odniesienia. Zestaw wytwórni Rhine Classics wśród wczesnych rejestracji włoskiego pianisty przynosi bowiem absolutnie nadzwyczajnej urody komplet Chopinowskich Nokturnów. Trudno przebić to włoskie wyczucie śpiewności, uwydatnione szlachetną, klasycyzującą czystością harmonii (pedalizacja wręcz wysmakowana), a w całości odznaczające się niezwykłą wrażliwością. Podobnie doskonałe są Walce, a także „Karnawał" i Koncert fortepianowy Schumanna, świetnie zrozumiany Liszt, Beethoven (obu m.in. Koncerty Es-dur) i Czajkowski, a nawet żywiołowy i wirtuozowski Gershwin w swym Koncercie in F. Wszystko w pieczołowicie odrestaurowanym brzmieniu z dawnych płyt analogowych. Jeszcze większy, rewelacyjny zbiór Fiorentino wydał ostatnio Brilliant Classics, niekiedy z oryginalnych taśm. Tam jednak nie ma tych jednych z najpiękniejszych istniejących Nokturnów. © JAKUB PUCHALSKI



■ *Santiago Roncagliolo,* **CZWARTY MIECZ. HISTORIA ABIMAELA GUZMANA I ŚWIETLISTEGO SZLAKU**, *przeł. Tomasz Pindel, ArtRage*

Santiago Roncagliolo miał przynajmniej kilka powodów, by zainteresować się złem. Peruwiański pisarz średniego pokolenia dorastał w czasach krwawej rewolucji jako syn emigranta politycznego, wychowywany tak, by „czuł się winny za wszystko". W jego prozie znajdziemy ślady tych doświadczeń, lecz autor zmierza zwykle do przekroczenia własnej i narodowej perspektywy. Poszukując uniwersalizacji, pozwala swoim bohaterom konfrontować się z nikczemnością rozmaitego kalibru, pełzającą po różnych czasach, miejscach i szczeblach drabiny społecznej. Polscy czytelnicy mogą znać Roncagliolo z przesiąkniętej seksualnymi obsesjami opowieści o rozkładzie dobrze sytuowanej rodziny („Wstyd", polskie wyd. 2007), thrillera politycznego „Czerwony kwiecień" (2008) czy osadzonej w XVII-wiecznej Limie powieści historycznej „Rok, w którym narodził się diabeł" (2025). W wydanym niedawno „Czwartym mieczu" autor porzuca fikcję, dając tym samym kolejny dowód swojej pisarskiej wszechstronności. Jedyna w jego dorobku książka reporterska jest próbą odpowiedzi na pytanie, kim był Abimael Guzman – peruwiański filozof i rewolucjonista, którego terror doprowadził w latach 80. i 90. do śmierci około 69 tys. ludzi. Poszukując przyczyn żądzy krwi przywódcy Świetlistego Szlaku, wędrujemy aż do lat 30. Bazując na skąpych źródłach, Roncagliolo odtwarza obraz opuszczonego przez rodziców chłopca, który z konieczności uczy się dystansu wobec rzeczywistości. „Czwarty miecz" pozwala zobaczyć skalę okrucieństw, które dotknęły Peru, stroniąc jednocześnie od sensacji i pornografii. Z punktu widzenia polskiego czytelnika zaletą książki jest swego rodzaju „przesunięcie mapy", którego doświadczamy podczas lektury. Urodzony w Peru autor spogląda na wydarzenia oraz fenomeny (reżim Mao czy Husajna) drugiej połowy XX w. z perspektywy radykalnie innej niż ta, do której przywykliśmy w środku Europy. © ADAM WOŹNIAK



■ *Muzeum Chopina,* **ŻYCIE ROMANTYCZNE. CHOPIN, SCHEFFER, DELACROIX, SAND,** *wystawa czynna do 31 października.*

Wystawa „Życie romantyczne" w warszawskim Muzeum Chopina jest kameralną, wręcz intymną opowieścią o muzyce i sztuce, przyjaźni, miłości i pamięci. Poświęcono ją paryskiej dzielnicy Nouvelle Athènes, która w I poł. XIX w. stała się ulubionym miejscem artystów – w 1847 r. mieszkało ich, jak podliczono w katalogu wystawy, aż 124! Za swą siedzibę obrali ją wybitni muzycy, jak Hector Berlioz czy Georges Bizet, a także słynni aktorzy, malarze i rzeźbiarze. Nie zabrakło wreszcie pisarzy, od Alexandre'a Dumasa, Théophile'a Gautiera i Victora Hugo poczynając. Twórcy wystawy wybrali szczególnych mieszkańców Nouvelle Athènes: Ary'ego Scheffera, bardzo cenionego w tym czasie malarza (jego pracownia była centrum życia artystycznego i towarzyskiego dzielnicy), Fryderyka Chopina i George Sand, a także śpiewaczkę i kompozytorkę Pauline Viardot i Eugène'a Delacroix. Ich wszystkich połączyły zainteresowania, wybory artystyczne, przyjaźnie, wreszcie uczucia. „Życie romantyczne" opowiada o relacjach tej piątki, ich przyjaciołach i bliskich. O Paryżu, ale też o Nohant, rodzinnej posiadłości George Sand, która była miejscem ich spotkań. Na wystawie znalazły się prace artystów tego czasu, ale też rzeźby docenianej za życia, a odkrywanej dziś ponownie Marie d'Orléans, córki króla Ludwika Filipa. Jednak przede wszystkim jest to ekspozycja o ówczesnej obyczajowości. O romantycznej uczuciowości i jej przejawach, o przyjacielskich albumach, w których zbierano autografy utworów czy wpisy ważnych osób. O przechowywaniu odlewów dłoni i stóp znanych artystów i artystek, ale też obiektów tak niezwykłych, jak pukiel włosów ściętych po śmierci Chopina czy kwiatów z łoża jego śmierci. I chociażby dla tych drobnych, kruchych rzeczy warto wybrać się na wystawę. © PIOTR KOSIEWSKI

Za dużo nut

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Chopin umiera w filmie Michała Kwiecińskiego wielokrotnie i na raty. Wstyd się przyznać, że kiedy wreszcie mu się to udaje, z piersi wyrywa się ciche westchnienie ulgi.



Na plakatach reklamujących ten film Fryderyk Chopin wygląda bardziej jak figlarny Willy Wonka czy próżny romantyczny dandys niż wielki artysta. A już na pewno nie jak ktoś, kto przez bite dwie godziny (w rzeczywistości przez lata) będzie umierał na gruźlicę.

Po obejrzeniu filmu „Chopin, Chopin!" uważam plakaty za całkiem trafione: sztucznie uśmiechnięty, uszminkowany Chopin kroczący ulicami Paryża ma przypominać współczesnego celebrytę, ale też kogoś, kto zmierza ku śmierci – tyle że na pełnej petardzie.

Twórcy filmu, czyli reżyser Michał Kwieciński i scenarzysta Bartosz Janiszewski, zrezygnowali z typowej biografii i bardzo dobrze; zawsze ciekawiej zbliżyć się do ikonicznej postaci poprzez pogłębienie jej psychologii czy rozwinięcie któregoś z biograficznych wątków, niż po prostu odfajkować fakty. „Chopin, Chopin!" nie jest w tym jednak konsekwentny i dogęszcza swój zapis kolejnymi nutami, co czasem daje efekt przytłaczający, a ostatecznie pozostawia z dużym niedosytem.

Zaczyna się wspaniale. Rozbujana kamera Michała Sobocińskiego prowadzi nas na jednym oddechu przez intensywne życie młodego Fryca, który w 1835 r., od pięciu lat na paryskim bruku, ma status muzycznego geniusza, zwierza towarzyskiego, ulubieńca królewskiego dworu. Bryluje więc na salonach, flirtuje z kobietami, „pojedynkuje się" z Lisztem...

Ten oddech zaczyna się urywać, kiedy padnie brutalna diagnoza: bohaterowi zostało ledwie kilka lat życia. Nie ma już nic do stracenia, a jednocześnie z czegoś musi żyć. Wraz z nim widz zostaje wciągnięty w wir wydarzeń ważnych i nieistotnych, albowiem widmo końca zrównuje i unieważnia wszystko, a z drugiej strony mocno wyostrza perspektywę. Tymczasem na zewnątrz także czuć nastroje schyłkowe – wybucha epidemia cholery i radykalizują się nastroje społeczne, czego następstwem będzie rewolucja lipcowa. Ścigający się z czasem Chopin co chwila podąża nerwowo za jakimś impulsem – romansem, podróżą, odwiedzinami u matki, spotkaniem z genialnym uczniem, lecz wszystko, co po drodze, zdaje się marnością i bohater coraz bardziej zatraca się w muzyce.

Ciekawa jest ta koncepcja Chopina jako postaci w cieniu śmierci – całkowicie wyzwolonej, skupionej i rozrzutnej równocześnie, pozwalającej sobie na totalne „wolałbym nie". Szkoda tylko, że film idzie w anegdotyczność i dygresyjność, nie pozwalając widzowi zanurzyć się w tej przedśmiertnej gorączce.

Podkreślanie fizjologicznej strony postępującej choroby może przywodzić na myśl „Śmierć Ludwika XIV" (2016) Alberta Serry, ale i pod tym względem polski film boi się pójść na całość. Pewnie gdzieś u podstaw była próba stworzenia uniwersalnej przypowieści na modłę „Amadeusza", jednakże śmierć nie sprawdza się w roli Salieriego. Być może, jak Peter Shaffer w swoim dramacie i scenariuszu do filmu Formana, trzeba było śmielej podkręcić fakty, albo jeszcze bardziej wydobyć z filmowego Chopina jego „zombiczność".

Zwłaszcza że upodabnia się do żywego trupa i na dodatek zostaje uśmiercony za życia przez miejską plotkę. Zabrakło, czy to w sposobie opowiadania, czy w prezentowaniu samej muzyki na ekranie, gestu bardziej frenetycznego. Chociażby w stylu tego, który w „Błękitnej nucie" (1990) zrobił Andrzej Żuławski, z pianistą Januszem Olejniczakiem w roli głównej.

Zresztą filmografia wokół Chopina liczy sobie wiele tytułów o różnym charakterze i jakości. Oryginalność „Chopina, Chopina!" bierze się przede wszystkim z ogromnej pracy rekonstrukcyjnej, a zarazem z kreatywnego potraktowania XIX-wiecznych realiów, stąd gdyńskie nagrody za efekty wizualne dla Marcina Drabińskiego i Zuzanny Hencz, za scenografię dla Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego oraz za kostiumy dla Magdaleny Biedrzyckiej i Justyny Stolarz.

Mimo tego rozmachu „Chopin, Chopin!" ma w sobie coś z antywidowiska i wcale nie musi to być zarzutem. Filmowe wnętrza, skazane na naturalne światło świec, wyglądają na niedoświetlone, a przez to prawdziwe, a XIX-wieczny Paryż – stolica artystów, mekka wygnańców, miasto miłości, scena ważnych historycznych wydarzeń – wydaje się przymglony. I trochę wzięty w cudzysłów, co dobrze oddaje percepcję człowieka na świeczniku, ale osamotnionego w tłumie i po kawałku zżeranego przez chorobę. Kogoś, dla kogo wszelkie



JAROSŁAW SOSIŃSKI / AKSON STUDIO / MATERIAŁY PRASOWE

CHOPIN, CHOPIN! *– reż. Michał Kwieciński. Prod. Polska 2025. Dystryb. TVP. W kinach od 10 października.*

Michał Kwieciński od lat łączy funkcje prężnego producenta (szefuje firmie Akson Studio) i reżysera. Ma na koncie liczne spektakle Teatru Telewizji, seriale i filmy. Dla małego ekranu wyreżyserował m.in. „Jutro idziemy do kina" (2007), a wśród jego tytułów kinowych są „Statyści" (2006) i nagrodzony Srebrnymi Lwami „Filip" (2022).

Na zdjęciu: Eryk Kulm i Joséphine de La Baume w filmie „Chopin, Chopin!"

atrakcje i turbulencje tego świata stały się mało istotnym tłem, bo jego wewnętrzny radar skierował się już tylko w stronę muzyki i sterowany jest powolnym umieraniem.

To wyobcowanie podkreśla również epizodyczna struktura opowieści, znaczona licznymi wyciemnieniami ekranu. Stąd Chopin umiera w tym filmie wielokrotnie i na raty. Wstyd się przyznać, że kiedy wreszcie mu się to udaje, z piersi wyrywa się ciche westchnienie ulgi. Bo podstawową, jeśli nie jedyną emocją, jaką można z siebie wykrzesać przy oglądaniu tego filmu, jest zwyczajne ludzkie współczucie dla terminalnie cierpiącego.

I co z tego, że urodzony w muzycznej rodzinie Eryk Kulm opanował grę na fortepianie, skoro wbrew pozorom nie ma aż tyle do zagrania. Ten świetny aktor, który stworzył tak pełnokrwistą postać w „Filipie" Kwiecińskiego, tym razem balansuje między udręką a ekstazą.

Co ciekawe, muzyka nie stanowi tutaj pełnoprawnego tworzywa. Twórcy chcieli ją wyciągnąć i z Konkursu Chopinowskiego, i z wagonu Pendolino, toteż potraktowali ją wycinkowo, kontrapunktując współczesną elektroniką. Poniekąd słusznie, choć ktoś kompletnie niezorientowany w temacie mógłby się zapytać, o co właściwie tyle hałasu z tym Chopinem.

Stawiając na ludzki wymiar pomnikowego bohatera, Kwieciński opowiada o kimś, dla kogo muzyka jest wszystkim, widz jednak, zwłaszcza mniej wyrobiony muzycznie, chciałby czasem sobie przypomnieć, dlaczego Chopin wielkim artystą był. Tymczasem „Chopin, Chopin!" to film stojący w jeszcze innych rozkrokach. Pomiędzy kinem o wielkich emocjach a kinem niewywołującym takich emocji. Między superprodukcją z tysiącami statystów, zagranicznymi lokacjami i międzynarodową obsadą a próbą stworzenia dramatu do bólu intymnego. To również skrzyżowanie biopiku, sypiącego faktami znanymi i nieznanymi, z wizją autorską.

W efekcie powstał film, który mógłby być doskonałą polską marką eksportową, a poprzestał na prezentacji bardzo dobrego rzemiosła *made in Poland*. Wbrew intencjom, zabrakło śmielszego, bardziej wirtuozerskiego dotknięcia. ©

Lektor:
Wykluczeni



▪ *Agnieszka Tomaszewicz, Joanna Majczyk,* **ARCHITEKCI I „PARAGRAF ARYJSKI". PRZYPADEK SARP-U (1934-1939),** *Wydawnictwo EMG, Kraków 2025, współwydawca Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej, ss. 352. Seria „Architektura jest najważniejsza".*

GETTO ŁAWKOWE, NUMERUS CLAUSUS – TE POJĘCIA ZNAMY z dziejów szkolnictwa wyższego w Polsce lat 30. XX w. Ale „paragraf aryjski"? Także i on przybył do nas wtedy zza zachodniej granicy, gdzie zaczęto go wprowadzać w wielu dziedzinach zaraz po przejęciu władzy przez nazistów. Teraz się dowiadujemy, jak to osobliwe „rozwiązanie kwestii żydowskiej" dokonało się u nas w jednej, ale ważnej korporacji zawodowej.

„Dobrze udokumentowana praca – pisze prof. Małgorzata Omilanowska – krok po kroku prowadzi nas przez kolejne etapy upiornej historii wykluczenia. Pokazuje, jak czad antysemityzmu zatruwał kolejne osoby i organizacje i obezwładniał pogrążoną w bierności większość. Ubrany w paragrafy, odbierał ludziom prawo do pracy tylko ze względu na pochodzenie – prawdziwe bądź przypisywane".

Autorki pokazują historię konfliktu w Stowarzyszeniu Architektów RP, podział na „dwa wrogie obozy" i jego ideowe (a także ekonomiczne) tło. Ale ten podział sprowadzony został ostatecznie do kwestii pochodzenia „lewicowców" i „modernistów". Dawni koledzy stali się wrogami, a cenieni twórcy – Obcymi, przedstawicielami „żydokomuny" niegodnymi członkostwa w SARP-ie i roli „wychowawców Narodu".

Zwycięstwo prawej strony sporu doprowadziło ostatecznie do formalnego wprowadzenia „paragrafu aryjskiego". Dokonało się to tuż przed wybuchem wojny, choć już w 1938 r. architekci Żydzi pozbawieni zostali prawa udziału w konkursie na rozplanowanie warszawskiego lotniska na Gocławiu. 1 lipca 1939 (!) na podstawie nowego statutu SARP jego Zarząd Główny skreślił z listy członków Oddziału Warszawskiego 56 architektów narodowości żydowskiej...

Prawdziwie przeraża – myślę i o treści, i o ilustracjach – rozdział „Architekt-Żyd. Antysemickie narracje prasy »narodowej«". Na końcu znalazł się zbiór portretów wybranych twórców – elegia na odejście tych, co nie przeżyli wojny. Twórców tak wybitnych, jak Jerzy Gelbard, Maksymilian Goldberg czy Ludwik Paradystal, oraz wielu innych, po których czasem nie została nawet fotografia. Jest tu też zabity już w 1940 r. Jan Sztrancman, brat dziennikarki i pisarki Jadwigi Stańczakowej, której biografię wydała niedawno Justyna Sobolewska. Niekiedy któryś cień ożywa... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Obciachowa oliwa



Dwa miliardy dolarów osobistego majątku to wcale nie tak dużo w świecie nababów kształtujących nasze wyobrażenia o tym, jak urządzony jest świat. Nawet jeśli co rano, mieszając owsiankę i krojąc szczypiorek do twarożku, krzyczymy „zjadać bogatych!" i chcielibyśmy się od nich różnić we wszystkim, to i tak są oni jak hak, na którym pod sufitem zawieszona jest nasza rozchybotana drabina społeczna. Ktoś o zacięciu żurnalistycznym mógłby rzec o nich elegancko, że stanowią horyzont aspiracji w danej kulturze. Ale w mojej kuchni już coraz rzadziej trafia się gazeta: sąsiedni Empik przestał sprzedawać prasę codzienną, a kioski odeszły w krainę łzawych kanałów ze zdjęciami dla urodzonych w XX wieku. Kiedy przez cały wrzesień miałem raz po raz stół zasłany grzybami do oczyszczenia, trzeba było podkładać papier pakowy albo rozcięte sklepowe torby z odzysku.

Tym przyjemniej było mi dostać prosto z Londynu rzadki, brzemienny w treści prezent: płachtę gazety biznesowej o charakterystycznym łososiowym kolorze. Co prawda nigdy nie jadłem łososia w kolorze „Financial Times", dla moich oczu to raczej odmiana różu, ale to drobiazg. I z niej się właśnie dowiedziałem, co znaczą dwa miliardy majątku Sama Altmana, szefa najważniejszej firmy ze świata sztucznej inteligencji. Jako się rzekło, to zaiste orzeszki przy takich np. czterystu, jakie jest „wart" Elon Musk, jeśli w ogóle wartość i pochodne tego słowa mają w kontekście tego pana jakieś rozpoznawalne znaczenie. Altman tych swoich skromnych miliardów nie zarobił na AI i nie posiada akcji swojej firmy, która na razie działa jak wysokokaloryczny palnik do pieniędzy. Uzbierał je wcześniej, dzięki bystrym inwestycjom w przedsiębiorstwa może mniej inteligentne, ale za to, niestety, wszechobecne i niezastąpione, takie jak Uber czy Airbnb.

Najwięcej jednak inwestuje w siebie, w długowieczność. Uważa zatem na to, co je. Chwalebne, ale posuwa to do przesady, na którą może sobie pozwolić, bo jest bogaty i kieruje potencjalnie najważniejszą firmą naszej dekady. Dlatego właśnie stać go było, żeby po raz pierwszy w historii odwrócić porządek cenionej rubryki „Lunch with the FT" – czyli cotygodniowego wywiadu nagrywanego dla weekendowego wydania gazety w trakcie obiadu w wybranej przez gościa restauracji. Restauracja i jadłospis stanowią istotny element rozmowy. Przełamuje to lody i pozwala dziennikarzowi rozluźnić atmosferę. W cyklu występowali wszyscy wielcy albo prawie-wielcy (Donald Trump pojawił się już w 2013 r. – wysmażony na podeszwę stek i dietetyczna cola), a także nie-



ALBERTO FORNASARI / SHUTTERSTOCK

banalne postaci wydobyte przez bystrych redaktorów z cienia i w ten sposób wyróżnione. Cokolwiek pojawia się na rachunku, i tak głównym daniem jest prestiż.

Altman odmówił zjedzenia na mieście (czyli w San Francisco). To zbyt ryzykowne. Postawił warunek: wywiad odbędzie się u niego w domu i to on gotuje. Zrobił makaron *aglio e olio* (w „kalifornijskiej" wersji, tak napisali, cokolwiek to może znaczyć... może dodał siekanych migdałów? To nie byłoby wcale głupie). I sałatę. Rozmowa jak rozmowa, nie powiedział chyba nic, czego byście o AI oraz mentalności jej twórców nie wiedzieli, także dzięki autorom „Tygodnika". Ale ten makaron... W trakcie przygotowań do wywiadu nagrano promocyjny filmik z Altmanem przy kuchni. Redakcja „FT", w ramach małej zemsty za fatygę, poddała potem analizie różne detale. Aż przykro patrzeć, jak idealnie pasują do stereotypu nadętej ostentacji. Czosnku Altman posiekał ze trzy główki: jeśli nie planował posiłku dla tuzina osób, to tylko dowód, że w jego świecie wszystko musi być na maksa. A nóż? Ładnie wyglądający santoku, ale riserczerzy gazety doszli po detalach do tego, że to źle zaprojektowane byle-co, świadczące o braku pojęcia jego właściciela.

Ale już najgorzej było z oliwą. Widzimy dwie butelki marki sprzedawanej w sieci Whole Foods. Znanej z dobrej jakości i solidnego pochodzenia, ale grubo poniżej tego, co sobie wyobrażam, że bym robił, gdybym miał choć dwa miliony. Jeździłbym wtedy osobiście do niewielkich producentów nad jezioro Garda – to mały, więc szalenie drogi region oliwny – i kupowałbym na zapas oliwę w stalowych bańkach. Dwa jej rodzaje – niefiltrowaną i wyrazistą do użytku na surowo oraz rafinowaną na patelnię. Na tym właśnie polegał największy obciach u Altmana: miał na blacie dwie różne



Zbiór oliwek w Arezzo w Toskanii

butelki tej samej marki i chcąc podsmażyć czosnek, sięgnął bezmyślnie po tę bardziej „dziewiczą", do sałatek. „Wyrzucanie pieniędzy w błoto i obraza dla sztuki ogrodniczej" – skwitowała bezlitośnie gazeta.

No, bez przesady. Kto z nas nigdy nie pozwolił sobie na tę perwersyjną formę luksusu, jaką jest niewielkie marnotrawstwo? Ale piszę ten mały moralitet dlatego, że używanie lepszej oliwy, niż jest wskazane w danej potrawie, nagminnie obserwuję w waszych kuchniach, moi drodzy i moje drogie. Naprawdę, to żaden wstyd mieć pod ręką oliwę z dyskontu czy jakiś generyczny no name z Hiszpanii. Szlachetna oliwa prosto od chłopa, zieloniutka i mętna jak woda z sadzawki za stodołą, zawiera substancje, które nawet średnio podgrzane przestają być dobroczynne. Poza tym taką oliwę krócej można przechowywać. Rok od tłoczenia, półtora, jeśli w mroku i chłodzie.

Właśnie zaczyna się sezon nowych zbiorów, ostatni zatem moment, żebyście zużyli resztę tych lepszych oliw – bo te zwyczajne do smażenia mogą sobie postać jeszcze drugi rok – i zaczekali do stycznia, kiedy pojawią się nowe butelki. Szacuje się, że po paru latach chudych sezon będzie dobry, więc może będzie nas jeszcze stać. Czosnku też nie zabraknie. I przez chwilę poczujemy się nawet mądrzejsi niż Sam Altman.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Pesto z orzechów włoskich

Jakość oliwy gra kluczową rolę we wszelkich sosach do makaronu robionych „na surowo" – z jego zieloną wysokością pesto bazyliowym na czele. W Genui znajdziecie dogmatyków, którzy będą się bez sensu upierać, że oliwa musi pochodzić z okolic miasteczka Taggia. Zważywszy na jej cenę, równie dobrze mogliby doradzić, żeby dosypać złota w płatkach. Różnego rodzaju pesta z liści – bazylii, rukoli itd. – znajdziecie w archiwum naszej rubryki. Takoż niedawno gotowaliśmy tu pesto z Trapani na bazie pomidorków i migdałów. Dziś zatem zróbmy coś, na co akurat jest sezon, bo są już lekko podsuszone orzechy z tegorocznego zbioru.

SKŁADNIKI:
250 g orzechów włoskich łuskanych 100 g miękiszu jasnego chleba bez skóry 100 ml mleka 1 ząbek czosnku 10 łyżek oliwy dwie garści parmezanu ▪ majeranek

Nasączamy chleb mlekiem, odciskamy, przekładamy do miksera. Dodajemy czosnek, z grubsza posiekane orzechy, parmezan. Miksujemy krótko, aż się wszystko połączy, dolewamy stopniowo oliwę i dalej miksujemy, aż uzyskamy nie całkiem gładki i dość gęsty sos. Przekładamy do dużej miski. Kiedy makaron będzie już prawie ugotowany, dolewamy do sosu trochę wody z garnka, mieszamy, żeby stał się rzadszy, o konsystencji gęstego jogurtu, przekładamy kluski, intensywnie mieszamy, ewentualnie dolewając jeszcze nieco wody. Na wydaniu warto posypać odrobiną majeranku (to zioło rzadko występuje w kuchni włoskiej, ale akurat w Ligurii, skąd pochodzi danie, się je stosuje). ©℗



CHRISTIAN JUNG / ADOBE STOCK



TU JEST POLSKA

MICHAŁ SIKORSKI, AKTOR:

Przypomnieliśmy, że Polacy potrafią śmiać się z siebie. To kropla w morzu naszych potrzeb, ale dobrze być częścią tej kropli.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: „Dzień dobry" czy „szczęść Boże"?

MICHAŁ SIKORSKI: Kto mówi „dzień dobry", temu odpowiadam „dzień dobry". Kto mówi „szczęść Boże", temu odpowiadam „szczęść Boże". Wychodzi mniej więcej pół na pół.

To zaskakujące, że serial „1670" tak szybko wszedł do powszechnej świadomości. Ksiądz Jakub to postać mocno już zakotwiczona w popkulturze.

Rzeczywiście. I co dla mnie bardzo miłe, bez względu na to, czy ktoś mówi „szczęść Boże", czy „dzień dobry", mam wrażenie, że ta postać wzbudza sympatię.

Mimo że ma być trochę oślizgły?

Gdyby psycholog wziął go na warsztat, nie wystarczyłaby nawet długa terapia. Ale to siła serialu: pokazujemy ludzi o cechach, które prywatnie potępiamy. Dzięki temu, że widzimy ich ułomności: niewiedzę, naiwność, deficyty, dostrzegamy też ich tragedię. Na ekranie można się z tego śmiać.

Skąd wziął się ksiądz Jakub? Gdzie go znalazłeś?

We mnie samym, w spotkaniach z ludźmi, we wspomnieniach. Odcinam się od opinii, że to „diagnoza Kościoła". To postawa spotykana w szkołach, urzędach, w pracy. A do mojego życia wniósł przestrogę, by nie zakochiwać się zanadto we własnych ideach i stale sprawdzać, czy naprawdę według nich postępuję i czy wciąż są dla mnie ważne. Bo często to, co mamy na sztandarach, nijak się ma do tego, jak postępujemy.

Wzięliście na warsztat Polskę współczesną, ale w dekoracjach sięgnęliście po epokę, którą dotąd traktowano „na kolanach". Sienkiewicz ją zawłaszczył, mało kto próbował opowiedzieć ją inaczej niż głęboko patriotycznie.

My przede wszystkim komentujemy współczesność, czyli własne życie. To nie wiedza z jednej książki i filmu, tylko doświadczenie, które nas ukształtowało. O tym mamy najwięcej do powiedzenia: o naszej rzeczywistości i historii. Ani jej nie wyśmiewamy, ani nie klękamy, po prostu „zbijamy z nią pionę".

Na Netfliksie macie już dubbingi w dziewięciu językach, a to przecież humor mocno osadzony w polskich



JAROSŁAW SOSIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

realiach, polityce. Chyba jednak dotknęliście czegoś uniwersalnego.

Mimo historycznego kostiumu główny nacisk serialu położony jest na relacje międzyludzkie, a dopiero później społeczne i klasowe. To tematy dotyczące ludzi w różnych miejscach świata i w różnym wieku. Ktoś z Indii napisał do mnie na Instagramie: „my też mamy system kastowy, rozumiemy to". Tłumaczyłem, że formalnie go nie mamy, ale relacje feudalne i postfeudalne wciąż świetnie czujemy. Z kolei ktoś z RPA stwierdził: „Jan Paweł to przecież mój szef".

Siedzimy mentalnie, a może i realnie, w postfeudalizmie?

Warto przejrzeć się w serialowych relacjach, bo wiele mówią o tym, jak dziś funkcjonujemy. Pokazaliśmy XVII wiek, nie podpinamy postaci pod konkretne, współczesne osoby, zwłaszcza na osiach bieżących podziałów. Dzięki temu można spojrzeć na nie z dystansem, pośmiać się, choć i tak wielu z nas rozpoznaje tam swoich, często rodzinnych, bohaterów.

Satyra trafna, ale nie raniąca. Trudna równowaga.

MICHAŁ SIKORSKI jest aktorem filmowym i teatralnym. Laureat nagrody za debiut na 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, gdzie wyróżniono jego rolę w filmie „Sonata" w reżyserii Bartosza Blaschke.

Kluczem jest wierność relacjom międzyludzkim. Dopóki one są najważniejsze, to działa. I nie ma w twórcach intencji „zrobienia komuś na złość". Cieszę się, bo przypomnieliśmy, że Polacy potrafią śmiać się z siebie. Nie lubię stereotypu Polaków, którzy czują się „gorsi" i wstydzą się swojego pochodzenia.

Ten serial powstał z miłości do Polski i Polaków. Polska bywa dziwna i śmieszna, czasem trudno się tu obudzić, jak pisała Masłowska. Ale to właśnie tu mamy przyjaciół, tu się zakochiwaliśmy, tu jedliśmy gruszki z ogrodu babci. Dlatego zrobiliśmy serial o nas samych, z dystansem, który daje ludziom tyle radości.

Tylko że od tego „ogrodu babci" – patrząc na newsy – chyba trochę odeszliśmy.

„Ogród babci" to wspomnienie dzieciństwa. Np. kawalerka dziadków na warszawskim Wrzecionie i jajecznica z jajek „trójek". Chodzi o wspomnienie bezpieczeństwa, spokoju, do którego całe życie się dąży.

Mam wrażenie, że jako społeczeństwo zgubiliśmy ten spokój. Nie tylko przez wydarzenia na świecie, raczej przez to, jak patrzymy na siebie nawzajem. Brakuje zaufania.

Brakuje, bo daliśmy sobie wmówić, że największym wrogiem jest sąsiad – ten za ścianą i tamten za granicą. Tu potrzebna jest praca i rachunek sumienia nas wszystkich. Nie mam zwyczaju wytykać innym, więc mówię o sobie: to dysfunkcje, które chcę w sobie rozpoznawać i zwalczać. Wiara, że „brat jest wrogiem", działa przeciwko nam i naszym dzieciom.

Jest naród, który od pokoleń uprawia satyrę na najwyższym poziomie – Brytyjczycy. Tyle że stamtąd nadal narzekają, że ich społeczeństwo od 200 lat pozostaje klasowe i podzielone. U nas śmiech to też tylko wentyl, czy jednak wyraz dojrzałości i impuls do zmiany?

Żaden serial, komedia czy książka nie zmienią świata jak czarodziejska różdżka. Ale jeśli dzięki komedii ktoś ma jeden naprawdę dobry wieczór i pójdzie następnego dnia do pracy w lepszym nastroju, to może to jest drobinka tej zmiany. Kropla w morzu potrzeb, ale dobrze być częścią tej kropli.

To Twoja pierwsza rola, która „wystrzeliła". Nie boisz się zaszufladkowania?

Może do niego dojść. Moje zadanie to tworzyć kolejne role, zaskakiwać, szukać nowego. „Wymarzona rola" to taka, przy której sam coś odkryję i przejdę jakąś drogę. Ale jeśli los sprawiłby, że do końca życia zostanę w świadomości publicznej tylko księdzem – mając wybór, i tak wszedłbym w tę przygodę. To niesamowite doświadczenie, którego sam sobie zazdroszczę i za które jestem wdzięczny. Ufałem intuicji: w tym samym czasie dostałem dwie propozycje seriali, obie dobre, ale serce podpowiedziało „rób 1670". Intuicja rzadko mnie zawodzi. ↦

↦ **Jak długo ksiądz Jakub z nami zostanie?**

Mam nadzieję, że moja przygoda z „1670" potrwa jeszcze długo, ale liczę też, że w pewnym momencie będę mógł zostawić księdza Jakuba i zająć się innymi rolami, opowieściami i ludźmi. Sam też chcę się zmieniać. Starzeję się, lubię obserwować zmiany: ciało, spojrzenie. Nie jestem fanem kultu młodości, bo sprawia, że żyje się tylko tęsknotą.

Uważam, że mam najlepszy czas w życiu. Właśnie rozpocząłem czwartą dekadę i nigdy wcześniej nie byłem tak świadomy i niezależny. Mam nadzieję na zdrowie i odrobinę szczęścia – jak dotąd miałem go sporo.

Dlaczego zostałeś aktorem?

Kiedy byłem w V klasie, pani Joanna Bartkowiak założyła kółko teatralne. Poszedłem, może za kolegą, który bardzo chciał. Byłem nieśmiały. Pamiętam pierwszy występ: to, co robiłem na scenie, wzbudzało emocje i śmiech. Pomyślałem wtedy: to jest moje medium. Szybko postanowiłem, że pójdę do szkoły teatralnej. Trzymałem się tego marzenia, choć po drodze było sporo smutków. Pchał mnie wewnętrzny motorek: próbować nowych rzeczy, ryzykować.

Zagranie księdza Jakuba też było ryzykiem. Na castingu była setka osób, wiele znakomitych. Zaproponowałem to tak, jak czułem: w mojej głowie to była hybryda Severusa Snape'a i Hanny Montany. Zadziałało.

Wielu wyobraża sobie pracę aktora jako niekończącą się sielankę: tu coś zagra, tam telewizja, „ścianka". A w rzeczywistości?

„Ścianek" unikam jak ognia. Premiera czegoś, co naprawdę porusza wielu ludzi, to rzadkość. Miałem szczęście w „Sonacie" – prawdziwej historii Grześka Płonki – ale premiera zbiegła się z wybuchem pełnoskalowej wojny w Ukrainie, więc ludzie mieli inne sprawy. „1670" dało mi satysfakcję – gdy ktoś podchodzi i mówi, że to dla niego ważne, że miał cudowny wieczór.

Ale praca aktora jest trudna, szczególnie w filmie: pobudka o piątej, zdjęcia na mrozie, dużo czekania, dwunastogodzinne dni i nadgodziny. Bywa, że robisz spektakl kilka miesięcy, a grasz go sześć razy, bo nie ma widza. Do tego naszą pracę każdy ocenia – i ma do tego prawo. Ale mimo minusów nie odradzam tego zawodu – daje spełnienie, spotykam wspaniałych ludzi, a zmienność zajęć bardzo mnie kręci.

Co zresztą pięknie wyszło w odcinku z trupą teatralną: można przez chwilę przeżyć dowolne życie.

I o to chodzi. Ludzie sięgają po sztukę, książkę, film, by coś przeżyć, a przy okazji zdobyć doświadczenie innych i nie musieć popełniać ich błędów. Dobrze uczyć się na cudzych.

Gdyby nie aktorstwo – gdzie szukałbyś realizacji?

W liceum powtarzałem, że nie mam planu B i będę zdawał do szkoły teatralnej tyle razy, ile trzeba. Dziś dziwię się własnej determinacji. Film zawsze mnie interesował, myślałem, że jak nie aktor, to kierowca, może asystent. Ale nie wiem, czy miałbym do tego predyspozycje. Do dziś nie zrobiłem prawa jazdy. Korzystam z kompetencji, które mam.

MICHAŁ SIKORSKI:

Ktoś z Indii napisał do mnie: „mamy system kastowy, rozumiemy to". Z kolei ktoś z RPA stwierdził: „Jan Paweł to przecież mój szef".

A samo wchodzenie w role – bywa obciążające?

Bywa. Ale bywa też, że pracy nie ma długo i czekanie pogrąża. Telefon milczy miesiącami. Trzeba sobie poradzić psychicznie: nie załamać się, szukać, być cierpliwym. I przeżyć za pensję teatralną, którą dostaje się rzadko, i która jest niewielka. To osobna sztuka.

Słyszeliśmy o aktorach kursujących między trzema teatrami, żeby spłacać hipotekę.

Nawet na etatach często gra się tak mało, że nie da się zarobić. Chyba nie znam aktorki czy aktora na etacie, którzy nie podejmowaliby dodatkowej pracy.

Da się ten system naprawić?

Mam kryzys wiary w instytucje. Zawsze byłem za budowaniem zespołów i braniem za nie odpowiedzialności przez artystów – uważam, że fakt, iż w Polsce wciąż mamy zespoły teatralne, jest wielką wartością. Ale łatwo to stracić bez dobrego zarządzania. A zarządzanie teatrami wymaga naprawy – to odpowiedzialność za widza, ale też za rozwój artystów.

W teatrach spotyka się wielu sfrustrowanych, często bardzo zdolnych ludzi, którym nie daje się szans. Ich ogromny potencjał twórczy nie jest wykorzystywany. Chodzi o to, by brać odpowiedzialność za kapitał ludzki, mądrze go wykorzystywać, zapewnić rozwój. Artysta, który się nie rozwija, umiera. Za dużo ostatnio widziałem i słyszałem historii o aktorach, którym już się nie chce, bo od lat bezskutecznie walczą o zmianę.

A przy tym trzeba jeszcze dbać o rodzinę. Niedawno sam wszedłeś w nową rolę – to coś zmieniło?

Mówisz o byciu tatą? To nie tak niedawno, zaryzykowaliśmy, zanim kariera się rozkręciła. Moje dziecko w grudniu skończy pięć lat. Każdy dorosły człowiek powinien mieć komfort pozwalający podjąć decyzję o założeniu rodziny. A dziś wielu, choć bardzo by chciało, nie może się na to zdecydować: trudne warunki, kryzys mieszkaniowy, który jeszcze niedawno był tematem tabu.

Dlaczego tak jest?

Propaganda kapitalizmu lat 90. Mówię o własnym pokoleniu. Narracja: „nie masz, bo jesteś beznadziejny i się nie starasz". A to nie tak. Kiedy widzisz siebie i znajomych pracujących po kilkanaście godzin na więcej niż etat i nadal bez zdolności na kawalerkę w mieście, w którym pracujesz, coś tu nie gra.

Sztuka może być odtrutką na propagandę?

Powinna.

Jest nią dziś w Polsce, czy wciąż się boimy?

Wciąż częściej mówi się o tym, „o czym wypada". Dlatego tak ważny jest teatr niezależny, dotowany, by artyści mogli

mówić, co chcą, abstrahując od „wiatrów”. To dotyczy też galerii i wsparcia dla wydawnictw.

A jeśli chodzi o mity narodowe, co powinno być pierwsze do rozmontowania?

Trudne pytanie. Zacząłbym od uświadomienia sobie, co w naszej rzeczywistości jest najtrudniejsze. Media: nie czytamy, skanujemy nagłówki. Nagłówkami można nas rozstawiać i realizować cele polityczne czy komercyjne. Nie jestem politykiem ani aktywistą, więc myślę o zaczynaniu od siebie i podejmowaniu takich decyzji, na jakie mam wpływ, zwłaszcza gdy mam chwilowo miejsce w przestrzeni publicznej.

Zbliża się 1 listopada, więc zapytam o memento mori. Czy to, co robisz, jest próbą dania sobie odrobiny nieśmiertelności? Historycznie aktorstwo to jedna z gwarancji pozostania w ludzkiej pamięci.

Tak bywa w filmie i serialu. Teatr dzieje się „tu i teraz”, potem zostaje legenda i opowieści. Na pewno nie chcę zostawić po sobie „siary” ani problemów. Jestem człowiekiem pełnym planów i pasji, ale myślę też praktycznie: mam testament, fundusz emerytalny, nie chcę zostawić bliskich z kłopotami.

Nie reklamuję alkoholu. Uważam, że szkodzi. Dostałem kiedyś propozycję za sumę, za którą może kupiłbym mieszkanie w Warszawie. Kusiło, myślałem, że może warto „dla dziecka”. Ale odmówiłem. Potem kolega, który zagrał w reklamie piwa, usłyszał od pani na ulicy, że jej dwunastoletni wnuczek codziennie pije to piwo „zero”, bo reklama jest śmieszna. Uświadomiłem sobie: jeśli fajnie zagrana reklama zachęci dzieciaka do „piwka wieczorem”, to nie są to pieniądze warte odpowiedzialności społecznej.

Myślimy o aktorze przez pryzmat wielkich ról, a najbardziej destrukcyjna bywa „fucha”.

Bo ma duże pole rażenia. Podejmuję współprace reklamowe i biorę za nie odpowiedzialność. Można dyskutować nawet o ciastkach, że niezdrowe. Ale nie znam nikogo, kto przez słodycze wyrządzałby przemoc bliskim.

Czyli aktor powinien być odpowiedzialny za to, czemu użycza twarzy?

Uważam, że tak. Nie oceniam innych, ludzie mają swoje powody i potrzeby, bywa trudno. Oceniam własne decyzje. Jeśli postępuję źle, jestem wobec siebie krytyczny; jeśli dobrze, bywa, że dumny. Mam też komfort, by myśleć o odpowiedzialności: nie potrzebuję willi ani supersamochodu, cieszą mnie małe rzeczy. Przed rozmową zmieliłem kawę i piję ją teraz. A wcześniej zjadłem jajecznicę z kurkami z bazarku. To są moje potrzeby. Kawę mielę ręcznie w młynku.

Polecam etiopską.

Mam akurat z Gwatemali, ale etiopską też lubię. Zmieniam, nie trzymam się jednej. Właśnie otworzyłem nowe opakowanie.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

“Radio Kraków

Nadajemy do myślenia
radiokrakow.pl



którą lubisz

TOMASZ

Stawiszyński:
Ten wstrętny inny



Mignął mi niedawno na Facebooku publiczny (to ważne) post, w nim zaś intensywne wyrazy oburzenia, że oto do jakiegoś programu zaproszono pewną postać, mającą poglądy zupełnie odmienne od postującego. Dlaczego właściwie wciąż jeszcze się tego człowieka zaprasza – pytał postujący, rzecz jasna retorycznie, a w kolejnym zdaniu gratulował wytrwałości osobie, która również w tym programie wystąpiła. Jak się nietrudno domyślić, wywołało to natychmiast potok komentarzy i polubień, nie ma wszak na to lepszej metody aniżeli zogniskowanie niechęci na kimś, kto się od nas i naszych znajomych w czymś istotnym różni. Dominowało w tych komentarzach standardowe dziś zdziwienie, że się do mediów dopuszcza osoby o poglądach innych niż jedyne właściwe. Media są przecież od tego, żeby prezentować stanowiska prawdziwe i słuszne, nieprawdaż?

Obok tych standardowych zdziwień pojawiła się jednak również wypowiedź osoby wywołanej w poście, tej, która wystąpiła w programie z inkryminowaną postacią. Osoba ta oznajmiła stanowczo, że postać jest po prostu „obrzydliwa", a w drodze powrotnej do domu „dosłownie rzygała", tyleż z powodu drzewka zapachowego w taksówce, co z tego wspólnego występu. Wśród niektórych dyskutujących wypowiedź ta, oprócz zwyczajowych lajków, wzbudziła reakcje „przykro mi" oraz „trzymaj się".

Co też się tam musiało rozegrać – pomyślałem. Po czym włączyłem ów program, spodziewając się karczemnej awantury i miotanych w afekcie obelg. Tymczasem – nic podobnego. Dyskusja była spokojna i kulturalna, owszem, poświęcona tematyce wysoce kontrowersyjnej i wzbudzającej skrajne emocje, ale właśnie nadspodziewanie merytoryczna. Nikt nikogo nie obrzucał inwektywami, nikt nie opuszczał studia, wszyscy przedstawiali w uporządkowany sposób swoje argumenty.

Celowo nie piszę ani o kogo tu chodzi, ani też czego dotyczyła dyskusja. Nie w tym bowiem rzecz, lecz w „obrzydliwości" i „dosłownym rzyganiu" oraz aprobatywno-współczującym odzewie na takie słowa. Oto nikogo już nie dziwi, że spokojna rozmowa z człowiekiem o innych przekonaniach – czyli *de facto* sama z nim styczność – wywołuje w kimś autentyczny wstręt. Wypisywanie zaś o tym publicznie nie spotyka się ze sprzeciwem, lecz na odwrót – z aplauzem i wirtualnymi „przytuleniami". Racja, są to „tylko" internetowe dyskusje, ale internetowe dyskusje to przecież myśli i słowa konkretnych ludzi. W tym przypadku odzwierciedlają one przekonanie o całkowitej naturalności wstrętu jako reakcji na innego. Jest to, delikatnie mówiąc, niepokojące.

W książce „Anger and Forgiveness" amerykańska filozofka Martha Nussbaum starannie odróżnia gniew od wstrętu. Ten pierwszy, dowodzi, skierowany jest na czyny i zachowania. W tym sensie bywa adekwatny czy uzasadniony i może w pewnych okolicznościach spełniać konstruktywną społecznie rolę. Odraza natomiast kieruje się w stronę całego człowieka, jednostki bądź grupy, a opiera się na fantazji o zakażeniu czymś nieczystym, zwierzęcym, śmiercionośnym. W przypadku „słusznego" gniewu, motywowanego poczuciem, że wydarzyło się jakieś zło, odpowiedzią jest przywrócenie sprawiedliwości. Na wstręt – podobnie jak na pogardę – nie ma środków uśmierzających, rodzi się on bowiem z wyobrażenia innego jako uosobienia tego, co odstręczające i groźne. Dlatego ze wstrętem nie da się negocjować. Nie ma racjonalnych sposobów na obchodzenie się z nim, poza zrozumieniem, jaką może spełniać funkcję w zbiorowym oraz indywidualnym życiu, i obwarowaniem go stosownymi ograniczeniami.

Przy czym ma on oczywiście, jak wszystko, swoje korzenie ewolucyjne. W warunkach trybalnych wspólnot, złożonych z ludzi do siebie podobnych, żyjących w ciągłym poczuciu zagrożenia ze strony drapieżników, przyrody i innych plemion – działał bez wątpienia jako czynnik konsolidacji. We współczesnych demokratycznych społeczeństwach działa tak nadal, tyle że tutaj jego rola jest w zasadzie wyłącznie destrukcyjna. Nussbaum stoi na stanowisku, że uczucia – tak jak przekonania i wartości – można i należy kształtować, a odraza i wstręt wyrażane publicznie, podobnie zresztą jak wściekłość, nie powinny być sankcjonowane, lecz traktowane z najwyższą ostrożnością. Z powodów, wydawałoby się, oczywistych. Tymczasem dzisiaj bywają one nie tylko sankcjonowane, ale wręcz witane z entuzjazmem jako zrozumiała, oczywista reakcja na inność, różnicę czy niezgodę.

Co więcej, współczuje się nie temu, kto wyzywany jest od „obrzydliwych" i na czyj widok się „rzyga", lecz temu, kto te afekty wyraża. Tak jakby samo narażenie się na kontakt ze skażonym innym, nośnikiem tych odstręczających cech, które wywołują mdłości, było doświadczeniem wysoce traumatycznym. Równocześnie dla swoich, dla własnego plemienia, dla tych, co myślą i mówią to samo, ma się wyłącznie troskę, współczucie i deklarowane najwyższe standardy. A do tego jest się całkowicie nieświadomym tej własnej podwójności, tej głębokiej niekonsekwencji i hipokryzji.

Cóż, z takiej nieświadomości – jak dobrze wiemy, nie tylko dzięki psychoanalizie, lecz także dzięki wszystkim bez mała tradycjom mądrościowym świata – mogą się rodzić wyłącznie rzeczy mroczne. Nie inaczej jest w opisywanym przypadku. Również, a może przede wszystkim dlatego, że uczestnicy opisanej dyskusji w ogóle nie zdają sobie z tego sprawy. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MISTRZ PROZY HISTORYCZNEJ POWRACA Z NOWĄ POWIEŚCIĄ!

KEN FOLLETT
ODKRYWA TAJEMNICE
STONEHENGE.



Skromny człowiek dążący do społecznego awansu.
Kapłanka, która wierzy w rzeczy niemożliwe.
Pomnik, który stanie się fundamentem nowej cywilizacji.

Stonehenge jest jednym z najbardziej ikonicznych i rozpoznawalnych zabytków na świecie, ale w rzeczywistości niewiele o nim wiadomo. Jak i dlaczego go zbudowano? Kto tego dokonał? Pisałem już wcześniej o wielkich osiągnięciach ludzkości i zawsze pociągały mnie historie zwykłych ludzi dokonujących rzeczy niemożliwych, a czy może być coś bardziej niezwykłego niż budowa tego ogromnego pomnika? To wielki triumf i jedna z największych tajemnic wszechczasów – literackie wyzwanie dla pisarza takiego jak ja.



WYDAWNICTWO ALBATROS



Autor bestsellerowych epickich cyklów „Filary Ziemi” i „Stulecie” rekonstruuje historię powstania jednej z najbardziej zagadkowych budowli na Ziemi – megalitycznego kręgu Stonehenge.

REKLAMA